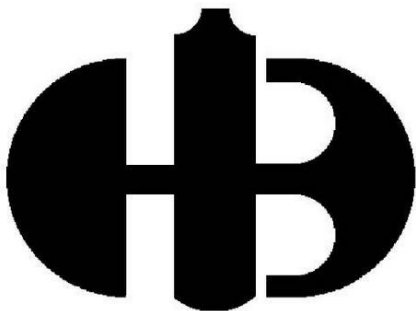


ROMUALD ROMAŃSKI
FARSALOS 48 P.N.E.



 **BELLONA**



HISTORYCZNE BITWY

ROMUALD ROMAŃSKI

FARSALOS 48 P.N.E.

 **BELLONA**
WARSZAWA

Redaktor serii „Historyczne Bitwy”: *Bogusław Kubisz*
Ilustracja na okładce: *Paweł Głodek*
Projekt okładki: *Agnieszka Matusiak*
Redaktor techniczny: *Agnieszka Matusiak*
Korekta: *zespół*

Copyright © by Dressler Dublin Sp z o.o., Ożarów Mazowiecki 2022
Copyright © by Romuald Romański, 2003

ISBN 978-83-11-16767-4

Wydawnictwo Bellona
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa
tel. +48 22 457 2519
www.bellona.pl
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Księgarnia internetowa: www.swiatksiazki.pl

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki
ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

epub - eLJot

SPIS TREŚCI

Koniec „Trójgłowego potwora”

W przededniu wojny

Rubikon

Armia rzymska

Faza I – kampania w Italii

Faza II – kampania w Hiszpanii

Walki pod Herdą

Bunt w Placencji

Kłeska w Afryce

Faza III – kampania w Grecji

Przeprawa przez Adriatyk

Dyrrachium

Obleżenie Pompejusza

Kłeska Cezara pod Dyrrachium

Farsalos

Odwrót spod Dyrrachium

Decydujące starcie

Epilog

Bibliografia (wybrane pozycje)

Wykaz map

Zdjęcia

Przypisy

KONIEC „TRÓJGŁOWEGO POTWORA”

Wiosną 53 r. p.n.e. Rzymem wstrząsnęła tragiczna wiadomość. Oto w północnej Mezopotamii, nieopodal miejscowości Karrhe, w starciu ze świetną jazdą i niezawodnymi łucznikami Partów klęskę poniosła wysłana na podbój Persji armia rzymska. Zginęły tysiące żołnierzy rzymskich, a wśród nich również wódz naczelny Marek Krassus, ten sam, który tysiącami ukrzyżowanych powstańców Spartakusa udekorował ongi rzymskie drogi. Los czasami potrafi zemścić się okrutnie i szyderczo, i teraz, po wielu latach, głowa jednego z najpotężniejszych ludzi Rzymu (a na pewno najbogatszego) została przywieziona na dwór króla Orodosa II i, jak pisze Plutarch, posłużyła za rekwizyt trupie teatralnej wystawiającej tragedię Eurypidesa *Bachantki*.

Wrażenie, jakie śmierć Krassusa wywołała w rozpolitykowanym i pełnym intryg Rzymie, można porównać jedynie do trzęsienia ziemi. Oto bowiem z dnia na dzień przestał istnieć „trójgłowy potwór” (Trikaranus), jak nazwał triumwirat, czyli porozumienie między Pompejuszem, Cezarem i właśnie Krassusem, rzymski pisarz Marek Warron. Przestał istnieć potwór, który od wielu już lat rządził bezwzględnie państwem, w praktyce odbierając sens wszelkim republikańskim instytucjom.

Choć więc powszechnie nienawidzono triumwiratu, to jednak teraz, równie powszechnie, zaczęto obawiać się następstw jego zagłady. Tak już bowiem jest, w każdej epoce i pod każdą szerokością geograficzną, że ludzie przyzwyczajają się do znanego zła i wolą go od nieznanego przyszłości. Zwłaszcza że tym razem ta przy-

szłość rysowała się wyjątkowo ponuro, gdyż rozpad triumwiratu groził największym nieszczęściem, jakie może spotkać każde państwo – wojną domową! Czyż więc można się dziwić, że po śmierci Krassusa wielu obywateli zaczęło po cichu żałować tego, oficjalnie tak znienawidzonego, „trójgłowego potwora”.

Tak naprawdę, to nie bardzo wiemy, kiedy „porozumienie trzech” zostało zawarte – przed wyborem Cezara na konsula roku 59 (przed naszą erą oczywiście) czy też dopiero w trakcie trwania tegoż konsulatu. Zapewne zresztą nie powstało ono od razu, w wyniku jednego spotkania i jednej tylko konferencji, lecz było rezultatem wielu spotkań, narad i przygotowań.

W każdym razie ostateczna, podstawowa formuła tego super-rządu Republiki była zadziwiająco, wręcz genialnie prosta i sprowadzała się do stwierdzenia, że „odtąd nie stanie się w Rzeczypospolitej nic, co nie podobałoby się któremukolwiek z trzech”. Ta nader pojemna i skuteczna formuła pozwoliła trzem najpotężniejszym ludziom w Republice zrealizować ich najistotniejsze plany polityczne, a państwu szarpanemu od wielu lat coraz groźniejszymi kryzysami zapewniła względną stabilizację. Teraz sytuacja zmieniła się radykalnie, a bardziej dalekowzrocznie myślących przedstawicielei klasy politycznej Republiki zaczęły dręczyć pytania, na które, prawdę mówiąc, trudno było znaleźć dobrą odpowiedź: Jak ułożą się stosunki między Pompejuszem a Cezarem? Czy państwo nie okaże się za małe dla tych dwóch gigantów? Czy dojdzie między nimi do otwartej wojny, a jeśli tak, to po czyjej stronie się opowiedzieć w tym konflikcie?

Pytania wręcz fundamentalne, bo od prawidłowej odpowiedzi zależało wszystko: byt polityczny, majątek, a nawet życie.

Co więc uczynić, kogo wybrać, aby nie znaleźć się na przyszłych listach proskrypcyjnych? Czyż więc można dziwić się frustracji, wręcz przerażeniu elit politycznych i gospodarczych Rzymu?

W chwili, gdy w Persji dopełniał się los Krassusa, Cezar zajęty był tłumieniem kolejnego powstania Galów, którzy przez wiele lat nie chcieli pogodzić się z utratą niepodległości i przyjąć ofiarowanego im przez zdobywcę dobrodziejstwa *Pax Romana*. Mimo to jednak nie zaniedbywał spraw politycznych i pilnie śledził przebieg

wydarzeń w dalekiej „stolicy świata”, interesując się zwłaszcza poczynaniami Pompejusza. Czy już wówczas przewidywał możliwość konfliktu z tym „ulubieńcem fortuny”? Być może tak! Napięcia między triumwirami pojawiały się przecież już za życia Krassusa. Czasami dochodziło do sporów między Pompejuszem a Cezarem, częściej między Krassusem a Pompejuszem. Zawsze jednak był wówczas „ten trzeci”, który mógł podjąć akcję mediacyjną i pogodzić zwaśnionych wodzów. Tak było na przykład w styczniu 56 r. p.n.e., kiedy to Pompejusz na posiedzeniu senatu oskarżył prawie otwarcie Krassusa o przygotowywanie spisku na jego życie. Wówczas wizja rozpadu triumwiratu niepomrotnie ośmieliła wrogich Cezarowi optymatów, którzy zaczęli grozić odebraniem mu namiestnictwa w Galii (jawnie zapowiadał to kandydujący na konsula Lucjusz Domicjusz). A to oznaczało nie tylko klęskę planów politycznych, ale mogło w konsekwencji doprowadzić do procesu sądowego i skazania zwycięskiego wodza. Nic więc dziwnego, że Cezar podjął wówczas natychmiastową i energiczną akcję mediacyjną, w wyniku której doszło do zjazdu w miasteczku Luka w Apeninach, gdzie po trudnych negocjacjach odnowiono układ. Pogodzeni ze sobą Krassus i Pompejusz zostali konsulami roku 55 p.n.e. i, realizując obietnice, przeprowadzili uchwałę przedłużającą namiestnictwo Cezara do 1 marca 50 r. p.n.e.

Ale teraz nie było już Krassusa! W razie nowego konfliktu nie było więc nikogo, kto mógłby zaofiarować „misję dobrej woli” i pogodzić zwaśnionych. Dla Cezara była to strata szczególnie bolesna, gdyż – po pierwsze, w większości przypadków Krassus był jego sojusznikiem – a po drugie, w nowo powstałym układzie był on, przynajmniej na razie, stroną słabszą, bardziej znienawidzoną przez senat, a zwłaszcza optymatów i narażoną na ich ataki.

Sytuację dodatkowo pogorszyła śmierć Julii, żony Pompejusza a zarazem córki Cezara, za jednym bowiem zamachem przestała istnieć również więź uczuciowa łącząca tych dwóch obecnie najważniejszych i najpotężniejszych wodzów i polityków w Republice. Teraz więc liczyły się już między nimi tylko interesy polityczne, a te coraz wyraźniej były rozbieżne. W czasie bowiem, gdy Cezar ugruntowywał swą sławę i pozycję poprzez podbój Galii, przebywa-

jący w Rzymie Pompejusz zdołał osiągnąć rzecz – w praktyce wydawało się nieosiągalną – względy ludu i równocześnie coraz wyraźniejsze poparcie senatu. Nic więc dziwnego, że zaczął uważać siebie za władcę Republiki z nadania obu jej najważniejszych filarów – arystokracji i ludu. Wprawdzie ze strony arystokracji było to typowe małżeństwo z rozsądku, a w dodatku przez długi czas na pograniczu rozwoju, gdyż wiele wskazuje na to, że większość *nobilitas* najchętniej pozbyłaby się nie tylko Cezara, ale również Pompejusza, a więc obu „opiekunów” Republiki, i powróciła do bardzo dla nich wygodnej formuły rządów wprowadzonej ongi przez Sullę – ale tak naprawdę tylko nieliczni (jak np. dość ograniczony Katon) wierzyli, że było to jeszcze możliwe. Dla większości senatorów był to więc raczej wybór między mniejszym i większym złem, a — zdaniem większości — tym mniejszym złem był Pompejusz, który przecież w 84 r. p.n.e., gdy w Italii wylądowały wojska Sulli rozpoczynającego wojnę z Cynną i tzw. stronnictwem mariańskim (od nazwiska wielkiego wodza, reformatora i głównego przywódcy popularów, Mariusza), nie tylko stanął po jego stronie, ale nawet przyprowadził do jego obozu trzy legiony sformowane własnym sumptem. Pamiętano Pompejuszowi również i to, że stanął po stronie senatu w czasie buntu Lepidusa i głównie przyczynił się do jego klęski, a w latach 77–72 p.n.e. walczył z powodzeniem przeciw resztkom armii popularów w Hiszpanii.

To były z pewnością plusy (oczywiście z punktu widzenia arystokracji). Były też i minusy, gdyż bardzo ambitny, wręcz pyszny Pompejusz, pozostający w czasach triumwiratu w Rzymie, niebezpiecznie „lgnął do ludu”, sądząc zapewne, że jest to skuteczny sposób na pokonanie Cezara. A takiej „ludomanii” senatorowie bardzo się obawiali.

Tym niemniej jednak „małżeństwo” trwało i wbrew przeciwnościom i rozbieżnościom nawet się umacniało, a dla większości senatorów wciąż wrogiem numer 1 pozostał Cezar, który był przywódcą popularów „od zawsze”, również z powodu związków rodzinnych (ciotka Cezara Julia była żoną Mariusza).

Pamiętano też, że już Sulla, ułaskawiając Cezara pod naciskiem jego krewnych i przyjaciół, ostrzegał przed nim, mówiąc podobno:

„Uważajcie na tego źle przepasanego chłopca; siedzi w nim wielu Mariuszów”. Pamiętano Cezarowi również jego jednoznaczne deklaracje sympatii dla popularów, ot chociażby maskę Mariusza wystawioną w pochodzie żałobnym po śmierci ciotki Julii. Dla wielu optymatów to był doprawdy szok; nie zapominajmy bowiem, że był to czas, kiedy wszelka pamięć o Mariuszu i Cynnie była obłożona klątwą.

A nie była to jedyna tego typu demonstracja. Kilka lat później Cezar wprawił ponownie w osłupienie wszystkich *nobilitas*, wystawiając na Kapitolu posąg Mariusza wraz z wszystkimi trofeami upamiętniającymi jego zwycięstwa. W opisie Plutarcha wyglądało to tak: „Nadszedł dzień i ludzie zobaczyli posągi: wszystko błyszczało od złota i olśniewało każdego pięknem artystycznego wykonania, a umieszczone na nich napisy mówiły o zasługach i zwycięstwach Mariusza w wojnie z Cymbrami”.

Nie były to puste gesty. Cezar dawał w ten sposób do zrozumienia senatorom i całej klasie *nobilitas*, jakie są jego poglądy polityczne i na jakim stronnictwie zamierza się oprzeć w swej karierze politycznej. Zapowiadał też w ten sposób obalenie sulliańskiej konstytucji i rewanż za terror, jaki zapanował w Rzymie po zwycięstwie Sulli. Terror, którego omal sam nie stał się ofiarą.

Optymatów ogarnęło więc przerażenie, a najbardziej z nich przenikliwy, i co najważniejsze szczerzy, *princeps senatus* Lutacjusz Katulus miał ponoć krzyknąć, że Cezar „zdobywa Rzeczpospolitą już nie przez podkopy, lecz szturmem maszyn oblężniczych”.

Trudno więc się dziwić, że *nobilitas* (a przynajmniej najbardziej aktywna i wojownicza część tego ugrupowania) uważali Cezara za wroga numer 1, którego należy zniszczyć jak najszybciej, nie przebierając w środkach. Można jednak było przewidywać, że Cezar nie podda się bez walki i dlatego przywódcy senatu zaczęli kokietować Pompejusza, proponując mu rolę sprzymierzeńca i „zbrojnego ramienia” arystokracji.

Cel swój osiągnęli stosunkowo łatwo, gdyż w nowej konfiguracji politycznej Cezar przestał już być Pompejuszowi potrzebny! Wręcz przeciwnie, stał się przeszkodą w realizacji ambitnych planów, niewiele więc było szans na to, aby „potwór trójgłowy” zmienił się

w dwugłowego, gdyż obie głowy już wkrótce zaczęły warczeć i szczyrzyć do siebie kły.

Oczywiście nie od razu. Przez pewien czas po śmierci Krassusa obaj dotychczasowi sprzymierzeńcy zachowywali się wobec siebie dość poprawnie (Pompejusz nawet zdobył się na wielkoduszny gest, oddając jeden ze swych legionów do dyspozycji Cezara, gdy ten po klęsce pod Atautaka znalazł się on w trudnej sytuacji militarnej). Ale nie brak było też znaków zapowiadających wybuch konfliktu.

Jednym z nich, nader symptomatycznym, było zdecydowane „nie” Pompejusza na propozycję odnowienia związków rodzinnych przez poślubienie Oktawii, wnuczki siostry Cezara.

W senacie odczytano to naleźycie i ośmieleni poparciem Pompejusza przywódcy optymatów, nie mogąc na razie dosięgnąć bezpośrednio Cezara, zwalczali gwałtownie jego popleczników i agentów politycznych. Odbywało się to, niestety, nie tylko na forum senatu, lecz również na ulicach stolicy w formie walk zbrojnych grup. W rezultacie Rzym był wręcz sterroryzowany przez bandy zbrojne, opłacane bądź to przez Cezara, bądź przez jego przeciwników.

Najgroźniejsze były oddziały Klodiusza, związanego z Cezarem, i Milona, zwerbowanego przez Pompejusza, a popieranego również przez senat. Na ulicach Wiecznego Miasta dochodziło do gwałtownych i krwawych starć. W jednym z nich, do którego doszło z początkiem 52 r. p.n.e. na Via Appia, ludzie Milona zabili Klodiusza – ulubieńca wielu ludzi z najniższych warstw społeczeństwa rzymskiego (m.in. z tego powodu, że przeforsował ustawę zapewniającą proletariatowi stolicy korzystanie z bezpłatnego rozdawnictwa zboża).

Jego zwolennicy zanieśli ciało martwego idola do siedziby senatu i spalili je na stosie zaimprovizowanym z ław, stołów i ksiązek. Przy okazji poszedł z dymem i ten gmach, i stojąca po sąsiedzku hala Basilica Porcia. Od tego momentu w Rzymie zapanowała kompletna anarchia, która w zasadzie uniemożliwiła w tym roku wybór najwyższych urzędników w państwie, konsulów, pretorów itd., a to oznaczało paraliż państwa.

Dramatyczna sytuacja wymaga zawsze zastosowania nadzwyczajnych środków zaradczych. Najprościej oczywiście byłoby uciec

się do starej, wypróbowanej metody i wyznaczyć dyktatora, który dysponując na przeciąg tradycyjnych sześciu miesięcy pełnią władzy, mógłby uspokoić i miasto, i kraj, a następnie, po złożeniu swych pełnomocnictw, umożliwić wybór normalnych władz. Ale najprostsze rozwiązania nie zawsze są możliwe do zastosowania. Kogo bowiem obdarzyć tym urzędem? Pompejusza? A co na to powie Cezar? No i co zrobi sam Pompejusz, czy aby nie wykorzysta sytuacji i nie zechce zatrzymać stanowiska dyktatora „na zawsze”?

W związku z tym z „kół zbliżonych do Cezara” wyszedł konkurencyjny pomysł mianowania (a nie wybrania) konsula *sine collega* (bez kolegi), który skupi w swoim ręku całość związanej z tym urzędem władzy i dzięki temu uspokoi miasto i państwo.

Nie wiemy, kto naprawdę był autorem tej, przyznać trzeba, nader interesującej propozycji. Czy był nim sam Cezar? Być może. Tak czy inaczej, na pewno był o niej dobrze poinformowany i na pewno ją akceptował. On też zapewne miał – w zamysśle projektodawców – objąć to stanowisko.

Trudno w pełni zgodzić się z Gerardem Walterem, który twierdzi, że Cezarem kierowała li tylko niecierpliwość w zaspokajaniu ambicji. To tylko część prawdy. W rzeczywistości Cezar bardzo obawiał się o swą przyszłość, zbliżał się bowiem koniec jego namiestnictwa, a to oznaczało, że stanie się osobą prywatną i może być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej. Warto pamiętać, że zgodnie z prawem rzymskim osobę piastującą jakikolwiek urząd można było postawić przed sądem dopiero po zakończeniu kadencji, gdy stawała się osobą prywatną.

W przypadku Cezara mogło to nastąpić po 1 marca 50 r. p.n.e., gdyż wtedy kończyło się jego namiestnictwo w Galii. Pamiętajmy również i o tym, że nie mógł on starać się natychmiast (ani osobiście, ani zaocznie) o konsulat, gdyż obowiązywało prawo z roku 342 p.n.e., zgodnie z którym obywatel mógł być dopuszczony do drugiego konsulatu dopiero po upływie dziesięciu lat od wygaśnięcia pierwszego. W przypadku Cezara termin ten upływał w roku 48, kandydaturę swą mógł więc zgłosić dopiero w lipcu 49 r. Przez ponad rok (a dokładnie przez piętnaście miesięcy) byłby więc osobą prywatną, a o to właśnie jego wrogom chodziło.

Pomysł mianowania konsulem nadzwyczajnym był więc dla Cezara nader atrakcyjny z tego właśnie powodu. Po prostu przeszedłby od jednej funkcji do drugiej, a następnie znów otrzymałby namiestnictwo prowincji (a można być pewnym, że zadbałby o ważne i „przyszłościowe” prowincje) i w ten sposób ani przez moment nie byłby wystawiony na ataki wrogów.

Nie wolno poza tym zapominać, że obejmując ponownie (w dodatku jednoosobowo) stanowisko konsula, Cezar zyskiwał ogromny wpływ na sytuację w państwie, a niewątpliwie tak wytrawny polityk, na pewno nie zmarnowałby tej szansy.

Pomysł cezarian nie znalazł jednakże uznania w Rzymie. Prawdę mówiąc, senat stanął przed dramatycznym wyborem. Większość senatorów na pewno obawiała się Cezara na stanowisku jedyne konsula z pełnią władzy, w dodatku mianowanego na to stanowisko wbrew prawu, które nie przewidywało takiej konstrukcji jak jednoosobowy konsulat.

Ale wielu z nich (z podobnych zresztą powodów) sprzeciwiało się również mianowaniu Pompejusza, sądząc (chyba nie bezpodstawnie), że raz osiągniętej władzy może nie zachcieć oddać. Nie zapominajmy również i o tym, że agenci polityczni Cezara mieli niemały wpływ na rozwój sytuacji w stolicy, przekupując galijskim złotem, kogo tylko się dało.

Ostatecznie senat wybrał jednak mniejsze – w swoim przekonaniu – zło i zaakceptował propozycję mianowania jednego tylko konsula z bardzo szerokimi uprawnieniami (między innymi z prawem do werbowania żołnierzy w Italii), powierzając tę funkcję Pompejuszowi. Decyzję tę Dion Kasjusz skomentował następująco: „Ponieważ Pompejusz lgnął do ludu mniej niż Cezar, spodziewali się (senatorzy – przyp. R.R.), że oderwą go od niego i pozyskają dla siebie”.

A taki sojusz bardzo źle wróżył Cezarowi. A jeśli choć przez moment mógł mieć wątpliwości co do swych dalszych losów, to ostatecznie rozwiła je przeforsowana przez Pompejusza ustawa, mocą której każdy obywatel mógł podać pod sąd każdego urzędnika sprawującego swój urząd po roku 70 p.n.e., jeśli ten dopuścił się spekulacji wyborczych. Ustawa ta miała wyraźnie antycezariańskie

ostrze, mimo że jej autor zastrzegł się, iż nie dotyczy ona Cezara. Nikt jednak nie miał wątpliwości, że są to tylko puste słowa. Gdyby więc Cezar pojawił się jako człowiek prywatny w Rzymie, natychmiast, jeszcze przed wyborami, pociągnięty zostałby do odpowiedzialności sądowej.

Wprawdzie wyroki sądów były zawsze, również i w starożytnym Rzymie, nieprzewidywalne, a sprzedajność sędziów ogólnie znana (zdarzały się przypadki, że ten sam sędzia brał łapówki od obydwu stron sporu), ale Pompejusz zabezpieczył się przed wszelkimi niespodziankami i zadbał o to, aby jego konkurent nie uniknął kary. W tym celu przeprowadził odpowiednią zmianę procedury sądowej ograniczającą w znacznym stopniu możliwości obrony podsądnym. A co najistotniejsze, zadbał również o sporządzenie listy sędziów, umieszczając na niej osoby, których mógł być zupełnie pewnym. Sędziom zapewniono również ochronę policyjną, aby zabezpieczyć ich przed groźbą ze strony bojówek popularów.

Zresztą „grzechy” wyborcze Cezara były tak powszechnie znane i tak dobrze udokumentowane, że żaden sędzia, nawet najmniej stronnicy, nie powinien mieć wątpliwości co do treści wyroku.

Uprzedzając bieg zdarzeń, Cezar na początku 51 r. p.n.e. zwrócił się pisemnie do senatu z prośbą o przedłużenie mu namiestnictwa w Galii do końca 49 r., liczył bowiem na zwycięstwo w wyborach i objęcie konsulatu 1 stycznia 48 r. Dzięki takiemu rozwiązaniu ani przez moment nie byłby osobą prywatną, a pełniąc funkcje publiczne był – przypomnijmy – nietykalny dla swych wrogów. Jednak senat na wniosek konsula M. Klaudiusza Marcellusa propozycję tę odrzucił.

Można, jak sądzę, zaryzykować tezę, że właśnie wówczas, właśnie tą decyzją, senat zdecydował o dalszym biegu wypadków, a mówiąc konkretnie o wybuchu wojny domowej. Decyzja ta stawiała bowiem Cezara przed hamletowskim pytaniem być albo nie być. Miał do wyboru bądź zaakceptować ją, a tym samym skazać się na klęskę nie tylko zresztą polityczną, ale również osobistą, bądź sprzeciwić się, a to oznaczało w konsekwencji wojnę domową.

Czy to oznacza, że cały senat świadomie dążył do wojny domowej? Nie! Większość senatorów, a także optymatów pozostających

poza senatem, zapewne panicznie bała się tej wizji, ale nie potrafiła przeciwstawić się dyktatowi wąskiej grupy przywódców. Tak naprawdę więc to „senaccy jastrzębie”, a nie Cezar rzucili te przysłowiowe już dziś kości, stawiając Cezara w sytuacji bez wyjścia. Warto o tym pamiętać analizując przebieg wydarzeń od momentu decyzji senatu, odmawiającej Cezarowi prawa do przedłużenia namiestnictwa, do momentu, w którym przekroczył on na czele swych legionów małą rzeczkę Rubikon, która dzięki temu zrobiła w historii oszałamiającą karierę. Bo kości raz rzucone, toczą się dalej same, a rzucający przestają mieć wpływ na ostateczny wynik.

Powróćmy jednak do prezentacji wydarzeń. W czasie, gdy w senacie decydowano o jego przyszłości politycznej, Cezar miał jeszcze związane ręce wojną w Galii. Wprawdzie skończyło się najgroźniejsze powstanie Galów pod wodzą Wercyngetoryksa, ale tliły się jeszcze ostatnie gniazda oporu, a zwłaszcza broniło się Ukselodunum, w którym zamknęli się ostatni fanatyczni obrońcy niepodległości kraju. Utrudniało to niewątpliwie Cezarowi wywieranie osobistego wpływu na rozwój sytuacji politycznej w Rzymie. Można więc łatwo wyobrazić sobie, jak bardzo żałował on utraty Klodiusza i jak gorączkowo poszukiwał jego następcy, równie energicznego i rzutkiego, który byłby równie sprawnym jego agentem politycznym w Rzymie.

Ostatecznie wybór padł na Skryboniusza Kuriona. Był to względnie młody, 35-letni utracjusz, ongi przyjaciel Klodiusza, po którym przejął także jego żonę. Cezar, aby związać go z sobą, spłacił jego ogromne długi, sięgające ponoć kwoty 60 milionów sesterców (grubo ponad 60 milionów franków w złocie), co, zdaniem Gerarda Waltera – autora biografii Cezara, stanowiło jedynie skromną zaliczkę na poczet przyszłych honorariów. Wypada zgodzić się z tą opinią, gdyż Cezar nie należał do dusigroszów, wręcz przeciwnie, zyskał sobie dobrze udokumentowaną sławę człowieka hojnego, wręcz rozrzutnego, zwłaszcza wówczas, gdy chodziło o kupowanie ludzi i osiągnięcie tą drogą zamierzonych celów politycznych.

Przyznać trzeba również, że posiadał on nadzwyczajną zdolność trafnej oceny i kupował jedynie tych, których istotnie warto było

kupić. Również i w przypadku Kuriona nie były to pieniądze wyrzucone w błoto, gdyż okazał się on sprzymierzeńcem inteligentnym, przenikliwym i pomysłowym. Dzięki tym cechom charakteru udało mu się przez kilka najtrudniejszych miesięcy z powodzeniem reprezentować w Rzymie interesy Cezara, walcząc z ogromnym uporem i talentem o rzecz dla swego mocodawcy najcenniejszą – czas.

Warto też zauważyć, że zadanie swe realizował stosując niekonwencjonalne metody. Przez pewien okres mianowicie udawał z powodzeniem człowieka neutralnego, niezwiązanego z żadnym obozem politycznym (a nawet w pewnym stopniu niechętnego Cezarowi). Jeśli występował z jakąś inicjatywą ustawodawczą, to zazwyczaj była ona wymierzona równocześnie przeciw Cezarowi i Pompejuszowi lub przynajmniej przeciw senatorom popierającym tego ostatniego. W dodatku były to, jak pisze Dion Kasjusz, wnioski „niebываłe”, zmuszające senat do ciągłych i długotrwałych debat, dzięki którym brakowało po prostu czasu na podjęcie uchwał wymierzonych bezpośrednio w Cezara. A o to właśnie głównie chodziło.

Stosując tę dywersyjną politykę nie wahał się również kierować ostrza dyskusji i krytyki bezpośrednio przeciw sobie. Tak było na przykład wówczas, gdy przedstawił senatowi projekt rzekomo niezbędnych prac nad konserwacją dróg Republiki i zaproponował, aby to jemu właśnie powierzyć to zadanie. Było to przedsięwzięcie tak ogromne i rokujące tak oszałamiające zyski temu, komu zostanie ono powierzone, że niewątpliwie na długo zajęło uwagę nie tylko senatu i całej klasy politycznej, ale również i kół gospodarczych.

Ostatecznie sprawa oczywiście upadła, ale dzięki takim właśnie posunięciom Kurion zyskiwał na czasie, a o to, powtarzam, głównie chodziło, gdyż niecierpliwość wrogów Cezara rosła i bardzo chciano skrócić jego namiestnictwo, a w konsekwencji postawić przed sądem.

Dlatego też już w 51 r. p.n.e. Marek Klaudiusz Marcellus, konsul tegoż roku, zgłosił wniosek o wyznaczenie następcy Cezara. Paradoksalnie, argumentem uzasadniającym ten wniosek były zwycięstwa odniesione przez Cezara w Galii, Marcellus bowiem stwierdził, że wojna z Galami została w zasadzie zakończona, nie ma więc

sensu pozostawiania Galii i Ilirii w rękach Cezara i należy już obecnie wyznaczyć jego następcę, który będzie gotów objąć swoją funkcję w marcu 50 r. a więc wówczas, gdy skończy się kadencja Cezara. Przeciwnikom Cezara nie udało się przeforsować odpowiedniej uchwały, gdyż wystąpili przeciw niej trybuni ludowi, ponoć przekupieni przez Cezara, a i Pompejusz odniósł się do tej propozycji nader chłodno.

Marcellus i jego poplecznicy, pokonani w tej zasadniczej sprawie, nie omieszkali jednak wykorzystać swej pozycji, aby przynajmniej upokorzyć i poniżyć Cezara, odbierając obywatelstwo rzymskie mieszkańcom kolonii *Novum Comum* założonej przez Cezara. Jednego z jej mieszkańców konsul Marcellus kazał nawet wychłostać różgami (kary tej nie wolno było stosować wobec obywateli rzymskich), radząc mu, aby poszedł do Cezara i pokazał mu pręgi na swoim ciele.

Ataki na Cezara wzmogły się z początkiem roku 50. Funkcje konsulów pełnili wówczas Gajusz Klaudiusz Marcellus (brat stryjeczny Marka) i L. Emiliusz Paulus. Neutralność tego ostatniego udało się wprowadzić kupić za kwotę 1500 talentów¹, ale Marcellus był człowiekiem nie do kupienia, jego wrogość do Cezara wynikała bowiem nie tylko z pobudek politycznych, ale również osobistych². Nikogo więc nie dziwiło, że to właśnie Marcellus prawie natychmiast po objęciu urzędu wysunął projekt odebrania Cezarowi namiestnictwa i wyznaczenia jego następcy dla Galii i Ilirii.

W trakcie dyskusji nad tym projektem w senacie Kurion zastosował swą ulubioną metodę: pozornie poparł projekt uznając go za doskonały, równocześnie jednak zażądał, aby również Pompejuszowi dać następcę³. Rozgorzała zacięta dyskusja, w której Kurion uzasadniał swe stanowisko tym, że obaj wielcy politycy i wodzowie (tj. Pompejusz i Cezar) odnoszą się do siebie nieprzyjaźnie i dlatego, ze względu na dobro państwa, należy im obydwóm natychmiast odebrać władzę. Oskarżył też Pompejusza o dążenie do jedynowładztwa, a w konkluzji stwierdził, że gdyby obaj namiestnicy nie zaakceptowali tej decyzji senatu, to należy uznać ich obu za nieprzyjaciół ojczyzny.

Pomysł – trzeba to przyznać – był znakomity, zwłaszcza jeśli

pamiętamy o tym, że trafiał do przekonania wcale niemałej części *nobilitas*, którzy byliby radzi usunąć obu polityków zagrażających, tak czy inaczej, dominującej pozycji senatu. Natychmiast też rozgorzała namiętna dyskusja, która, jak łatwo było przewidzieć, skończyła się na niczym. Nie przedłużono wprowadzie namiestnictwa Cezarowi, ale też nie wyznaczono jego następcy, a to w praktyce oznaczało, że wprowadzie jego namiestnictwo wygaśnie, ale wobec niemianowania następcy mógł on, a nawet powinien, pełnić nadal swą funkcję.

Oczywiście debata ta nie zakończyła walki stronnictwa optymatów o wyeliminowanie Cezara z życia politycznego. Wniosek o pozbawienie go urzędu wracał jeszcze kilkakrotnie na posiedzenia senatu, lecz próby wznowienia dyskusji rozbijały się o weto Kuriona (miał do tego prawo, pełniąc w tym roku funkcję trybuna ludowego).

W miarę upływu miesięcy atmosfera polityczna w Rzymie stawała się coraz bardziej napięta. Przeważała opinia, iż zaostrzający się konflikt może zakończyć się wojną domową, której – co oczywiste – bardzo się obawiano. Pamiętano przecież doskonale terror Mariusza i proskrypcje Sulli. Atmosfera niepewności panowała zwłaszcza w senacie, którego członkowie mieli pełną świadomość tego, że to właśnie oni przede wszystkim poniosą konsekwencje zbliżającej się burzy, zwłaszcza jeśli zwycięży w niej Cezar.

Mimo to przywódcy stronnictwa pompejańskiego coraz wyraźniej dążyli jednak do bezpośredniej konfrontacji.

Nie mogąc odnieść frontalnego sukcesu, zastosowano metodę „małych kroków”. Między innymi G. Marcellusowi udało się przeorsować w senacie decyzję, pozornie słuszną i bezstronną, nakazującą Pompejuszowi i Cezarowi odesłanie po jednym legionie do Syrii dla wzmocnienia tej zagrożonej przez Partów prowincji. Rzecz jednak w tym, że Pompejusz sprytnie wykorzystał sytuację i oznajmił, że wysyła legion, który swego czasu (po klęsce pod Atuatuką w Galii, w czasie powstania Ambioryksa) wypożyczył swemu sojusznikowi. W ten prosty sposób za jednym zamachem pozbawiono Cezara dwóch legionów.

Zamiary przeciwników w tym względzie były bardzo czytelne,

jednakże Cezar nie chciał zadrażniać sytuacji i legiony posłusznie odesłał. Pompejusz wykorzystał zresztą pomysł Marcellusa do maksimum, bowiem legionów tych bynajmniej nie wysłał do Syrii, lecz zatrzymał w Italii, w okolicy Kapui, wzmacniając nimi swą armię. W konsekwencji odniósł więc podwójną korzyść – osłabił Cezara i wzmocnił własną armię.

Przyznać trzeba, że i Cezar okazał się graczem nietuzinkowym i potrafił nawet z tej niekorzystnej dla siebie sytuacji wyciągnąć pewne korzyści. Odsyłając mianowicie żołnierzy Pompejusza zapewnił sobie ich przychylność nagrodą w wysokości 250 sesterców dla każdego żołnierza. Przekupił również oficerów przysłanych po odbiór wojsk i zrobił z nich – jakbyśmy to dziś powiedzieli – podwójnych agentów. Skłonił ich bowiem do tego, aby składając sprawozdanie z przebiegu misji Pompejuszowi celowo przedstawiali sytuację w armii Cezara w czarnych barwach. „Opowiadali mianowicie, że wojska Cezara tęsknią do Pompejusza, że choć tu na miejscu jego sytuacja jest trudna z powodu zawiści politycznych, tam stoją gotowe do usług jego olbrzymie siły, które – skoro tylko znajdą się na terenie Italii – natychmiast przejdą na jego stronę; do tego stopnia Cezar znienawidzony jest przez swoich żołnierzy z powodu nieustannych wojen, tym bardziej, że podejrzewają go o ambicje samowładcze”⁴. Jednym słowem, w razie konfliktu Cezar zostanie pobity przez własne legiony, a Pompejusz odniesie zwycięstwo, praktycznie nie wyciągając miecza z pochwy.

W gruncie rzeczy intryga była szyta dość grubymi nićmi, ale zadufany w sobie i chyba jednak nieco naiwny i niezbyt inteligentny Pompejusz uwierzył w te zapewnienia i nabrał takiej pewności siebie, że miał podobno oświadczyć w senacie, że nie warto kłopotać się i myśleć o przygotowaniach wojennych, bo gdyby jakieś niebezpieczeństwo miało nadejść, on jednym tupnięciem nogi całą Italię napełni swoimi wojskami⁵.

Optymizmu i nadmiernej pewności nie brakowało również konsulowi Marcellusowi, który po raz kolejny postawił w senacie kwestię pozbawienia Cezara namiestnictwa Galii i Ilirii. Tym razem jednak posłużył się sprytnym (przynajmniej we własnym mniemaniu) wybiegiem, rozdzielając dwie kwestie – namiestnictwa Cezara

i dowództwa Pompejusza. Najpierw zapytał senatorów, czy zgadzają się mianować następców Cezara. Na tak sformułowane pytanie oczywiście uzyskał jednomyślną odpowiedź twierdzącą. Przecież nikt z *nobilitas* nie mógł głosować za specjalnymi przywilejami dla Cezara, który był ich głównym wrogiem i „zdobywał podkopami Rzeczpospolitą”.

Natomiast w kwestii pozbawienia dowództwa Pompejusza senatorowie wypowiedzieli się w większości negatywnie, co było również dość łatwe do przewidzenia. Większość senatorów zdawała sobie sprawę z faktu, że podjęcie uchwały o pozbawieniu Cezara namiestnictwa oznacza wojnę. A tę można było wygrać jedynie w sojuszu z Pompejuszem.

Niewykluczone też, że znaczna część senatorów łudziła się, że Pompejusz walczy wraz z nimi o zachowanie ustroju republikańskiego. Wielu jednak – nie zapominajmy o tym – zdawało sobie sprawę, że wybierając między Cezarem a Pompejuszem, wybierają jedynie między mniejszym i większym złem. Zaliczał się do nich Cyceron, który był przekonany, że zwycięstwo Pompejusza może być niebezpieczne dla Republiki, stanął jednak po jego stronie, będąc pewnym, że zwycięstwo Cezara oznacza z kolei jej pewny upadek.

Walka na uchwały nie została bynajmniej zakończona z chwilą przegłosowania wniosków Marcellusa. Zwolennicy Cezara czuwali i trybun ludowy S. Kurion zażądał przywrócenia poprzedniej formuły i wezwał senatorów do podjęcia decyzji o równoczesnym odeśłaniu obu antagonistów w zacisze domowe. Tym razem głosowanie dało rezultat odmienny – 370 senatorów opowiedziało się za wnioskiem Kuriona, przeciw było jedynie 22.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że właśnie ten rezultat odzwierciedlał prawdziwe uczucia większości polityków Republiki. Bali się Cezara, ale nie ufali również Pompejuszowi i najchętniej pozbyliby się ich obu jednocześnie. Wynik ten świadczy również, jak w gruncie rzeczy nieliczne było stronnictwo „jastrzębi”. W praktyce liczyło ono właśnie około 20–30 osób. Reszta chciała po prostu pozbyć się Cezara i Pompejusza, bo obawiała się, że ambicje ich obu zburzą w końcu tak wygodny świat Republiki, w której od niepamiętnych

wieków przysługiwało elicie politycznej prawo piastowania wysokich urzędów, zdobywanych w wolnej, ale ograniczonej do ich elitarnego grona, rywalizacji. Bronili świata, w którym można było zdobywać bogactwa grabiąc bezlitośnie przyznawane im na rok lub dłużej prowincje.

Można jednak mniemać, że Marcellus nie zrozumiał tej nauczki i postanowił mimo wszystko skłonić senat do zdecydowanego wystąpienia. Nie rozumiał bądź też nie chciał rozumieć, gdyż należał do grona dwudziestu kilku ekstremistów, którzy domagali się odwołania Cezara za wszelką cenę, nawet za cenę wojny domowej!

Do osiągnięcia zamierzonego celu posłużył się Marcellus plotką, która zaczęła wówczas krążyć po Rzymie, że Cezar już zdecydował się obalić Republikę i w tym celu koncentruje swe legiony na granicy Italii. Również i tym razem poniósł klęskę, gdyż Kurionowi i Markowi Antoniuszowi udało się przekonać senatorów, że była to fałszywa informacja, a intencje Cezara są i pozostaną pokojowe. Wówczas rozwścieczony porażkami konsul miał ponoć krzyknąć, że „przeciw bandycie trzeba broni, a nie głosowania” i posiedzenie zamknął⁶.

Wkrótce też okazało się, co miał na myśli mówiąc o broni, udał się bowiem w towarzystwie swego kolegi na urządzie oraz dwóch konsulów mianowanych na rok następny do Pompejusza, który ze względu na swą funkcję wojskową przebywał poza Rzymem. Wręczył mu miecz, a następnie w uroczystej przemowie wezwał do obrony Republiki przed Cezarem, powierzając Pompejuszowi dowództwo wszystkich sił, jakimi w tym momencie dysponował senat. Zezwolił również na dokonanie zaciągu nowych wojsk. Pompejusz miecz przyjął i oświadczył, że jest posłuszny rozkazom konsulów. Natychmiast też przystąpił, niezbyt jednak energicznie, do przygotowań wojennych.

Od tej chwili wybuch wojny domowej był więc jedynie kwestią czasu. Okazało się również, że rację miał Celiusz, który w liście do Cyncerona pisał: „Pompejusz jest zdecydowany nie dopuścić do tego, by Cezar został konsulem, zanim zda swe wojska i przekaże prowincje. Cezar zaś jest przekonany, że jedynym dla niego ratunkiem jest zatrzymanie przy sobie armii... Taki będzie koniec tych wielkich

czułości i tego groźnego przymierza – nie tajona wrogość, lecz otwarta wojna”? To bardzo słuszne spostrzeżenie, warto je jednak uzupełnić stwierdzeniem, że „czułości” między Pompejuszem a Cezarem skończyły się dawno, a do wojny jednego i drugiego pchały nie tylko osobiste animozje i ambicje, lecz również (a może nawet przede wszystkim) nieprzejednane stanowisko niektórych przywódców optymatów, gotowych podjąć ryzyko wojny domowej, byle tylko usunąć raz na zawsze Cezara ze sceny politycznej. To z ich winy, przypominam, Cezar znalazł się w sytuacji bez wyjścia i prędzej czy później musiał podjąć radykalne decyzje.

W trakcie tych zaciętych bojów politycznych Cezarowi udało się wreszcie zakończyć podbój Galii. Ostatecznie stała się ona w pełni prowincją rzymską w 51 r. p.n.e. Upadek Uxellodunum odebrał bowiem Galom, nie tylko załodze i mieszkańcom miasta, lecz prawie całemu narodowi, wszelką ochotę do dalszej walki. Niemały wpływ na postawę Galów miały zapewne ich wierzenia. Jak wszyscy Celtowie, uważali oni źródła wodne za opiekuńcze i dobroczynne bóstwa. Gdy więc wskutek rzymskich prac inżynieryjnych nigdy niewysychające źródło, zaopatrujące w wodę Uxellodunum, nieoczekiwanie wyschło, odebrali to jako znak dany od bogów, aby zakończyć walkę. Czyż w tych okolicznościach dalszy opór mógł mieć sens?

A może był to tylko wygodny pretekst? Przez około dziesięć lat plemiona galijskie stawiały bohaterski – choć nie zawsze skoordynowany i konsekwentny – opór. Straty, jakie poniosły, były ogromne. Cezar w swym sprawozdaniu złożonym senatowi w 46 r. p.n.e. wymienia 800 zdobytych miast i miasteczek. Niewątpliwie większość z nich uległa zniszczeniu, gdyż wódz rzymski bynajmniej nie pobbłazał swym wrogom, pragnąc zmusić ich terrorem do uległości. Najwymowniej świadczy o tym przykład Avaricum, w którym wymordowano przeciw czterdzieści tysięcy ludzi. W walkach – jak wynika z tego samego sprawozdania – zginął milion wojowników, a drugi milion został wzięty do niewoli. O stratach, jakie poniosła ludność cywilna, zwłaszcza wśród kobiet i dzieci, nawet się nie wspomina.

Ogromne połacie kraju były wyludnione, spalone i zrujnowane.

Kraj został praktycznie pozbawiony wszelkich zapasów i sił wytwórczych, a nagromadzone bogactwa zrabowane. Trudno więc doprawdy dziwić się Galom, że stracili wreszcie ostatecznie wolę walki, że nastąpiło znane i często spotykane w historii zjawisko zmęczenia biologicznego, które najbardziej bohaterskim narodom odbiera wolę walki (doświadczyli tego Francuzi w czasie II wojny światowej).

Dla Cezara ostateczna kapitulacja Galów stanowiła prawdziwy uśmiech losu, gdyż mógł wreszcie dumnie poinformować senat i lud rzymski, że Galia staje się prowincją Republiki. Ta informacja sprawiła ogromne wrażenie w „stolicy świata” i na pewien czas powstrzymała senat od podejmowania niekorzystnych dla Cezara decyzji.

Swoiste zawieszenie broni trwało jednak krótko. Do ponownego zaostrzenia sytuacji przyczynił się zresztą sam Cezar, który miał wreszcie czas i możliwości, aby osobiście zaangażować się w bieżące rozgrywki polityczne. Zaczął od spotkań z mieszkańcami Galii Przedalpejskiej, dziękując im za poparcie, jakiego udzielali mu przez wiele lat, dostarczając żołnierzy dla ciągle rozrastającej się armii.

Dokonał też inspekcji swoich wojsk i wyznaczył poszczególnym legionom nowe leża zimowe. Z posiadanych dziesięciu legionów osiem zostawił w Galii, gdzie miały stać na straży *Pax Romana*, a dwa ulokował na terenie Galii Przedalpejskiej. Takie rozlokowanie wojsk zadaje kłam wszelkim pomówieniom Marcellusa i świadczy wymownie o tym, że Cezar jeszcze wierzył w możliwość pokojowego załatwienia sporu.

Po przybyciu do Rawenny spotkał się z Kurionem, którego kadencja jako trybuna ludowego właśnie upłynęła. Rozmowy z tym nietuzinkowym politykiem pozwoliły mu zapewne lepiej zorientować się w sytuacji politycznej Rzymu i sformułować wytyczne dla Kwintusa Kasjusza Longinusa i Marka Antoniusza, którzy zostali właśnie wybrani na trybunów ludowych i przejęli po Kurionie funkcje agentów politycznych Cezara.

Być może w wyniku tych rozmów skierował do senatu pismo, w którym oświadczył, że zgadza się na złożenie dowództwa pod

warunkiem, że to samo uczyni Pompejusz. W przeciwnym razie „natychmiast przybędzie, aby pomścić krzywdy jemu, jak i ojczyźnie wyrządzone”⁷.

Można by zarzucić Cezarowi pewną niekonsekwencję w działaniu, gdyż z jednej strony osłabił swą pozycję militarną pozostawiając większość swych sił w Galii, a z drugiej strony groził senatorom i Pompejuszowi zemstą, a więc jakby zaostrzał swe stanowisko. Analizując postawę Cezara musimy jednak pamiętać o tym, że był on inteligentnym, przewidującym politykiem i zdając sobie sprawę z nastrojów panujących w społeczeństwie, nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za rozpoczęcie wojny domowej.

Rozłokowując więc armię tak, jak wcześniej zostało opisane, wykazywał swą dobrą wolę, wysyłając równocześnie, używając terminologii sportowej, piłkę na stronę przeciwnika. Jego propozycja sprawiała wrażenie słusznej i uzasadnionej, a co najważniejsze – umiarkowanej; gdyby więc została odrzucona (a tego mógł się spodziewać), to wina za wszystko, co się potem stanie, powinna spaść na senat i Pompejusza.

Idąc tym tokiem myślenia można przypuszczać, że wzmianka o ewentualnej zemście miała jedynie uzmysłowić jego przeciwnikom, na co się narażają, odrzucając wyciągniętą rękę, bo wówczas to oni będą winni rozpętania wojny, a Cezar do stolicy przybędzie jako mściciel krzywd swoich i ojczyzny. Z pismem do Rzymu pojechał Kurion, który przy tej okazji pobił niewątpliwie ówczesny rekord szybkości, przebywając odległość 210 km dzielącą Rawennę od Rzymu w trzy dni. Dzięki temu przybył do stolicy 1 stycznia i natychmiast wręczył pismo nowym konsulom, czyli C. Klaudiuszowi Marcellusowi i L. Korneliuszowi Lentulusowi.

Zaliczali się oni do stronników Pompejusza i nie zamierzali początkowo nadawać sprawie biegu, jednakże pod naciskiem Marka Antoniusza, nowego trybuna związanego jak wiemy ściśle z Cezarem, popartego w tej sprawie przez K. Kasjusza, ustąpili i list w końcu odczytano. Wywiązała się gorąca dyskusja. Nie dotyczyła ona jednak treści pisma, gdyż przewodniczący obradom Lentulus wyraził stanowczy sprzeciw, oświadczając, że stawia na porządku dziennym rozważania nad ogólną sytuacją państwa. Wystąpienie

swe zakończył swoistym ultimatum, stwierdzając, że „nie uchybi swym obowiązkom wobec senatu i Rzeczypospolitej, pod warunkiem, że każdy wypowie swoje zdanie odważnie i stanowczo; jeśli zaś jak dawniej będą się oglądali na Cezara i ubiegali o jego względy, sam o sobie pomyśli wbrew powadze senatu – i on bowiem zna drogę do łaski i przyjaźni Cezara”⁸.

W niezwykle twardym tonie przemówił nowy teść Pompejusza – Scypion Metellus, oświadczając, że Pompejusz zamierza wypełnić swe obowiązki wobec Republiki, ale wymaga współdziałania senatu. Jeśli go jednak nie uzyska, wówczas „niech senat nie liczy na jego poparcie, gdy tego później zażąda”⁹. Nikt z obecnych na sali nie miał wątpliwości, że są to słowa nie Metellusa, lecz Pompejusza (przypominam, że ten ostatni, pełniąc funkcje wojskowe, nie mógł przebywać w mieście, stał jednak tak blisko, że, jak pisze Cezar, „mowa Scypiona miała to samo znaczenie co własne słowa Pompejusza”).

Wystąpienia te dodały odwagi przywódcom stronnictwa optymatów, którzy zdecydowanie odrzucili wszelkie propozycje zmierzające do złagodzenia konfliktu (m.in. M. Kalidiusza, który zaproponował podjęcie uchwały nakazującej Pompejuszowi wyjazd do przydzielonych mu prowincji). Nawet głosy wrogich Cezarowi, lecz bardziej rozsądnych senatorów (m.in. Klaudiusza Marcellusa konsula roku 51), proponujących nie podejmowanie zbyt drastycznych decyzji do czasu zakończenia przygotowań do starcia z Cezarem, zostały ostro skrytykowane przez Katona, Lentulusa i innych przywódców stronnictwa optymatów, bez żadnych już osłonek dążących do jak najszybszego rozprawienia się z przywódcą popularów. W końcu, w atmosferze politycznego nacisku, wręcz szantażu, podjęto decyzję nakazującą Cezarowi natychmiastowe rozpuszczenie wojsk pod groźbą uznania go za wroga ojczyzny. Nie pomogło nawet weto trybuna M. Antoniusza, które zostało odrzucone ze względów proceduralnych.

Była to fatalna w skutkach decyzja, gdyż praktycznie zamykała drogę do porozumienia między zwaśnionymi stronami, tworząc fakt dokonany, na który powołał się już w dniu następnym Katon. Odrzucił on mianowicie kategorycznie propozycję teścia Cezara,

Pizona, wyjazdu do Rawenny, podjęcia rokowań, stwierdzając, że lepiej zginąć niż przyjmować warunki od zwykłego obywatela, a takim stał się Cezar z chwilą oficjalnego pozbawienia go funkcji namiestnika. Była to replika bardzo w stylu tego zaciętrzewionego, nieco ograniczonego i upartego osobistego wroga Cezara i przywódcy optymatów w jednej osobie. Na jego też wniosek uchwalono decyzję, aby dla udokumentowania, że państwo znajduje się w niebezpieczeństwie, przywdziać szaty żałobne. Była to wprawdzie drobnostka, miała jednak swoją wymowę. W taki bowiem sposób, przynajmy, nader spektakularny, przywódcy obozu antycezariańskiego próbowali tworzyć fakty dokonane, terroryzując swą determinacją wahającą się jeszcze senacką większość.

Aby jak najszybciej i jak najpewniej osiągnąć cel, jakim było usunięcie Cezara ze sceny politycznej, przeprowadzono w początkach stycznia pełną „mobilizację sił”, spędzając – jak pisze autor *Pamiętników o wojnie domowej* – do senatu wszystkich, „którzy byli przyjaciółmi konsulów, co mieli obowiązki wobec Pompejusza, z dawna pokłóconych z Cezarem”. Dzięki temu Katon, Lentulus i Scypion mogli nie liczyć się z wetem Antoniusza, a nawet 5 stycznia 49 r. usunąć go po prostu siłą z senatu.

Był to kolejny dowód braku wyobraźni ze strony „pompejanów”, gdyż Antoniusz opuścił senat biorąc wszystkich obecnych za świadków znieważenia jego godności. Już Plutarch zauważył, jak bardzo było to niezręczne i jak wielki argument propagandowy senat dostarczył Cezarowi. Od tej chwili to on właśnie będzie stale występować w „todze” obrońcy świętych i nienaruszalnych praw Republiki bezpardonowo naruszanych przez optymatów.

Należy również podziwiać zimną krew Cezara w tych gorących dniach początku 49 r. Mimo gwałtownie pogarszającej się sytuacji i coraz bardziej zdecydowanych ataków przeciwników, polecił on swym przedstawicielom, aby w oficjalnych wystąpieniach i prywatnych rozmowach zdecydowanie podkreślali, że gotów jest pójść na daleko idące ustępstwa.

Zapowiedzi tych ustępstw były rzeczywiście istotne i, gdyby zostały przyjęte i zrealizowane, to mogły istotnie przyczynić się do rozwiązania kryzysu. Cezar oświadczał bowiem, że w przypadku

osiągnięcia porozumienia rozwiąże osiem legionów, a zachowa jedynie dwa i namiestnictwo samej tylko Galii Przedalpejskiej (ostatecznie podobno Cezar godził się nawet na jeden legion i jedną prowincję – Ilirię). W przekazaniu tych propozycji pośredniczył wielki mówca tego czasu – Cyceon, który był wprawdzie całym sercem w obozie optymatów, ale potrafił myśleć dalekowzrocznie i nie był zaślepionym nienawiścią wrogiem Cezara. A ponadto szczerze chciał uniknąć zbrojnego konfliktu!

Pompejusz początkowo podobno skłaniał się do zaakceptowania tych ugodowych propozycji, niestety, musiał ustąpić pod naciskiem „senackich jastrzębi”, którym wizja bliskiego – w ich mniemaniu – sukcesu odebrała zdolność logicznego i rozsądnego myślenia. Odrzucając w całości przedstawione senatowi propozycje, przekreślili równocześnie możliwość zawarcia jakiegokolwiek kompromisu, gdyż na dalsze ustępstwa Cezar pójść już po prostu nie mógł.

Dalsza eskalacja „histerii wojennej” nastąpiła na posiedzeniu senatu w dniu 7 stycznia. Uchwalono wówczas zasadę tzw. *senatus consultum ultimum*, która, w myśl uświęconej tradycją formuły, zobowiązywała konsulów i prokonsulów pozostających w okolicy Rzymu do czuwania nad tym, aby Republika nie poniosła szkody.

Prawo rzymskie pozwalało podejmować tego rodzaju uchwały jedynie w przypadku skrajnego zagrożenia państwa. Czy takie zagrożenie istniało faktycznie w styczniu 49 r.? Na pewno nie. Z tego więc punktu widzenia była to uchwała sprzeczna z prawem, co oczywiście natychmiast wykorzystali dwaj sprzyjający Cezarowi trybuni ludowi – Antoniusz i Kasjusz, zakładając przeciw tej uchwale weto. Niestety senat, terroryzowany przez stronnictwo wojenne, odrzucił weto, a konsul Lentulus przypomniał obu jego autorom los tych trybunów, którzy w przeszłości upór swój przypłacili życiem, i doradził opuszczenie miasta, co też obaj uczynili w nocy z siódmego na ósmy stycznia, dla bezpieczeństwa przebijając się w stroje niewolników. Razem z nimi uciekli również Kurion i Celiusz (zaliczał się on do bliskich przyjaciół Cyceona, a do stronnictwa Cezara przystał zupełnie niedawno).

Tego kolejnego poważnego błędu konsulów i całego senatu Cezar nie omieszkał już wkrótce wykorzystać, wskazując przeciwni-

kom wszystkie błędy polityczne i całą bezsensowność ich postępowania.

Przysłowiową kroplą, która przepełniła kielich, była kolejna decyzja podjęta przez senat w dniu 7 stycznia, a mianowicie mianowanie L. Domicjusza Ahenobarbusa, jednego z jego najzagorzalszych wrogów osobistych i politycznych, następcą Cezara w prowincjach.

Trudno nie zauważyć, że większość decyzji senat w tych brzemiennych w skutki dniach stycznia 49 r. podejmował bez zastanowienia się, pochopnie i, jak pisze Cezar, „nagle i bezładnie”. Stąd tyle błędów popełnionych przez bądź co bądź wytrawnych i doświadczonych polityków. Błędów, których skutki odczuli już w najbliższej przyszłości.

Trudno też nie zgodzić się z autorem *Commentarii de bello civili*, że Katonem, Lentulusem, Scypionem i Pompejuszem kierowała przede wszystkim zadawniona nienawiść i chęć jak najszybszego osiągnięcia majątków, władzy i zaszczytów. A tego rodzaju emocje nie są, jak wiemy, najlepszymi doradcami przy podejmowaniu tak ważkich decyzji politycznych. A jeśli jeszcze towarzyszy im nadmierna pewność siebie i arogancja, skutki mogą być opłakane.

Kości zostały rzucone, a konkretnie to senat wykonał swój rzut i teraz mógł już tylko czekać na odpowiedź przeciwnika.

W PRZEDEDNIU WOJNY

RUBIKON

Wówczas, gdy w Rzymie, a zwłaszcza w senacie, grały surmy bojowe, a w całej Italii ogłaszano zaciągi do wojska i przeprowadzano powszechną rekwizycję broni, Cezar nadal przebywał w Rawennie. W przeciwieństwie do swych wrogów nie podejmował żadnych gwałtownych, nieprzemyślanych decyzji. Mimo swej przyszłowiowej wręcz niecierpliwości i nerwowości, tym razem potrafił narzucić sobie wręcz stoicki spokój i rozwagę, którą widać w każdym jego kroku, w każdym posunięciu i w każdej decyzji.

Jako bardzo inteligentny, przenikliwy i przewidujący polityk Cezar zdawał sobie sprawę z wszystkich niebezpieczeństw, jakie czyhały na niego na drodze, którą obrał. Przeciw sobie miał legalne władze państwa, całe siły ogromnego imperium skupione w rękach wodza, który, przynajmniej wówczas, cieszył się sławą najbardziej utalentowanego dowódcy swoich czasów. To były minusy! A plusy? Właściwie tylko jeden – armia licząca dziesięć legionów. Nie był to jednak atut decydujący, gdyż ta armia pozbawiona była w rzeczywistości bezpiecznego zaplecza, gdyż nie była nim przecież dopiero co ujarzmiona Galia.

Czy zresztą Cezar mógł być tak naprawdę i do końca pewny swych legionów? Wprawdzie armie rzymskie od czasu reform Mariusza (wrócimy jeszcze do tego tematu) były bardziej związane ze swymi dowódcami niż z państwem, bo od pomyślności dowódcy zależał w znacznej mierze los żołnierzy, czy jednak można było być w stu procentach pewnym ich wierności? Zwłaszcza że przeciwni-

kiem miał być nie tylko senat, ale również Pompejusz, prawdziwe dziecko szczęścia, bardzo popularny wśród żołnierzy.

Zapewne więc pytanie, czy jego żołnierze i oficerowie pozostaną mu wierni i pójdą za nim przeciw legalnym władzom Republiki, spędzało sen z oczu Cezara. Nie był to przecież jeszcze czas, gdy wojsko – pretorianie i armia – decydowali w pełni o obsadzie tronu i gdy równocześnie imperium miało dwóch, trzech lub nawet więcej cesarzy mianowanych przez podległe im wojska.

Dlatego też Cezar tak spokojnie i rozważnie przygotowywał się do starcia, na każdym kroku podkreślając swą dobrą wolę i chęć porozumienia się z senatem, a główna linia jego propagandy szła w kierunku wykazania, że to nie on, a jego przeciwnicy w senacie łamią prawa Republiki. A w takim razie to nie on, Cezar, działa na szkodę państwa, a jego przeciwnicy. Nie jest buntownikiem, lecz skrzywdzonym przez swych wrogów człowiekiem, który wszystkie swe siły, całe swoje życie poświęcił dla dobra państwa i jego obywateli. Tego argumentu będzie używał nie raz i nie dwa, w różnych sytuacjach i w różnych konfiguracjach. Był on adresowany przede wszystkim do własnej armii, którą prosił po prostu o pomoc i opiekę, odwołując się do wspólnie przeżytych niebezpieczeństw i wspólnie odniesionych zwycięstw, a także, choć niejako na drugim planie, do wahających się jeszcze senatorów i do współobywateli poddanych indoktrynacji stronnictwa popularów, które czyniło z Cezara i jego wojsk wręcz przysłowiowego „czarnego luda”.

To dlatego właśnie, od samego początku, nawet wówczas, gdy już „kości zostały rzucone” i rozpoczęły się otwarte działania zbrojne, powtarzał stale i uparcie, że pokój jest możliwy do osiągnięcia, że nie ma takiej trudności, której przy dobrej woli obu stron nie można rozwiązać polubownie, a on, Cezar, tej dobrej woli ma wręcz w nadmiarze...

Uprowadzając nieco wypadki warto zwrócić uwagę, że udało mu się odnieść w tej „zimnej” propagandowej wojnie równie wielki sukces jak na polach bitew. Zwłaszcza w stosunku do własnej armii, gdyż propaganda senacko-pompejańska okazała się mało skuteczna, ostatecznie bowiem na stronę pompejanów przeszedł tylko jeden wyższy oficer Cezara, legat Tytus Labienus.

W obozie optymatów przywitano go oczywiście z ogromną radością, był to bowiem doskonały oficer, bardzo popularny wśród żołnierzy i uważany w armii Cezara za „najwierniejszego z wiernych”. Można chyba przypuszczać, że Pompejusz nie był specjalnie zdziwiony tą dezercją, gdyż, w jego przekonaniu, stanowiła ona potwierdzenie informacji o fatalnych nastrojach wśród cezariańskich legionistów, o których, jak pamiętamy, meldował mu jego wysłannik...

Zresztą nie tylko on miał nadzieję, że za Labienusem pójdą inni. Również i pozostali optymaci mieli nadzieję, że armia Cezara stopnieje jak śnieg na wiosnę, zanim dojdzie do pierwszego starcia.

Wkrótce jednak okazało się, że euforia była stanowczo przedwczesna, gdyż poza Labienusem nikt nie przeszedł na drugą stronę. Wkrótce też wyszło na jaw, że powody odejścia Labienusa nie miały nic wspólnego z sytuacją polityczną i były wyłącznie natury osobistej. Podobno Labienus sądził, że Cezar zazdrości mu olbrzymich bogactw zgromadzonych w Galii i sławy wojennej i liczył się z możliwością represji z jego strony. Aby zaprzeczyć tego rodzaju podejrzeniom, Cezar kazał zebrać wszystkie pozostawione przez Labienusa rzeczy i odesłać mu na południe, do obozu Pompejusza.

Powróćmy jednak do zasadniczego toku wydarzeń. Wiadomość o decyzjach podjętych przez senat w dniu 7 stycznia dotarła do Rawenny najprawdopodobniej 9 stycznia wieczorem lub (co bardziej prawdopodobne) 10 stycznia rano. Dla Cezara był to ostateczny sygnał, że czas oczekiwania już minął i że trzeba podjąć ostateczne decyzje. Mimo to nie przerwał zaplanowanych na ten dzień czynności i spokojnie oglądał walki gladiatorów. Następnie dokonał inspekcji budowy szkoły dla szermierzy, a wieczorem wziął udział w uczcie przygotowanej dla przyjaciół i miejscowych notabli.

Były to jednak tylko pozory. Już bowiem w godzinach przedpołudniowych grupa zaufanych trybunów wojskowych i centurionów uzbrojonych jedynie w miecze opuściła Rawennę z zadaniem wejścia do Ariminum (obecna Rimini) – ważnego miasta leżącego już poza granicami Galii, w Italii. Wkrótce potem cały legion XIII otrzymał rozkaz marszu w kierunku tego miasta.

Sam Cezar, gdy zapadł już zmrok, przeprosił swych gości, oświadczając, że powróci za chwilę, i opuścił biesiadę. Za bramą

czekał na niego wóz, zaprzężony, jak twierdzi Swetoniusz, w muły z pobliskiego młyna, do którego wódz wsiadł wraz z kilkoma wcześniej uprzedzonymi przyjaciółmi. Dla zmylenia ewentualnych obserwatorów ruszył – jak pisze Plutarch – jakąś inną drogą i dopiero po kilkunastu kilometrach zawrócił w stronę Ariminum.

Niestety, Cezar w swoich pamiętnikach pomija milczeniem przebieg zdarzeń poprzedzających wejście do Ariminum, natomiast relacje starożytnych autorów są sprzeczne i, powiedzmy otwarcie, dość niepewne. Na przykład Swetoniusz twierdzi, że woźnica zabłądził w zupełnych ciemnościach i dopiero przed świtem przypadkowo spotkany przewodnik poprowadził Cezara i jego towarzyszy wąskimi, bocznymi drogami pieszo nad Rubikon, gdzie już czekały na niego kohorty XIII legionu.

Za autorem *Żywotów cesarów* powtarzają tę wersję także inni autorzy, również współcześni. Rzecz nie wydaje się zbyt prawdopodobna, gdyż przecież Cezar znał dobrze Rawennę i jej okolice, przebywał w tym mieście nie pierwszy raz i zawsze były to dłuższe okresy. A jeśli nawet sam nie znał zbyt dobrze drogi, to zapewne postarałby się o miejscowego woźnicę znającego ją dobrze. Czyż można bowiem przypuszczać, aby tak doświadczony i przezorny wódz ryzykował powodzenie całej operacji błakając się po bezdrożach wokół miasta?

Nie tylko zresztą ta informacja dotycząca słynnego przekroczenia Rubikonu – była to rzeka graniczna między Galią a Italią, poza którą leżało właśnie Ariminum – jest bardzo niepewna i budzi wątpliwości. Jak wiele ważnych wydarzeń, również i to obrosło w legendy i domysły, które – powtarzane wielokrotnie – zaczynają grać rolę faktów. Grzechu tworzenia legend, lub, w najlepszym przypadku, ich powtarzania nie uniknął nawet tak wytrawny obserwator dziejów, jakim był niewątpliwie Plutarch. Nie wspomina wprawdzie o błędzeniu, ale za to każe Cezarowi zatrzymać się nad rzeką i w milczeniu rozmyślać i się wahać. A nawet prowadzić długie rozmowy z przyjaciółmi, w czasie których informował o swoich wewnętrznych rozterkach, a zwłaszcza o tym, jak wiele nieszczęścia może przynieść ludzkości to jego przekroczenie rzeki i jak go za to osądzi potomność ¹⁰.

Podobnie rzecz przedstawia Appian, zdaniem którego w czasie tych medytacji Cezar miał podobno głośno oświadczyć, że jeśli wstrzyma się od przekroczenia rzeki, zaczną się nieszczęścia dla niego, a jeśli ją przekroczy, nieszczęścia spadną na wszystkich.

Bardzo to wszystko mało prawdopodobne. Przecież tak ważkiej decyzji Cezar nie podejmował nagle, bez uprzedniego głębokiego namysłu. Na zastanawianie się miał dość czasu obserwując rozwój wypadków w Rzymie. A jeśli nawet w ostatniej chwili naszły go wątpliwości, to na pewno nie dzielił się nimi ze swym otoczeniem, gdyż w ten sposób mógł zasiać ziarno wątpliwości w umysłach swych towarzyszy, a na tym na pewno mu nie zależało.

Plutarch zresztą raczy nas dodatkowo wstrząsającą doprawdy wizją proroczego wręcz snu Cezara. Jego zdaniem Cezarowi w noc przed przekroczeniem Rubikonu śniła się jego matka, z którą miał kazirodczy stosunek! Dziejopis nie opatruje wprowadzie tej wizji żadnym komentarzem, ale można łatwo domyśleć się, że sen ten spełnił się właśnie w chwili przekroczenia Rubikonu.

Najdalej w ubarwianiu ostatnich chwil przed przekroczeniem Rubikonu poszedł jednak wspomniany już Swetoniusz, starając się nadać całemu przedsięwzięciu cechy wręcz niezziemskiego wydarzenia, zupełnie w stylu Homera. Oto cytat z jego *Żywotów cesarów*: „Gdy jeszcze zwlekał, takie ukazało się prorocze zjawisko. Oto jakiś człowiek niezwykłego wzrostu i urody zjawił się nagle w pobliżu, siedząc i przygrywając na trzcinowej fujarce. Gdy oprócz pasterzy zbiegli się tłumnie żołnierze z posterunków, aby go posłuchać, wśród nich trębacze, ów człowiek, chwyciwszy trąbę, skoczył do rzeki, z wielką siłą zagrał hasło bojowe i przeszedł na drugi brzeg”. Ten wieszczczy znak tak bardzo wstrząsnął podobno Cezarem, że porzucił wreszcie wszelkie wahania i wypowiedział słynne zdanie: „Idźmy tam, dokąd nas wzywają znaki wieszczce bogów oraz niesprawiedliwość wrogów. Kości są rzucone” ¹¹.

Wynika z tego niedwuznacznie, że to wcale nie Cezar, lecz zapewne któryś z bogów lub przynajmniej Geniusz rodu Juliuszów wypowiedział wojnę Republice. Cezar okazał się w tym przypadku jedynie bezwolnym wykonawcą woli istot wyższych. No cóż, w historii ludzkości, a zwłaszcza w historii wojen nie brak tego typu

cudownych, wieszczych znaków i wielu historyków i kronikarzy, nie tylko w starożytności, ale i w czasach znacznie nam bliższych ubarwiało nimi swoje opisy.

Nam wypada jedynie wyrazić żal, że nie zachowała się bezpośrednia relacja jednego z niewielu powierników Juliusza Cezara, bezpośredniego uczestnika wydarzeń Azyniusza Polliona, wówczas bowiem moglibyśmy poznać przebieg wydarzeń z bardziej wiarygodnego źródła.

Dysponujemy jeszcze interesującą, i kto wie czy nie najbliższą prawdy relacją poety Lukiana, który w swej epopei *Pharsalia* twierdzi, że przejście Rubikonu nastęrczało wiele problemów natury technicznej. Otóż rzeka, w lecie wąska i płytka, zimą wzbiera z powodu ulewnych deszczy w Alpach i staje się trudna do przebycia. Tak było być może i w tych pierwszych dniach stycznia roku 49.

Nie chcąc, a raczej nie mogąc tracić czasu na budowę mostu, a pragnąc uniknąć strat, które mogłyby zostać odczytane przez jego przesądnych i na pewno bardzo podenerwowanych żołnierzy za zły znak (dla nich przecież przekroczenie Rubikonu miało posmak wręcz świętokradztwa), Cezar podobno posłużył się sposobem wypróbowanym w czasie przepławiania się przez rzeki w Galii. Przegrodził mianowicie nurt rzeki szeregiem konnych żołnierzy, aby osłabić prąd, i dopiero wówczas piechota przeszła brodem.

A poza tym, z wieszczymi znakami czy bez, przejście Rubikonu było decyzją brzemioną w skutki, albowiem prawa Republiki zabraniały prokonsulowi wkraczania z wojskiem do Italii. Teoretycznie w tym więc właśnie momencie rozpoczęła się wielka, trwająca kilka lat wojna domowa, która na zawsze zmieniła oblicze państwa rzymskiego. Wojna, której echa brzmią, bez przesady, po dzień dzisiejszy (choćby w tytule cesarza, który wywodzi się od nazwiska Cezar).

Można się oczywiście zastanawiać, czy Cezar przekraczając Rubikon miał świadomość podejmowania nieodwołalnej decyzji? Raczej na pewno tak, choć nie brak opinii, że nadal nie chciał wojny z Pompejuszem i optymatami, a Ariminum zajął jedynie po to, aby unaocznić swym wrogom, że jest gotów na wszystko. Zdaniem nie-

których autorów łudził się jeszcze, że krok ten wpłynie otrzeźwiająco na jego przeciwników i skłoni ich do powrotu do stołu rokowań.

Oczywiście wykluczyć takiej ewentualności nie można. Powstaje jednak pytanie, na jakich warunkach rozmowy te miałyby się rozpocząć? Po przekroczeniu Rubikonu wszelki kompromis między obu stronnictwami był już mocno wątpliwy, chyba wręcz niemożliwy. Również dlatego, że zadufani w swe siły przywódca senatu oczekiwali szybkiego, łatwego i zupełnego sukcesu.

Cezar, doskonale orientujący się w sytuacji, w jakiej znalazła się Italia, mógł przyjąć z uśmiechem pobłażania oświadczenie Pompejusza, że tupnięciem nogi powoła do życia legiony. Ale na zacierzwionych liderach optymatów ta swoista papkinada ich wodza zrobiła ogromne wrażenie, bo na ogół jest tak, że ludzie wierzą w to, w co chcą uwierzyć. To dopiero później, po pierwszych klęskach, uprzednia przesadna wiara w potęgę Pompejusza senackich „jastrzębi” przemieniła się w panikę. To dopiero wówczas, gdy do Rzymu dotarły pierwsze wiadomości o miastach zajmowanych przez dowódców armii Cezara, gdy pojawili się pierwsi uciekinierzy, nawet najbardziej wierni sojusznicy Pompejusza poczuli się zawiedzeni jego brakiem energii, a jeden z nich ośmielił się nawet zakpić z wodza proponując, aby już tupnął nogą i wywołał legiony spod ziemi. Dopiero wówczas też w wielu miastach i w wielu świątyniach pojawiły się wieszczcze znaki świadczące o możliwości klęski (opowiadano o krwawym deszczu, o posągach, z których nagle zaczął spływać pot, a nawet o kobiecie, która urodziła potwora).

Ale nawet wówczas senat nie mógł przystąpić do rzetelnych rozmów mających na celu zakończenie konfliktu, chociażby dlatego, że warunkiem wstępnym ich rozpoczęcia musiało być zaakceptowanie ewidentnego buntu i złamania fundamentalnych praw państwa. A to oznaczałoby faktyczną kapitulację, praktycznie bez walki.

Zdawał sobie z tego sprawę Pompejusz, dlatego odrzucił wszelkie propozycje rozmów (z takim wnioskiem wystąpił Cynceron). Ale niewątpliwie prawda ta musiała być nieobca również Cezarowi, przecież był to najinteligentniejszy i najbardziej przenikliwy polityk tego okresu (opinii tej nie mogą zmienić relacje kronikarzy opisują-

cych jego perypetie z przekroczeniem Rubikonu). Składane więc przez niego propozycje rozmów pokojowych, ponawiane zresztą wielokrotnie, w różnych fazach wojny, były, o czym już wspominaliśmy, kolejnym elementem wojny propagandowej, którą Cezar toczył cały czas, obok działań zbrojnych, a której celem było wykazanie, że wyłączną winę za rozpętanie wojny domowej ponoszą senat i Pompejusz odrzucający systematycznie wszelkie jego pokojowe inicjatywy.

Do Ariminum Cezar wszedł wczesnym rankiem 11 stycznia. Miasto nie stawiało oporu. Wprawdzie w zachowanych tekstach można przeczytać, że obudzeni głośnie trąb mieszkańcy w popłochu chwycili za broń, ale oddział wysłany przodem opanował już plac centralny, na którym wkrótce ustawiły się kohorty XIII legionu. Wówczas widząc, że mają do czynienia z regularną armią rzymską, mieszkańcy zrezygnowali z jakiegokolwiek oporu i „trzęsąc się z trwogi” rozeszli się do domów. Gdy już wojsko ustawiło się w szeregach, na mównicę wyszedł Cezar. Swetoniusz pisze, że stanął przed żołnierzami XIII legionu „płacząc i rozdzierając szaty na piersiach” ¹². Nie ma powodu, aby tym razem wątpić w jego słowa, gdyż był to podobno gest często stosowany przez starożytnych dla podkreślenia głębokich uczuć. Następnie wskazał na stojących obok trybunów ludowych, M. Antoniusza i K. Kasjusza. Przybyli oni do Ariminum dzień wcześniej i nadal paradowali w szatach niewolników, tych samych, które mieli na sobie uciekając z Rzymu przed zemstą optymatów.

Już sam ten fakt świadczy, jak doskonale Cezar wyreżyserował i przygotował swe pierwsze wystąpienie od chwili rzucenia wyzwania senatowi. Skierowane było ono bezpośrednio do żołnierzy XIII legionu i miało ich przekonać o słuszności i czystości intencji wodza, a tym samym skłonić do poparcia jego poczynań. Ale Cezar nie miał również żadnych wątpliwości, że echa jego manifestu dotrą do Rzymu, a stamtąd do najodleglejszych zakątków imperium i będą z uwagą wysłuchane zarówno przez jego wrogów, jak i przyjaciół. Zaczął więc od przypomnienia swych niewątpliwych zasług dla ojczyzny oraz zniewag, jakich w ostatnim okresie nie szczędził mu senat.

Ale to oczywiście nie wszystko. W dalszym ciągu swego wystąpienia podkreślił z całą mocą, że senat i Pompejusz w swym zacieźtrzewieniu nie tylko jego skrzywdzili. Podobny los spotkał również Republikę, której prawa zostały pogwałcone. W tym momencie Cezar dramatycznym gestem wskazał na obu trybunów i poskarżył się „na tak gorszący przykład, jakim jest dla Republiki zastraszenie i przemoc wobec trybunów zakładających weto”¹³. Przecież prawa tego nie odebrał im nawet Sulla mimo całej swej bezwzględności. Zrobił to dopiero Pompejusz, występujący w glorii obrońcy praw i odnowiciela utraconych przywilejów.

Wniosek, jaki z tego słuchacze winni byli wysnuć, był prosty. To nie on, Cezar, pogwałcił prawa Republiki. Zrobili to jego przeciwnicy. Żołnierze XIII legionu i całej armii galijskiej powinni więc wystąpić w obronie państwa oraz w obronie czci i godności swego wodza. Ta część manifestu miała przekonać oficerów i żołnierzy, że w rzeczywistości nie dokonują wojskowego zamachu stanu, a wręcz przeciwnie, występują w obronie państwa i jego praw przeciw wrogom Republiki.

Ale Cezar był zbyt dobrym i doświadczonym znawcą natury ludzkiej, aby na tym poprzestać. Wiedział o tym, że zdecydowana większość jego słuchaczy zastanawia się w tym momencie nad własnym losem, który nagle stanął pod wielkim znakiem zapytania.

Wprawdzie lata wojny, wspólnie dzielone trudy i niebezpieczeństwa, dziesiątki wygranych bitew, a wreszcie i ogromne łupy, które stały się własnością wszystkich, stworzyły specyficzną, trwałą więź między nim i jego armią. Ale to była przeszłość. Wielu żołnierzy swój udział w zdobyczach zdołało już przehulać i teraz z niepokojem patrzyło w ciemną i bardzo niepewną przyszłość. Do nich właśnie zwrócił się mówiąc, iż wie, że żołnierzy interesuje przede wszystkim ich własny los. Cóż się z nimi stanie, jeśli Cezar zostanie pozbawiony dowództwa? Otóż będzie musiał wówczas rozpuścić swe legiony. Żołnierze powrócą do domów bez żadnych nagród za długoletnią służbę, bez przyznanych im przez państwo działek. Co więc stanie się z nimi na starość? Tylko idąc z Cezarem będą mogli zapewnić sobie pogodną i dostatnią przyszłość!

Czy manifest Cezara w pełni przekonał legionistów? Większość

zapewne tak. Zwłaszcza że dla podkreślenia wagi swych słów Cezar zapewnił ich, że nie zawaha się sprzedać nawet własnego pierścienia, aby wynagrodzić ich wierną służbę.

Z tym gestem wiąże się ponoć zabawne nieporozumienie. Podobno część żołnierzy stojąca dość daleko od trybuny nie słyszała słów wodza. Widzieli tylko, jak kilkakrotnie podnosi lewą rękę z pierścieniem i, zdaniem Swetoniusza, zrozumieli ten gest jako obietnicę nadania im prawa do noszenia pierścienia na lewej ręce, co według praw Republiki równało się wpisaniu do stanu ekwitów. Czy wobec tak wspaniałych perspektyw mogli pozostać obojętni? Zwłaszcza jeśli się pamięta, że wpis na listę członków tego stanu kosztował 400 000 sesterców? Gdy później dowiedzieli się o pomyłce, na jakikolwiek protest było już za późno.

Jeśli mimo tak wielu argumentów pozostała jeszcze jakaś grupa wahających się, to porwał ich swym przykładem i ostatecznie przekonał Leliusz, jeden z podoficerów XIII legionu, który ponoć w imieniu własnym i swych kolegów prosił Cezara, aby powiódł ich do walki ze swymi wrogami, a następnie złożył obietnicę dokonania na rozkaz wodza najpotworniejszych zbrodni. Zdaniem wspomnianego już Lukana, miał on podobno oświadczyć, że jeśli Cezar rozkaże mu zabić ojca, brata lub brzemenną żonę, to wprawdzie będzie się wzdragał, ale rozkaz wykona. Tak samo postąpi, jeśli trzeba będzie zburzyć świątynie, ograbić bogów i burzyć miasta. Nie zawaha się nawet zrównać z ziemią samego Rzymu.

Wobec takiego przywiązania udokumentowanego tak potwornymi obietnicami, serca żołnierzy nie mogły pozostać obojętne i nieczułe. Entuzjazm ogarnął wszystkich (nawet tych wątpiących) i, jak pisze Lukan, „Wszyscy unieśli w górę ramiona i obiecali oddać je wojnom, jakiegokolwiek by były i dokądkolwiek Cezar by ich wezwał”.

Nie wiemy, czy Lukan relacjonuje fakty, czy też przekazuje nam własną, poetycką wizję wydarzeń, ale tak naprawdę jest to mało istotne. Ważne było to, że wcześniejsze obawy i rozterki Cezara okazały się bezpodstawne, żołnierze jeszcze raz dali się porwać jego wymowie (i oczywiście przykładowi swego pełnego determinacji kolegi Leliusza) i zdecydowali się pójść za swym wodzem przeciw

Republice, na dobre i na złe.

Wydarzenia te miały miejsce w godzinach porannych 12 stycznia 49 r. p.n.e. i można z pełną odpowiedzialnością rzec, że był to pierwszy dzień wojny domowej, która zmieniła zupełnie bieg losów państwa rzymskiego, a tym samym i Europy. Rzucone raz kości potoczyły się dalej. Ten rzut należał wprawdzie do Cezara, ale nie zapominajmy, że grę rozpoczął znacznie wcześniej senat i Pompejusz.

ARMIA RZYMSKA

W rozpoczynającym się konflikcie zbrojnym stanęły naprzeciw siebie dwie armie, identyczne pod względem struktury, uzbrojenia, stosowanych metod walki itp.

Armia rzymska już od dawna uznana była za najlepszą w ówczesnym świecie. To głównie bowiem dzięki swym siłom zbrojnym Rzym, początkowo niczym nie wyróżniające się i słabo pod względem gospodarczym rozwinięte miasteczko nad Tybrem, przekształcił się w największą potęgę świata antycznego. Spróbujmy więc, w dużym oczywiście skrócie, prześledzić zachodzące w nich zmiany.

Początkowo podstawą sił zbrojnych było pospolite ruszenie, w którym obowiązani byli uczestniczyć wszyscy obywatele mogący wykazać się odpowiednim cenzusem majątkowym, będący w wieku od 17 do 46 lat.

Pobór do wojska organizowali konsulowie na podstawie list cenzorskich. Oni też byli najwyższymi dowódcami armii. W normalnych więc warunkach siły zbrojne Rzymu składały się z dwóch armii konsularnych. W skład każdej z nich wchodziły dwa legiony złożone z obywateli rzymskich oraz oddziały wojsk sprzymierzeńców. Legion w pełnym składzie liczył zwykle 4500 żołnierzy, w tym: 3000 ciężkozbrojnych piechurów, 1200 lekkozbrojnych (welitów) i 300 jeźdźców. Ciężkozbrojna piechota legionowa podzielona była na 30 manipułów, a każdy manipuł na dwie centurie, którymi dowodzili centurionowie. W oddziałach istniał dodatkowo podział według wieku i doświadczenia bojowego. Młodszy piechurzy (do 24 roku życia) nazywali się *hastati* (od *hasta* – włócznia), średniego wieku – *principes*, a najstarsi – *triarii*. *Hastati* i *prin-*

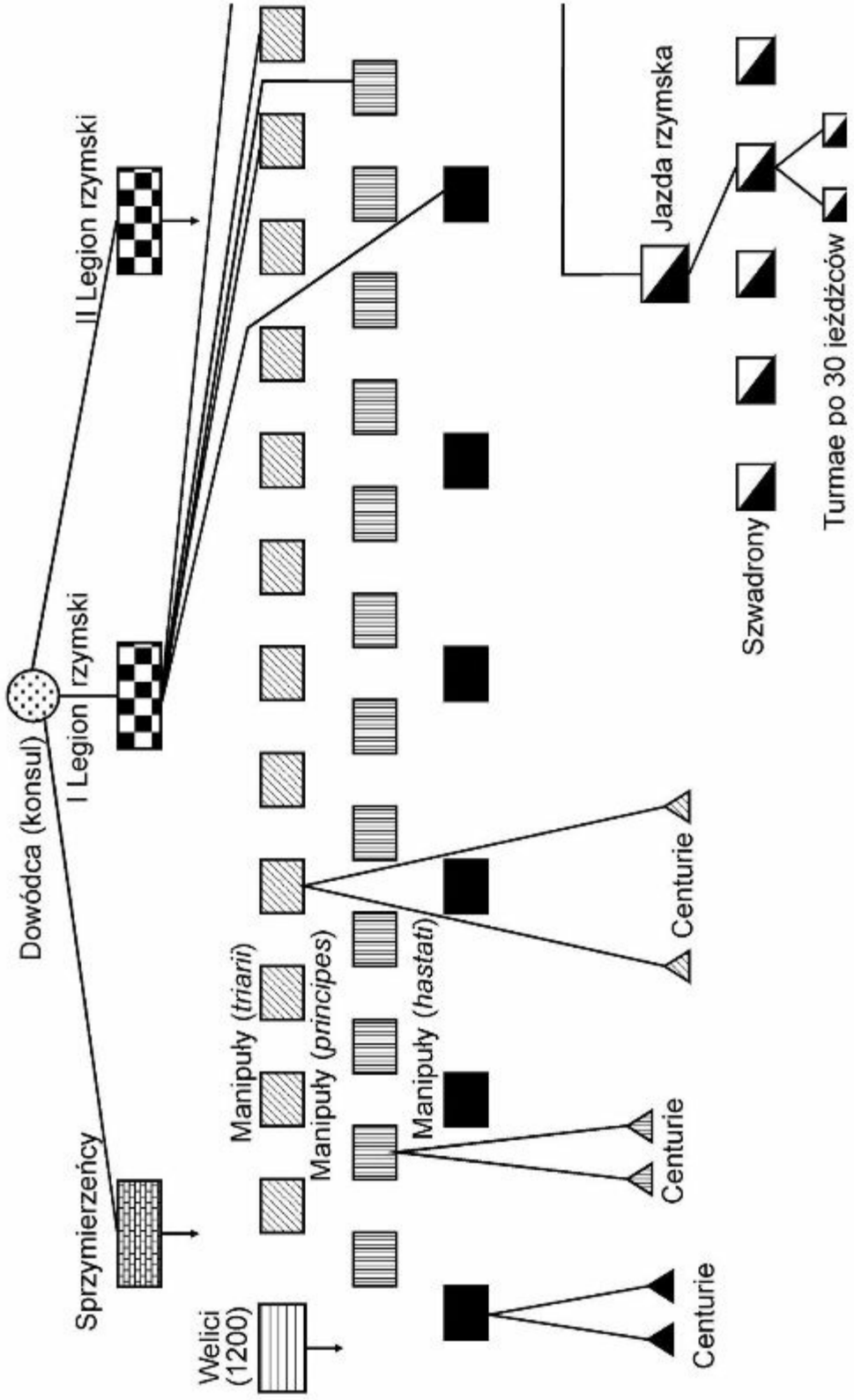
cipes było w legionie po 1200, a *triarii* – 600. Schemat legionu prezentuje wykres na następnej stronie.

Jazda rekrutowała się z najzamożniejszych obywateli pierwszej klasy majątkowej, ich bowiem stać było na zakup i utrzymanie koni, pełnego wyposażenia, zbroi itp. Do ciężkozbrojnej piechoty natomiast powoływano średniozamożnych chłopów należących do drugiej, trzeciej i czwartej klasy majątkowej. Piąta klasa majątkowa służyła w lekkozbrojnej piechocie. Podział armii według klas majątkowych był istotny przede wszystkim z tego powodu, że obowiązek nabywania ekwipunku odpowiedniego dla danego rodzaju broni spadał na samych żołnierzy i ich rodziny. Do każdego legionu dołączane były kohorty Latynów o tym samym stanie liczebnym co legion oraz jazda sprzymierzeńców trzykrotnie liczniejsza niż rzymska.

Wyższymi oficerami w legionie byli legaci. Legatów wybierali konsulowie spośród senatorów. Byli oni pierwszymi pomocnikami konsula i z jego ramienia dowodzili większymi oddziałami wojsk. Do korpusu oficerskiego zaliczano również trybunów wojskowych. Początkowo mianowali ich również konsulowie, później wprowadzono zasadę wybierania ich przez zgromadzenie ludowe po sześciu na każdy legion.

Wbrew obiegowym poglądom zakres zadań trybunów wojskowych był bardzo szeroki. Do nich bowiem należało czuwanie nad organizacją szyku manipularnego, sporządzanie wykazów ludzi będących pod bronią, dbanie o bezpieczeństwo obozu, rozmieszczanie straży i posterunków, a także dbałość o porządek i ład w obozie. Oni też na ogół przekazywali centurionom rozkazy otrzymane od dowódcy legionu. Nader istotnym zadaniem trybunów było dokonywanie sprawiedliwego podziału zdobyczy między żołnierzy.

Ponadto w legionie byli jeszcze kwestorzy (początkowo dwóch, później czterech). Do ich zadań należały sprawy finansowe i zaopatrzenie wojska. Czasem również prowadzili dochodzenia w sprawach o przestępstwa wojenne.



Schemat legionu rzymskiego

W skład kadry oficerskiej legionu (a więc również szeroko pojętego sztabu) wchodził jeszcze rzymscy *praefecti socium* sprawujący główne dowództwo nad oddziałami sprzymierzeńców (w walce dowodzili nimi ich własni oficerowie) ¹⁴.

Niestety, poważnym mankamentem armii rzymskiej, zarówno w okresie republiki, jak i później cesarstwa, był brak zawodowego korpusu wyższych oficerów. W znacznym stopniu rekrutowali się oni bowiem spośród polityków, a więc ludzi, którzy dość często nie mieli żadnego przygotowania militarnego, nierzadko też bywali powoływani przez dowódców armii na zasadzie układów politycznych lub personalnych (na takiej zasadzie np. służył w armii Cezara w okresie podboju Galii syn triumwira Krassusa, który okazał się zresztą bardzo dobrym oficerem).

Uzbrojenie ciężkozbrojnej piechoty, która zawsze była podstawową bronią rzymskich armii, składało się w tym okresie z włóczni (*pilum* lub *hasta*), szerokiego, stosunkowo krótkiego miecza (*gladius*) oraz prostokątnej tarczy (*scutum*) i żelaznego hełmu (*cassis*). Lekkozbrojni (*velites*) uzbrojeni byli w krótkie włócznie (*iacula*), lekkie plecione tarcze (*panna*) i skórzane hełmy (*galea*).

Jazda legionowa dzieliła się na dziesięć oddziałów (*turmae*) po trzydziestu żołnierzy w każdym. Dowodzili nimi dekurioni. Podstawowe uzbrojenie jazdy stanowiły włócznie, tarcze i lekkie hełmy.

Struktura armii miała zasadniczy wpływ na uszykowanie armii do bitwy. W centrum ustawiano legiony. Wojsk sprzymierzone znajdowały się na skrzydłach, a najdalej, na obydwu krańcach szyków, ustawiano jazdę, której podstawowym zadaniem było nie dopuścić do okrążenia piechoty legionowej i ewentualnie odpierać ataki jazdy nieprzyjaciela. Legion ustawiano zazwyczaj w szachownicę. Pierwszą linię stanowili *hastati*, drugą tworzyły manipuły *principes*, a trzecią *triarii*.

Walkę rozpoczynali lekkiozbrojni. Miotali swe włócznie, a następnie wycofywali się na skrzydła lub wchodziłi w luki między manipułami ciężkozbrojnej piechoty. Po welitach do boju występowałi *hastati*. Jeśli nie udawało się im przełamać szyków nieprzyja-

ciela, wówczas wspomagali ich *principes*. W wyjątkowo trudnych i groźnych sytuacjach do ataku ruszali triariusze. Były to doborowe manipuły złożone z najlepiej wyćwiczonych i doświadczonych żołnierzy i ich uderzenie musiało być rozstrzygające. Jeśli tak się nie stało, jeśli nieprzyjaciel zdołał odeprzeć uderzenie triariuszów, wówczas bitwa z reguły (choć oczywiście nie zawsze) była przegrana.

Przegrane zdarzały się jednak stosunkowo rzadko, gdyż armia rzymska była, aż do czasów napoleońskich, najlepszą armią świata. O jej sile decydowała w głównej mierze jej struktura. Zwróćmy uwagę, że każdy legion stanowi odrębną, w pełni samodzielną jednostkę operacyjno-taktyczną dysponująca wszystkimi znanymi wówczas rodzajami broni – piechotą, która stanowi trzon armii, jazdą, artylerią (oczywiście na miarę epoki, a więc katapultami, wyrzutniami pocisków itp.) oddziałami strzelców (łucznicy i procacze), a także wojskami inżynieryjnymi, które zajmowały się budową umocnień i obozów wojskowych.

Rzymskie warowne obozy wojskowe zasługują na specjalną uwagę, gdyż odgrywały niebagatelną rolę, zdecydowanie większą niż w innych armiach tego okresu. Budował je specjalny, wysyłany przodem oddział pod dowództwem trybuna wojskowego. Do jego obowiązków należało wybieranie stosownego miejsca, a następnie kierowanie pracami. Najpierw wyznaczano miejsce pod namiot naczelnego wodza i oznaczano je chorągiewką. Następnie wyznaczano miejsca pod namiot kwestora i poszczególnych oddziałów, a w końcu pod *tribunal*, czyli estradę, z której wódz, w razie potrzeby, przemawiał do żołnierzy.

Obóz przecinały cztery główne ulice – *via praetoria* i *via principalis*, prowadzone pod kątem prostym w stosunku do siebie oraz *via quintana* i *via decumena* równoległe do *via principalis*. Cały obóz otaczano rowem i wałem umocnionym palisadą, w którym były cztery bramy – *porta praetoria*, *porta decumena*, *porta principalis dextra* i *porta principalis sinistra*.

Obozy spełniały wielorakie funkcje. Były miejscem spoczynku wojska, chroniły zapasy armii, stanowiły też punkt schronienia i oporu w przypadku, gdy armia poniosła porażkę w polu lub gdy

przeciwnik dysponował zbyt dużą przewagą liczebną.

Charakter armii rzymskiej zmienił się zasadniczo po reformach dokonanych około 104 r. p.n.e. przez konsula Gajusza Mariusza. W ich wyniku armia rzymska przestała mieć charakter obywatelski, a stała się armią zawodową, w której służyli wyłącznie ochotnicy.

Społecznych przyczyn tych reform należy doszukiwać się w postępującym ubożeniu warstwy chłopskiej. Wprawdzie następstwem zdobywczych wojen było opanowanie coraz to nowych terytoriów oraz zdobycie nowych mas niewolników i ogólne wzbogacenie państwa rzymskiego, ale tak naprawdę korzystały z tego tylko niektóre warstwy społeczeństwa. Największe korzyści odniosła oczywiście warstwa rządząca Republiką, czyli tzw. *nobilitas*. Dochody lokowali oni w ziemi, tworząc ogromne latyfundia oparte na pracy niewolniczej. Właśnie rozwój latyfundiów w zasadniczy sposób przyczynił się do ruiny małych i średnich gospodarstw rolnych, które nie mogły konkurować z tańszą produkcją wielkiej własności.

Proces upadku małych i średnich gospodarstw rolnych przyspieszyły również dostawy taniego zamorskiego zboża (między innymi z Egiptu).

Nie bez znaczenia był też fakt, że właściciele tychże gospodarstw stanowili, jak pamiętamy, trzon armii rzymskiej. Była to sprawa o tyle istotna, że wojny toczono wówczas dość często, a w miarę rozrastania się państwa armie walczyły na bardzo nieraz odległych frontach.

Rozrastanie się państwa, przyłączanie do niego nowych prowincji, powodowało również konieczność utrzymywania stałych garnizonów, których zadaniem było utrzymanie w posłuchu podbitej ludności i obrona granic. W konsekwencji więc dużo młodych mężczyzn na wiele miesięcy było oderwanych od swych gospodarstw. A nie zapominajmy, że większość wojen odbywano wiosną i latem (ewentualnie jesienią), a więc w okresie natężonych prac polowych. Właściciele gospodarstw chłopskich nie stać było na zakup niewolników, uprawa ziemi opierała się w nich wyłącznie, lub prawie wyłącznie, na pracy właściciela i członków jego rodziny, tym samym więc pozbawienie tychże gospodarstw w okresach najbar-

dziej intensywnych prac polowych rąk do pracy musiało powodować poważne problemy ekonomiczne. Ich właściciele stawali bowiem przed dramatycznym wręcz wyborem – albo opóźnienia w pracach polowych i utrata przynajmniej części plonów, albo też konieczność zatrudniania najemnej siły roboczej. Skutek najczęściej był ten sam – coraz częstsze bankructwa małej i średniej własności ziemskiej.

Nie bez znaczenia był również fakt, iż oderwani od gospodarstwa chłopci służący w armii, odzwyczajali się od ciężkiej pracy na roli, a przyzwyczajali się do życia na stosunkowo wysokim poziomie w podbitych prowincjach, zwłaszcza w stojących na znacznie wyższym poziomie cywilizacyjnym państwach hellenistycznych. Korzystanie z tych, nieznanych wówczas w Italii, uroków cywilizacji, zapewniały żołnierzom łupy zdobywane w czasie wojny, które na ogół „przejadano” dość szybko na miejscu.

Rozsmakowanym w, oczywiście względny, luksusie żołnierzom trudno było po powrocie do domu przyzwyczać się do ciężkiego i „zgrzebnego” poziomu życia, jaki gwarantowały im ich małe gospodarstwa. Szukali więc innego życia tam, gdzie ono istniało, a więc w Rzymie i innych dużych miastach republiki. Ale przede wszystkim w Rzymie, gdzie można było żyć lekko, łatwo i przyjemnie, korzystając z rozdawnictwa taniego (lub czasem zupełnie darmowego) zboża, wynajmując swe usługi bogatym patronom, sprzedając swe głosy kandydatom w czasie corocznych wyborów lub, czasem, w najgorszym przypadku, pracując w licznych zakładach rzemieślniczych, choć te również chętnie korzystały raczej z taniej siły niewolniczej. Liczne wojny bowiem powodowały napływ ogromnych rzesz niewolników (np. po roku 177 p.n.e. uтарыło się powiedzenie „tani jak Sardynczyk”, kiedy to w wyniku operacji wojskowej na Sardynii wystawiono na sprzedaż 65 000 jeńców naraz).

Zubożali i prawdę mówiąc, nieco zdemoralizowani chłopci-żołnierze, nie mogąc utrzymać swych gospodarstw, sprzedawali je i udawali się do miast, gdzie po pewnym czasie powiększali rzesze biedoty zwanej proletariatem. Byli to ludzie nie płacący żadnych podatków, nie odbywający służby wojskowej i nie dający państwu

nic oprócz potomstwa (czyli *proles* – stąd nazwa – przyp. R.R.), ale zachowujący – poza służbą w armii – większość prerogatyw obywateli rzymskich.

Miało to określone reperkusje polityczne, społeczne i militarne. Rzymscy proletariusze byli warstwą pasożytniczą, żyjącą na koszt innych warstw społecznych, zwłaszcza *nobilitas*, którym jednak ten stan rzeczy odpowiadał, albowiem dzięki rozdawnictwu taniego zboża i wystawnym bezpłatnym widowiskom zyskiwali oni niezliczone rzesze klientów, którymi zawsze można było się posłużyć, zwłaszcza w czasie wyborów, kiedy to proletariusze stanowili łatwo dający się przekupić elektorat. Dlatego też właśnie *nobilitas* tak ostro sprzeciwiali się wszelkim projektom zmierzającym do usunięcia proletariatu z Rzymu i osadzenia go z powrotem na wsi.

Biedoty miejskiej nie posiadającej cenzusu majątkowego nie można było powoływać do wojska w ramach przymusowego *popolitego* ruszenia. W konsekwencji pojawiły się więc problemy z wypełnieniem potrzebnego kontyngentu wojskowego, a przecież rozrastające się państwo, prowadzące w dodatku bardzo agresywną politykę zagraniczną, potrzebowało coraz liczniejszej armii. W tej sytuacji konsul Mariusz zdecydował się wykorzystać decyzję senatu o powołaniu nowych kontyngentów na wojnę z Jugurtą i wprowadził zasadę zaciągu ochotniczego. Oznaczało to wprawdzie naruszenie dotychczas obowiązujących w tej materii reguł prawnych i spowodowało sprzeciw senatu, ale Mariusz dysponował poparciem zgromadzenia ludowego oraz trybunów ludowych, dzięki czemu mógł przeforsować swoje stanowisko.

Senat na reformy Mariusza patrzył niechętnym okiem z przyczyn oczywistych, można by rzec, wręcz ustrojowych, obawiał się bowiem (jak wiemy, nie bezpodstawnie), że zwycięzcy wodzowie, mający oparcie w armii zawodowej, będą starali się zająć dominującą pozycję w państwie.

Obawy takie wśród senatorów istniały praktycznie „od zawsze”. Nawet wówczas, gdy jeszcze w pełni obowiązywała zasada *popolitego* ruszenia. Nie ufając swoim dowódcom senat starał się ograniczać ich władzę i mieć wgląd w sprawy wojskowe, nawet w kwestii planów operacyjnych, opracowywanych przez konsulów. Niejedno-

krotnie miało to wręcz opłakane skutki i było powodem klęsk (np. w wojnie z Hannibalem). Wprawdzie z biegiem lat, pod wpływem niedobrych doświadczeń, sytuacja nieco się zmieniła i przyznano wodzom szerszy zakres autonomii, nie na tyle jednak, aby sprawy wojskowe wymknęły się zupełnie spod kontroli senatu i *nobilitas*.

A jeśli tak nieufnie traktowano armię obywatelską, pochodzącą z poboru, z natury rzeczy bardziej związaną z państwem niż z osobą dowódcy, to cóż dopiero mówić o armii zawodowej, pochodzącej z zaciągu ochotniczego? Nie należy więc dziwić się obawom senatu i jego niechęci do reform Mariusza.

Z militarne punktu widzenia była to jednak decyzja słuszna, gdyż, jak się okazało, wśród członków proletariatu rzymskiego i zubożałej ludności prowincji znalazło się wielu chętnych do ochotniczej służby wojskowej, która obiecywała wcale niegorsze profity (ochotnikom gwarantowano żołd równy mniej więcej zarobkowi robotnika i obiecywano udział w podziale łupów, a po zakończeniu służby nadanie działek rolnych). Państwo wzięło też na siebie obowiązek wyekwipowania żołnierzy. Jeśli weźmie się pod uwagę, że służba w armii zaciężnej trwała zazwyczaj długo, często lat 16, to można przyjąć, że zyski ochotników mogły być wcale niemałe.

Pierwszym, który skorzystał (w sensie militarnym) na tej reformie, był oczywiście Mariusz, który dzięki niej wystawił przeciw Jugurcie silne, zdyscyplinowane i dobrze wyszkolone wojsko. Później korzystali z niej inni wodzowie.

Ale reforma ta miała również znacznie bardziej dalekosiężne, niekoniecznie pozytywne dla państwa skutki. Pojawienie się armii zawodowej spowodowało wzrost politycznej roli jej dowódcy, gdyż żołnierze zawodowi przysięgali wierność i posłuszeństwo przede wszystkim swemu wodzowi. Z nim też byli związani szeregiem wspólnych dokonań i wspólnych interesów. To przecież od pozycji dowódcy armii i jego znaczenia w państwie zależał dosłownie i w przenośni byt jego żołnierzy, a zwłaszcza odpowiednie zaopatrzenie na starość, chociażby w postaci wspomnianych nadań działek rolnych. Wymownym przykładem mogą być perypetie żołnierzy Pompejusza, który po pokonaniu Sertoriusza w Hiszpanii nieopatrznie rozpuścił swą armię, a następnie tylko dzięki wsparciu Krassusa

i Cezara zdołał przeforsować nadanie działek swym byłym już żołnierzom.

Z tych też względów, już wkrótce po reformie, armia zawodowa stała się czynnikiem wręcz decydującym w rozgrywkach politycznych i otworzyła ambitnym politykom drogę do dyktatury wojskowej. Najszybciej potrafił zrozumieć to i wykorzystać wróg Mariusza, Sulla, który właśnie dzięki poparciu armii zapewnił sobie dyktatorską władzę w państwie. Z tego też wzoru zamierzał obecnie skorzystać Cezar w konflikcie z senatem i z tego też, między innymi, powodu trwający już od dłuższego czasu kryzys polityczny Republiki wszedł wreszcie w ostrą fazę wojny domowej.

Reforma wojskowa Mariusza nie ograniczyła się do zmiany systemu powoływania i uzupełniania armii. Walcząc z Jugurtą, Cymbriami i Teutonami Mariusz stwierdził, że manipuł będący przede wszystkim jednostką taktyczną przestał być skuteczny w walce. Postanowił wobec tego zmienić strukturę legionu i wprowadził jednostki większe, znacznie bardziej odpowiednie dla celów administracyjnych, a mianowicie kohorty, oraz mniejsze jednostki taktyczne – centurie, bardziej odpowiadające potrzebom pola walki.

Kohorty istniały już poprzednio w armii rzymskiej. Używał ich na przykład Scypion w Iberii w 134 r. p.n.e. Były to jednak wówczas jednostki taktyczne, tworzone do walki w specjalnych warunkach wymagających większej samodzielności operujących oddzielnie oddziałów. Natomiast jako jednostka administracyjna kohorty istniały dotąd jedynie w piechocie sprzymierzeńców.

W nowym układzie legion składał się z dziesięciu kohort, a każda z nich z trzech manipułów po dwie centurie, które – przypomnijmy – po reformie Mariusza stały się jednostkami taktycznymi. Kohortami dowodzili centurionowie centurii triariiów, a w manipułach było po dwóch centurionów.

Nowa centuria liczyła obecnie około 100 żołnierzy, była więc większa od dawnej. Wzrosła również liczba żołnierzy w legionie, który po reformie nominalnie liczył od pięciu do sześciu tysięcy żołnierzy. W praktyce jednak liczba żołnierzy była zawsze nieco niższa z powodu chorób, odkomenderowań oraz strat ponoszonych w walkach.

Ponadto Mariusz zlikwidował formację *velites*, czyli lekkobrojnnych, która zazwyczaj rozpoczynała bitwę. Utrzymał się natomiast dawny podział na *hastati*, *principes* i *triarii*, ale obecnie miał on znaczenie czysto formalne, nie wiązał się już bowiem tak sztywno jak dotychczas z wiekiem żołnierzy czy też z rodzajem uzbrojenia. Uzbrojenie i miejsce w szyku wyznaczał bowiem obecnie dowódca. Ponadto nastąpiło zrównanie ilościowe, ponieważ w każdej kohorcie był obecnie manipuł *hastati*, manipuł *principes* i manipuł *triarii*.

W związku ze zmianami, jakie nastąpiły po tzw. wojnie sprzymierzeńców, zanikły również oddziały sprzymierzeńców. Zastąpiono je oddziałami lekkimi werbowanymi w prowincjach sojusznicych (np. w armii Cezara były to oddziały galijskie). Oddziały łuczników i procarzy zaciągano natomiast najczęściej na Balearach lub Krecie. Nie była to jednak sztywno przestrzegana zasada, gdyż np. armii Pompejusza w Grecji towarzyszyły liczne oddziały sprzymierzeńców.

W związku ze zmianą struktury legionu pewnym zmianom uległo również uszykowanie legionu do bitwy. Wprowadzie w zasadzie utrzymano układ trzech linii, ale zanikł dawny podział na linie *hastati*, *principes* i *triarii*. Zazwyczaj w pierwszej linii ustawiano cztery kohorty, uformowane na dziesięciu żołnierzy wszerz i ośmiu w głąb. Pozostałe dwie linie tworzyły po trzy kohorty, uformowane po dwunastu żołnierzy wszerz i sześciu w głąb. Czasami, w zależności od okoliczności i konkretnych potrzeb, ustawiano legion w dwie lub cztery linie, a jedynie wyjątkowo wyciągano go w jedną linię.

Podstawową bronią piechoty pozostało *pilum*, zmieniono jednakże technologię jego produkcji. Poprzednio grot do drzewca mocowano za pomocą kilku metalowych nitów. Po zmianie pozostawiono jedynie jeden żelazny nit, a pozostałe zastąpiono drewnianymi zatyczkami. Gdy ostrze wbiło się w tarczę, zatyczki łamały się, a drzewce połączone z grotem jednym nitem wlokło się po ziemi, utrudniając wyrwanie pocisku i uniemożliwiając manewrowanie tarczą. Jeszcze później technologię produkcji *pilum* udoskonalono w ten sposób, że trzon grota wykonywano z miękkiego żelaza tak, aby zginał się on w chwili, gdy utwardzony grot wbijał się w tarczę i uniemożliwiał wyrwanie z niej pocisku. Obciążona

ciężkim *pilum* tarcza nie nadawała się do dalszego użytku, gdyż nie można było swobodnie nią poruszać. Cezar w *Commentarii de bello Gallico* wspomina o Galach porzucających tarcze ugodzone *pilum* i dalej walczących już bez żadnej osłony.

Pilum stanowiło więc typową broń zaczepną piechoty. Natomiast bronią zaczepno-obronną pozostały miecze, których kształt niewiele się zmienił na przestrzeni wieków.

Jako typowe uzbrojenie ochronne legioniści mieli wypukłe tarcze oraz metalową kolczugę. Tarcze wykonywano z dwóch warstw desek sklejonych klejem wołowym. Brzeg tarczy chroniła żelazna obręcz. Natomiast kolczugi wykonywano najczęściej z dwóch odmian pierścieni – pełnych i otwartych, służących do łączenia tych pierwszych.

Oprócz broni zaczepnej i obronnej w skład wyposażenia żołnierzy rzymskich wchodziły jeszcze narzędzia saperskie używane do budowania obozów oraz naczynia i przybory do gotowania. Pragnąc zmniejszyć liczbę taborów, które zawsze utrudniały i opóźniały marsz oddziałów, Mariusz wprowadził zasadę, iż każdy żołnierz sam dźwiga swój ekwipunek oraz racje żywnościowe na co najmniej trzy dni. Podobno całość wyposażenia noszonego przez żołnierza ważyła 35–44 kg, nic więc dziwnego, że tak obciążonych legionistów nazywano „mułami Mariusza”.

Niezależnie od wyposażenia indywidualnego każda ośmioosobowa drużyna miała na wyposażeniu rzeczywistego muła, który niósł większe ciężary, takie jak żarna do mielenia zboża oraz skórzany namiot drużyny.

Zamiana pospolitego ruszenia na armię zaciężną wpłynęła zasadniczo na poprawę stanu dyscypliny i wyszkolenia bojowego żołnierzy. Długi okres służby wojskowej (16 lat) pozwolił na prowadzenie systematycznych ćwiczeń zarówno indywidualnych (w posługiwaniu się bronią), jak i całych pododdziałów (w stosowaniu odpowiednich manewrów). Mariusz przyzwyczaił również swych żołnierzy do odbywania długich marszów z pełnym ekwipunkiem oraz częstego poruszania się biegiem.

Wprowadzone przez Mariusza zasady szkolenia legionistów przejęli inni wodzowie – Sulla, Pompejusz, a zwłaszcza Cezar, który

w trakcie wojny galijskiej i domowej zmuszał swych żołnierzy do ogromnych wysiłków. Dzięki temu odznaczali się oni żelazną kondycją i sprawnością. Ciągłe ćwiczenia i doświadczenia zdobywane na polach bitew uczyniły z pojedynczych żołnierzy i całych oddziałów bardzo sprawne instrumenty w ręku wodza i jego oficerów. Pozwoliło to Cezarowi na odnoszenie zwycięstw nad wielokrotnie górującymi liczebnie, lecz nie tak doskonale wyćwiczonymi i zorganizowanymi masami Galów i Germanów.

Jak już wspomnieliśmy, w rozpoczynającej się wojnie domowej spotkać się miały armie może nie równorzędne pod każdym względem, gdyż armia Cezara, zaprawiona w wojnie galijskiej, była jednak nieco lepiej przygotowana do rozpoczynającej się kampanii, ale niewątpliwie bardzo do siebie podobne pod względem walorów bojowych. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że sytuacja militarna obu stron konfliktu była identyczna. W pierwszym okresie wojny większość atutów miał w ręku Pompejusz. To on przecież dysponował w praktyce całością sił państwa (oczywiście poza Galią i legionami Cezara). Jemu podlegały armie stacjonujące w Italii i w prowincjach. Mógł też liczyć na wsparcie państw i miast sprzymierzonych z Republiką. On wreszcie mógł dowolnie korzystać z zasobów skarbu Republiki. A co najważniejsze, jego działania były aprobowane przez wszystkie organa władzy państwowej, a więc były w pełni legalne.

Cezar natomiast w praktyce mógł liczyć jedynie na swoje dziewięć legionów, a to było doprawdy niewiele. Jego pozycję osłabiał w dodatku fakt, że miał na zapleczu Galię, której lojalności nie mógł być do końca pewny. Porównanie sił wypada więc raczej na niekorzyść Cezara, ale przewaga Pompejusza nie była na pewno miażdżąca. Posiadane atuty trzeba jednak umieć wykorzystać, gdyż w innym przypadku historia zapisze je jedynie po stronie niewykorzystanych szans. A to głównie zależy od talentów, determinacji i... szczęścia wodzów (zwłaszcza gdy, jak w tym przypadku, dowodzą tak podobnymi do siebie armiami). Prezentację ich zaczniemy od Gnejusza Pompejusza.

Pompejusz Wielki (Gnaeus Pompejusz Magnus) urodził się w 106 r. p.n.e. Z twarzy nieco podobny do Aleksandra Macedoń-

skiego, starał się też usilnie go naśladować, niestety, raczej bez powodzenia, gdyż brakowało mu energii i zdecydowania wielkiego Macedończyka. A także, mimo sukcesów na polu militarnym, chyba również talentu.

Służbę wojskową rozpoczął pod rozkazami swego ojca Pompejusza Strabona w czasie tzw. wojny sprzymierzeńczej, ale jego faktyczna kariera rozpoczęła się dopiero w 84 r. – wówczas, gdy przeprowadził do obozu Sulli trzy legiony zorganizowane z weteranów swego ojca. Pod rozkazami Sulli odbył całą kampanię przeciw popularom. Kampania ta przyniosła mu sławę i przydomek, pod którym przeszedł do historii – Wielki – nadany mu przez współczesnych za zwycięstwo w Afryce w 82 r. nad resztkami wojsk popularów pod wodzą Gnejusza Domicjusza.

Potem odbył wiele różnych kampanii, kończąc je zazwyczaj zwycięstwami. Między innymi pokonał Marka Lepidusa, który w 77 r. podniósł bunt przeciw władzom Republiki, Mitrydatesa, króla Pontu, przyczynił się do klęski Spartakusa, zdobył Jerozolimę, w ciągu trzech miesięcy uporał się z piratami, którzy stanowili wówczas faktyczną potęgę morską itp. Nic więc dziwnego, że cieszył się (przynajmniej do chwili wybuchu wojny domowej), sławą największego ówczesnego wodza rzymskiego.

A jednak, mimo tych dokonań, ocena talentów militarnych Pompejusza nie jest ani prosta, ani jednoznaczna. Tak się bowiem często zdarzało, że większość swych sukcesów odnosił nad przeciwnikami już wcześniej pokonanymi i osłabionymi przez innych wodzów (tak było np. w 82 r., w przypadku króla Pontu, którego wojska były osłabione po walkach z Lukullusem, a także w wojnie przeciw Spartakusowi, którego wcześniej pokonał Krassus). Nie bardzo natomiast umiał sobie radzić z przeciwnikami równymi siłą i dowodzonymi przez wodzów z prawdziwego zdarzenia. Przykładem może być np. kampania roku 77 w Hiszpanii przeciw Sertoriuszowi, która omal nie zakończyła się kompromitacją Pompejusza. Uchroniła go przed nią śmierć Sertoriusza z ręki jednego z oficerów, Marka Perpeny, w 72 r. p.n.e. Zabójstwo to zmieniło zdecydowanie sytuację na korzyść Pompejusza, gdyż Perpena nie miał ani autorytetu, ani talentów Sertoriusza i łatwo dał się pokonać.

Jednego jednak nie można Pompejuszowi odmówić, a mianowicie ogromnego szczęścia wojennego, a więc tego, co tak bardzo cenił u swych generałów wódz wszech czasów, Napoleon. Dlatego mógłby Pompejusz niewątpliwie liczyć na rangę marszałka w armii cesarza Francuzów! Warto może jednak pamiętać i o tym, że czasami pomagał swemu szczęściu wiarołomstwem. Tak było np. wówczas, gdy skłonił osaczonego w Mutynie Marka Brutusa do poddania się, obiecując mu darowanie życia, a następnie po kapitulacji kazał go stracić. Przysłowiowe szczęście opuściło go dopiero wówczas, gdy doszło do starcia z Cezarem; no cóż, fortuna jest rodzaju żeńskiego, a Cezar miał niebywałe powodzenie u kobiet...

Ramy niniejszej pracy nie pozwalają, niestety, na dokonanie bardziej szczegółowej analizy talentów i charakteru Pompejusza, ograniczmy się więc na zakończenie do przytoczenia opinii Jana Parandowskiego, wybitnego znawcy dziejów starożytnych, który we wstępie do tłumaczonego przez siebie dzieła J. Cezara *O wojnie domowej* tak oto scharakteryzował Pompejusza: „...sława, zwycięstwa, długie rządy przyzwyczyły go do władzy i pierwszeństwa. Dumny, wyniosły, bez wyobraźni, o przeciętnej i leniwej inteligencji, zepsuty przez wschodnią czołobitność i pochlebstwa swoich klientów, ceremonialny i nadęty, poruszał się ociężale i sztywno, jakby na co dzień nosił strój triumfatora, mówił mało, z opuszczonymi powiekami, nie zdradzał swych myśli, których sam nie był pewny. Popychany przez wypadki, a jeszcze bardziej przez magnatów, niespokojnych o swoje majątki, stał się podporą optymatów i we własnym mniemaniu obrońcą konstytucji przeciw Cezarowi, którego uważał za warchoła i uzurpatora...”¹⁵. Niezbyt to, przynajmniej, pochlebna, ale bliska prawdy opinia.

Przypomnijmy obecnie sylwetkę drugiego bohatera omawianych zmaganiań – Juliusza Cezara (Gaius Iulius Caesar). Urodził się on najprawdopodobniej 12 lipca 100 r. p.n.e. (nie jest to do końca pewna data i niektórzy autorzy twierdzą, że fakt ten miał miejsce w roku 102), w patrycjuszowskiej rodzinie Juliuszów, blisko jednakże związanej ze stronnictwem popularów (jego ciotka Julia była żoną Mariusza, a on sam pojawił w 84 r. za żonę Kornelię, córkę innego sławnego przywódcy popularów, następcy Mariusza – Cynny).

Stronnictwu temu pozostał wierny (w zasadzie) aż do śmierci.

Droga życiowa Cezara różniła się zasadniczo od drogi życiowej Pompejusza. W jego losach nie brak było momentów trudnych, czasem wręcz dramatycznych. Tak było np. wówczas, gdy Sulla nakazał mu zerwać małżeństwo z Kornelią. Cezar, ku zaskoczeniu zarówno przyjaciół, jak i wrogów, odmówił. Należy oczywiście docenić i zapamiętać ten akt cywilnej odwagi, ale jego skutki mogły być oplakane. Rozgniewany dyktator skonfiskował posag Kornelii i dobra rodzinne Cezara, no i bliski był umieszczenia jego samego na listach proskrypcyjnych (a to oznaczało wyjęcie spod prawa, a więc śmierć). Młody, kilkunastoletni, a w dodatku chory Cezar ukrywał się wówczas w Górach Sabińskich i tylko małej odporności dowódcy oddziału, który go ujął, na „brzęczące argumenty” zawdzięczał życie.

Później Sulla uległ naciskom i prośbom przyjaciół Cezara (również i westalek) i ułaskawił go, ale uczynił to bardzo niechętnie, wypowiadając ponoć znamienne zdanie: „Uważajcie na tego niebdale ubranego (Cezar, wbrew zwyczajom, nosił togę luźno przepasaną) chłopca; siedzi w nim wielu Mariuszów”.

Spora kłopotów w życiu przysparzała Cezarowi jego wręcz przysłowiowa rozrzutność, a także... bujne i podobno wcale nie jednoznacznie ukierunkowane życie erotyczne (wypominano mu np. słynny incydent „romansu” z królem Bitynii, Nikomedesem). W świecie greckim homoseksualizm miał długie i, rzec by można, zaszczytne tradycje i nikomu raczej nie przynosił ujmy. Ale Rzymianie nie tolerowali tego rodzaju odstępstw od normy, toteż uszczypliwe przycinki towarzyszyły Cezarowi do końca życia (nazywano go np. z tego powodu „mężem wszystkich żon i żoną wszystkich mężów”).

Dla naszych dalszych rozważań istotne jest to, że przez wiele lat starał się robić karierę polityczną i w przeciwieństwie do Pompejusza swe talenty militarne ujawnił bardzo późno. Pierwsze samodzielne dowództwo objął dopiero w roku 62 r. jako namiestnik Hiszpanii Dalszej, prowadząc pomyślnie walki z plemionami górskimi zamieszkującymi góry zwane dziś Sierra da Estrella, między rzekami Tag i Duero.

Tak naprawdę jednak swe ogromne talenty wodzowskie ujawnił dopiero po roku 59, pełniąc funkcję namiestnika w prowincjach: Galia Przedalpejska, Galia Narbońska i Iliria. Skończyło się to, jak wiemy, podbojem całej Galii i powstrzymaniem na setki lat ekspansji germańskiej. Już tylko dzięki temu Cezar znalazłby wybitne miejsce w historii, jako wódz i jako mąż stanu, gdyż podbój Galii okazał się kluczowy dla dziejów Europy.

Nie możemy, niestety, pozwolić sobie na opis i analizę jego działań w wojnie galijskiej (aczkolwiek warto by temu tematowi poświęcić odrębne opracowanie w ramach tej serii). Warty odnotowania jest jednakże fakt, że nie była to kampania „lekka, łatwa i przyjemna”. Prawie we wszystkich starciach przeciwnicy Cezara górowali liczebnie nad jego armią. A mimo to odnosił sukcesy, nawet wówczas, gdy wodzem strony przeciwnej został arystokrata galijski Wercyngetoryks, wódz równy mu energią i (chyba) talentem.

Co było kluczem do jego sukcesów? Na pewno fenomenalna wręcz pracowitość, niemal ponadludzkie siły, a także wysoka inteligencja, wyobraźnia i przenikliwość. Współczesnych zadziwiał również podzielnością uwagi. Pliniusz Starszy twierdzi, że Cezar miał zwyczaj pisać lub czytać i równocześnie dyktować i słuchać. Podobnie jak Napoleon potrafił równocześnie dyktować cztery, a nawet więcej listów naraz. Również gama jego talentów była wręcz szokująca, był przecież równocześnie wybitnym wodzem, mówcą, politykiem i pisarzem.

Współczesnych zadziwiał również energią i szybkością działania, a także nowatorstwem pomysłów, zwłaszcza w sztuce wojennej, w której, jak twierdzą znawcy historii wojen, okazywał się nieprzewidywalny, w każdej chwili zdolny do podejmowania nagłych, zaimprovizowanych decyzji zupełnie zaskakujących przeciwnika.

Na uwagę zasługuje również stosunek Cezara do żołnierzy. Był z nimi zawsze, na dobre i na złe. Gdy było trzeba, jadł wraz z nimi suchy chleb i pił wodę ze strumieni, spał wraz z nimi na gołej ziemi. Nie odstraszały go żadne, najbardziej nawet ekstremalne warunki klimatyczne, ani upał, ani mróz.

Nie ustępował też swym żołnierzom w wytrzymałości na trudy,

co – jak podkreśla Plutarch – wprawiało wszystkich w zdumienie, gdyż był człowiekiem delikatnej budowy ciała, często cierpiał na silne bóle głowy, a nierzadko też zdarzały mu się ataki epilepsji. Mimo to jednak nie uchylał się od udziału w żołnierskich marszach, a godziny odpoczynku, najczęściej spędzane w wozie, zmieniał w godziny pracy. Wówczas np. dyktował rozkazy, listy, a także pisał swe dzieła (np. pamiętniki o wojnie galijskiej). Potrafił zresztą dyktować w czasie marszu, gdyż zawsze towarzyszyło mu dwóch chłopców, z których jeden niośł miecz, a drugi przyrządy do pisania i w każdej chwili był gotów zapisywać podyktowane mu teksty.

Zapewne dość często towarzyszył swym oddziałom na koniu (potrafił jeździć galopem z założonymi do tyłu rękami), ale to również nie oznaczało przerwy w pracy umysłowej, koncepcyjnej. Nieoceniony Plutarch wspomina, że czasami towarzyszyło mu nawet dwóch lub trzech sekretarzy, którym równocześnie dyktował dwa lub trzy listy nie przerywając jazdy. To były cechy, którymi zdecydowanie górował nad ociężałym i raczej gnuśnym Pompejuszem.

Gdy sytuacja tego wymagała, Cezar walczył wraz ze swymi żołnierzami w pierwszej linii. Przed otwierającym wojnę galijską starciem z Helwetami Cezar rozkazał odprowadzić do obozu konie wszystkich oficerów, w tym również swego. Dał w ten sposób do zrozumienia żołnierzom, że w razie klęski czeka ich wszystkich jednakowy los, że wódz będzie ze swymi żołnierzami do końca. Można to uznać za tani gest, ale żołnierze niezwykle cenią sobie takie gesty. Wiedzą o tym tylko najwięksi, najbardziej utalentowani dowódcy. Wiedział o tym Napoleon pod Arcole, Lodi i Marengo. Wiedział o tym również nasz książę Józef Poniatowski, który pod Raszynem, w krytycznym momencie, gdy załamywała się obrona grobli, zsiadł z konia, wziął żołnierski karabin i nie wypuszczając fajki z ust poprowadził naprędce sformułowaną kolumnę do zwycięskiego kontrataku.

Nic więc dziwnego, że żołnierze uwielbiali Cezara. To nieco wyświechtany frazes, ale trudno znaleźć określenie inne, równie dobrze oddające stosunek żołnierzy do swego wodza. Niejednokrotnie, aby zasłużyć na uznanie wodza, dawali niezwykle wręcz dowody odwagi i poświęcenia. Plutarch wspomina np., że w trakcie

bitwy morskiej pod Marsylią¹⁶ jeden z żołnierzy, Acyliusz, stracił prawą rękę w trakcie ataku na nieprzyjacielski okręt. Niezrażony tym, odpierał ataki tarczą trzymaną w lewej ręce i bił nią przeciwników, aż wreszcie okręt zajął.

Podobnie bohatersko walczył w bitwie pod Dyrrachium Kasjusz Scewa. Poważnie ranny, uciekł się do podstępu. Udając, że chce się poddać, zwabił do siebie dwóch żołnierzy Pompejusza, a następnie jednemu odciął mieczem ramię, a drugiemu rozbił twarz i zmusił do ucieczki. Jego odwaga została nagrodzona, gdyż współtowarzysze dokonali wypadu i osłonili go swymi tarczami, a następnie wynieśli z pola walki.

Przykłady poświęcenia i odwagi można by mnożyć, gdyż, jak stwierdza Plutarch, nawet tacy żołnierze, którzy pod innym dowództwem niczym specjalnym się nie wyróżnili, pod okiem Cezara przeinaczali się w herosów i niepowstrzymanie „szli w ogień każdego niebezpieczeństwa dla sławy Cezara”. Otóż to! Zapamiętajmy to zdanie, gdyż może być ono kluczowe dla zrozumienia losów tej wojny. Żołnierze byli gotowi ginąć za Cezara, niewielu było natomiast takich, którzy chcieli umierać za Pompejusza.

Nie oznacza to jednakże, że Cezar spoufalał się ze swymi żołnierzami. Nic podobnego. Po prostu doskonale wiedział, jak z nimi postępować. Kiedy im pobłagać, a kiedy karać z całą surowością. No i jak do nich przemawiać. Udowodnił to w dziesiątkach sytuacji, również w 48 r., kiedy to powiedział swoim żołnierzom: „Jeżeli nie wszystko wypada pomyślnie, trzeba szczęściu dopomóc własnym wysiłkiem”. To chyba najkrótsza, najbardziej zwarta, ale też najtrafniejsza definicja drogi do sukcesu, nie tylko Cezara i jego armii, ale w ogóle każdego człowieka.

Czyż więc można się dziwić, że dysponując takimi walorami i tak doskonałą, tak bardzo mu oddaną armią odniósł tak ogromne sukcesy budzące podziw nawet wśród wrogów?

A nie zapominajmy o tym, że nie był przecież zawodowym oficerem. Analizując przebieg jego kampanii, zwłaszcza galijskiej, ale również i późniejszych, chociażby w trakcie wojny domowej, można zauważyć popełniane przez niego błędy. Czasem nawet poważne. A mimo to wygrywał, gdyż zawsze panował nad sytuacją. Miał też

ogromne zaufanie do siebie, do swoich talentów i umiejętności. Dzięki temu nigdy, w najtrudniejszych nawet momentach nie wahał się przed podjęciem decyzji, nawet najbardziej ryzykownych, podpowiadanych mu przez przenikliwą inteligencję pozwalającą odszyfrowywać plany przeciwnika i przewidywać jego posunięcia.

Bitwami kierował, jak większość ówczesnych dowódców, z pewnego oddalenia, aby móc objąć wzrokiem jak największy odcinek frontu, ale gdy sytuacja stawała się groźna, wówczas udawał się na zagrożony odcinek i nierzadko brał bezpośredni, osobisty udział w walce. A wówczas w żołnierzy widzących przed sobą rozwiany, szkarłatny płaszcz wodza wstępowały nowe siły...

FAZA I – KAMPANIA W ITALII

Rozpoczynając wojnę Cezar dysponował niewielkimi siłami zbrojnymi, bowiem miał przy sobie w Ariminum, jak pamiętamy, jedynie XIII legion, a więc około 5000 piechurów i 300 żołnierzy konnych. Reszta jego armii znajdowała się jeszcze w Galii, w zimowych obozach i miała dopiero nadejść.

Liczebność wojsk Pompejusza w tej fazie wojny jest trudna do ustalenia. Większość jego sił – siedem legionów – stacjonowała w Hiszpanii, a więc daleko od terenu działań. Dziwi jednak, że Pompejusz nie starał się ich wykorzystać choćby poprzez wydanie rozkazu marszu na Galię. Taki manewr mógł bardzo skomplikować sytuację Cezara.

Również na terenie Italii Pompejusz dysponował w styczniu 49 r. p.n.e. stosunkowo silną armią. Składały się na nią dwa legiony stacjonujące na zimowych kwaterach w Apulli oraz kilkanaście kohort w różnych miastach Italii. Wprawdzie trudno jest dokładnie określić ich liczebność, ale można, jak sądzę, przyjąć, że w sumie można by z nich sformować co najmniej dwa dalsze legiony.

Nie zapominajmy również, że w całej Italii trwał pobór do wojska zarządzony przez senat i konsulów, który bardzo szybko mógł powiększyć armię Pompejusza nawet o kilka legionów. W każdym razie w końcowej fazie walk na terenie Italii, tuż przed opuszczeniem półwyspu, Pompejusz dysponował, mimo poniesionych wcześniej strat, prawie 50 kohortami. Były to znaczne siły i gdyby zostały w porę skoncentrowane w pobliżu granicy Italii z Galią Cisalpińską, to mogły być wystarczające do stłumienia buntu Cezara w zarodku.

Trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego tak się nie stało. Przecież

to senat i Pompejusz „rozdawali karty” w tej fazie konfliktu. To ich decyzje doprowadziły najpierw do kryzysu politycznego, a później do wybuchu wojny. Jeśli więc nie byli do niej przygotowani, to dlaczego podejmowali je z tak gorączkowym pośpiechem, nie zadbawszy wprawdzie o koncentrację swych sił i obsadzenie granicy z Galią? Lub przynajmniej o obronę Rzymu? Dlaczego pozostawiono stolicę praktycznie bez żadnej osłony? Na te pytania brak zadowalających odpowiedzi. Chyba że przyjmujemy, iż wytrawni politycy i równie wytrawny wódz naiwnie uwierzyli w informacje o fatalnych nastrojach w armii Cezara, w to, że przejdą one na stronę Pompejusza, gdy tylko rozpocznie się wojna domowa!

Cezar, wykorzystując opieszałość i nieprzygotowanie przeciwnika, z właściwą sobie energią rozpoczął, mimo dysproporcji sił na jego niekorzyść, ofensywę już w dniu 12 stycznia. Tego bowiem dnia, prawie natychmiast po słynnym przemówieniu do żołnierzy XIII legionu, z Ariminum wyruszyły dwie kolumny wojska. Jedna, składająca się z pięciu kohort, pomaszerowała pod dowództwem M. Antoniusza w kierunku Arrecjum (obecne Arezzo). Drugą natomiast, nieco słabszą, bo składającą się z trzech kohort, dowodził niedawny trybun ludowy S. Kurion. Jej zadaniem było z kolei jak najszybsze zajęcie Pisaurum, Fanum i Ankony.

Cel militarny tej ofensywy był oczywisty. Atakując miasta i porty Adriatyku Cezar zamierzał odciąć Pompejusza od morza, a tym samym od możliwości przeniesienia wojny poza Italię, do Grecji, natomiast poprzez zajęcie Arrecjum otwierał sobie drogę na Rzym. W przypadku powodzenia, ofensywa ta w praktyce przesądzała o losie Italii, a właściwie o wyniku całej wojny.

Aby to osiągnąć, niezbędna była szybkość działania, dlatego Cezar nie wahał się rozpocząć działań tak szczupłymi siłami (osiem kohort) i w dodatku w samym środku zimy.

Można jednak sądzić, że nie tylko względy strategiczne skłaniały Cezara do podjęcia niezwłocznego ataku. Dzięki niemu osiągał bowiem dwa inne, równie ważne, a kto wie nawet czy nie ważniejsze cele. Po pierwsze, znając dobrze psychikę żołnierzy, wiedział doskonale, że armii, która została przez swego wodza nakłonią do buntu przeciw państwu, nie należy pozostawiać zbyt wiele czasu do

namysłu, gdyż mogą wówczas pojawić się wątpliwości co do słuszności decyzji. A stąd już tylko krok do odmowy posłuszeństwa, dezercji itp. (zwłaszcza że już od pewnego czasu wśród oddziałów Cezara pojawiali się senaccy agitatorzy). Należało więc raczej „kuć żelazo póki gorące” i jak najszybciej postawić żołnierzy przed faktem dokonanym. Wyruszając natychmiast z Ariminum i zajmując kolejne miasta Italii nie tylko nie mieli oni czasu na debaty i rozważania o swym losie, lecz stawali się niejako automatycznie „wspólnikami w zbrodni”, a to łączyło ich z wodzem na dobre i na złe. A po drugie, podejmując tak błyskawiczną ofensywę Cezar dawał do zrozumienia senatorom w Rzymie (i nie tylko senatorom), że żarty się skończyły, rozpoczęła się wojna, do której Pompejusz jest źle przygotowany i może ponieść klęskę. Cezar doskonale znał nastroje w Rzymie, wiedział, w jakich okolicznościach podejmowano wymierzone w niego decyzje. W swych pamiętnikach o wojnie domowej pisze: „...ten krzykliwy tłum (wrogów Cezara i przyjaciół Pompejusza – przyp. R.R.) zastrasza słabszych, podtrzymuje wątpliwych, większość traci wręcz możliwość swobodnej wypowiedzi”. Właśnie na tych zastraszonych i wątpiących liczył. Wiedział, że boją się i jego, i Pompejusza (a także „jastrzębi” z obozu optymatów), ale najbardziej boją się mylnej decyzji, dzięki której mogą znaleźć się w niewłaściwym obozie i ponieść konsekwencje przegranej wojny. Tych właśnie ludzi pragnął z jednej strony przekonać o swej dobrej woli i łaskawości, a z drugiej zastraszyć energią swych działań i w ten sposób skłonić do przejścia do swego obozu lub przynajmniej do zachowania neutralności.

No i wreszcie kwestia ostatnia, choć bynajmniej nie najmniej ważna. Podejmując błyskawiczną, zaskakującą akcję militarną powodował zamieszanie w obozie przeciwników, nie pozwalał im przygotować się należycie do działań, przekształcić stacjonujące w Italii oddziały w armię frontową i dokończyć poboru żołnierzy. Nie dawał też czasu Pompejuszowi na ściągnięcie legionów stacjonujących w innych częściach Republiki, np. w Hiszpanii.

Akcja militarna rozwijała się pomyślnie. Kolumna Kuriona opanowała Pisaurum 12 stycznia, Fanum 13, a Ankonę 14 stycznia. Natomiast Antoniusz zajął Arrecjum, ważny strategicznie punkt na

drodze do Rzymu, w dniu 15 stycznia. Miasta te chyba pozbawione były załóg i zajęte zostały przez kohorty cezariańskie bez walki. Nie było też zapewne żadnego oporu ze strony ich mieszkańców. Taki przynajmniej wniosek można wysnuć z braku jakichkolwiek wzmianek na ten temat, zarówno w pamiętnikach Cezara, jak i w pracach innych autorów.

Do pierwszego zetknięcia z oddziałami pompejańskimi doszło w Iguvium (obecnie Gubbio). Stacjonowało w nim pięć kohort pod dowództwem pretora Kwintusa Mincjusza Termusa. pompejańczyka. Na wiadomość o ofensywie Cezara i zajęciu kilku pobliskich miast postanowił stawić opór i rozpoczął prace fortyfikacyjne.

W tej sytuacji Cezar nakazał Kurionowi natychmiast, na czele trzech kohort, zaatakować miasto. Liczył przy tym na pomoc mieszkańców miasta, którzy, jak pisze w swych pamiętnikach, byli bardzo mu życzliwi. Okazało się, że były to rachuby uzasadnione, gdyż właśnie z powodu procezariańskich nastrojów ludności M. Thermus, mimo posiadanej przewagi, nie zaryzykował starcia z Kimonem i wycofał się z miasta na samą wieś o zbliżaniu się jego wojsk. Nie wiemy wprawdzie, dokąd zamierzał się udać z swymi kohortami (może do Auksimum, które obsadził swymi żołnierzami inny pompejańczyk Acjusz Warus), ale nie ma to większego znaczenia, gdyż i tak żołnierze prawie natychmiast po wyjściu z miasta opuścili swego dowódcę, zdezerterowali i wrócili do domów.

Można z tego wnioskować, że były to oddziały pochodzące z ostatniego zaciągu, przeprowadzanego na polecenie senatu, a żołnierze pochodzili być może z okolic Iguvium.

Cezar wielokrotnie zapewnia w swych pamiętnikach o życzliwości i pomocy mieszkańców miast Italii. Nie były to bynajmniej zapewnienia gołosłowne, propagandowe, zamieszczane na użytek współczesnych i potomnych czytelników. Przekonało się o tym boleśnie kilku dowódców oddziałów Pompejusza, o czym za chwilę. Warto się zastanowić nad przyczynami tego zjawiska, które w znacznym stopniu ułatwiło Cezarowi wygranie wojny o Italię. Pewną rolę odgrywał zapewne strach przed Cezarem, którego poprzedzała sława bezwzględного zdobywcy wielu miast Galii. Do mieszkańców Italii dotarły zapewne wieści o tym, jak jego żołnierze

traktowali Galów, którzy odważyli się stawić mu opór. Mieszkańcy miast nie zamierzali więc narażać się na oblężenie, głód, straty i ewentualne represje. Wprawdzie Cezar stale zapewniał o swej łagodności i łaskawości również w stosunku do wrogów, ale ludność miast wolała nie poddawać próbie jego prawdomówności. Zwłaszcza że Cezar jak zwykle nie zaniedbał okazji, aby dopomóc swemu szczęściu i polecił rozkolportować ulotki, wzywające mieszkańców Italii, aby nie stawiali oporu jego armii.

Można też zasadnie przypuszczać, że ludność Italii nie do końca rozumiała, o co tak naprawdę toczy się spór, i nie miała zamiaru „umierać za senat i Pompejusza”, zwłaszcza że we wspomnianych ulotkach Cezar informował wszystkich, że nie uchyla się od rokowań, pragnie zgody i nawołuje do tego, aby jego spór z senatem i Pompejuszem poddać pod sąd rozjemczy. Być może do wielu czytających te ulotki przemówił argument Cezara, że wojna zaczęła się od senackiej próby upokorzenia i zniszczenia go poprzez odebranie mu prawa do zaocznego ubiegania się o konsulat, nadane przez zgromadzenie ludowe w czasie, gdy konsulem był Pompejusz. Jeśli było to wbrew jego myśli – pytał Cezar – to dlaczego się zgodził, dlaczego nie wyraził sprzeciwu? Co mieli na te pytania odpowiedzieć mieszkańcy prowincji, nie do końca zorientowani w meandrach wielkiej rzymskiej polityki, jeśli nawet my, po tylu wiekach, po tylu uczonych analizach i dysputach, nie do końca jesteśmy pewni tego, kto naprawdę ponosi winę za wybuch wojny domowej?

W końcu nie bez znaczenia było też i to, że Pompejusz był daleko, a Cezar blisko!

W ciągu tych kilku dni, kiedy jego wódzowie zajmowali pobliskie miasta, Cezar wraz z dwiema kohortami przebywał w Ariminum, gdzie zastało go poselstwo z Rzymu z odpowiedzią na jego propozycje, złożone już po przekroczeniu Rubikonu. Senat żądał, aby Cezar ustąpił z Ariminum i rozpuścił wojsko. Natomiast Pompejusz miał udać się do Hiszpanii dopiero wówczas, gdy zarówno on, jak i senat otrzymają stosowne, zadowalające gwarancje, że Cezar dotrzyma przyrzeczeń. Do tego czasu ani Pompejusz, ani też konsulowie nie zawieszają przeprowadzanego w całym państwie poboru.

Odpowiedź Cezara była oczywista i stosunkowo łatwa do prze-

widzenia. W swych pamiętnikach o wojnie domowej stwierdza: „Było niegodziwością żądać, by Cezar ustąpił z Ariminum i wrócił do swej prowincji, gdy Pompejusz zatrzymuje i prowincje, i cudze legiony; chcieć, by Cezar rozpuścił wojsko, a samemu robić nowe zaciągi; przyrzekać, że się wycofa do prowincji, a nie określić dnia, którego to nastąpi; w takim wypadku Pompejusz mógłby się nie ruszyć z miejsca przez cały czas konsulatu Cezara, a nie byłoby w tym żadnego kłamstwa ani krzywoprzysięstwa”.

Zapewne od posłów senackich Cezar dowiedział się, że ani Pompejusza, ani też senatu nie ma już w Rzymie, gdyż w wielkim pośpiechu przenieśli się do Kapui. Na decyzję zarówno senatu, jak i Pompejusza decydujący wpływ miała panika, jaka wybuchła w mieście na wiadomość o zajęciu przez Cezara Ariminum i następnych miast w Italii. Wprawdzie, co podkreśla Plutarch, wojska Pompejusza miały nadal liczebną przewagę nad armią Cezara (nawet bez tych mitycznych legionów, jakie Pompejusz ongi obiecał wywołać tupnięciem w ziemię, a co mu obecnie szyderczo wypomniał przyjaciel Katona Marek Fawoniusz), ale jak wiadomo strach ma wielkie oczy i senatowi, a także konsulom wydawało się, że armia Cezara jest ogromna, że jego forpoczty są już w pobliżu Rzymu i zajęcie miasta jest kwestią dni, a może nawet godzin. Wieści te rozpow szechniali uciekinierzy z terenów już ogarniętych wojną, którzy pojawili się w mieście. To oni właśnie twierdzili, że wojska Cezara są liczne, a jego żołnierze wyglądają na takich, którzy nie cofną się przed nikim i niczym.

Tej propagandzie strachu uległ w końcu również Pompejusz, który oficjalnie stwierdził, że w obliczu wojny domowej decyduje się opuścić Rzym. Wezwał też senat, aby szedł w jego ślady. Oświadczył również, że „ani jeden obywatel, któremu Republika i wolność jest droższa niż tyrania, nie może obojętnie pozostać na miejscu”. A więc kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Exodus odbył się w takim pośpiechu, że nie dokonano nawet ofiar wymaganych przez prawo w przypadku opuszczenia miasta przez konsulów. Nie zadbano zresztą również o sprawę znacznie ważniejszą, mianowicie o zabezpieczenie środków finansowych na prowadzenie dalszej wojny. Konsul Lentulus, któremu zlecono wywiezienie skarbu i wot

złożonych w świątyniach, otworzył wprawdzie skarbiec, ale gdy mu doniesiono, że jego osobisty bagaż jest już spakowany, zostawił wszystko na łasce zwycięzcy i nie otwierając schowków, po prostu uciekł. Dzięki temu po zajęciu Rzymu w ręce Cezara wpadły ogromne sumy, podobno aż 30 000 sztab srebra, 15 000 sztab złota oraz 30 000 000 sztuk już wybitej monety ¹⁷.

Panika, jaka ogarnęła Rzym (zapewne jednak tylko określone sfery stolicy, te, które mogły obawiać się zemsty zwycięzcy, list proskrypcyjnych itp.), była ponoć przerażająca. Dion Kasjusz tak to opisuje: „...oszałały tłum pędzi przez miasto i jakby dla tych przerażonych istot nie było już żadnej nadziei, jak tylko wyjście poza mury, biegną ślepo przed siebie”.

Sądzę, że autor udramatyzował nieco swoją opowieść, bo skądinąd wiemy, że już po podjęciu przez Pompejusza i konsulów decyzji wycofania się ze stolicy, część senatorów długo jeszcze wahała się, dyskutowała i zastanawiała się, a w końcu wcale nie miała ich grupa pozostała, mimo gróźb Pompejusza.

Wówczas, gdy te mrozące krew w żyłach sceny rozgrywały się w stolicy świata, Cezar spokojnie i pomyślnie kontynuował swą ofensywę na północy kraju wzdłuż wybrzeża Adriatyku, konsekwentnie dążąc do odcięcia Pompejuszowi drogi na wschód. Następnym miastem, które postanowił zająć, było wspomniane już Auksimum, położone w pobliżu wybrzeża Adriatyku, około 115 km od Ariminum. Stacjonowały w nim kohorty Acjusza Warusa, jednego z najbardziej zawziętych osobistych wrogów Cezara (miał ich, jak widać, wcale nie mało). Nie wiemy, jakimi siłami dysponował Warus, musiały być jednak znaczne, jeśli Cezar, aby zdobyć Auksimum, skoncentrował całość swych sił (10 kohort XIII legionu) pod swym osobistym dowództwem. Mimo to Warus nie zamierzał poddawać się. Wręcz przeciwnie, energicznie przygotowywał się do obrony miasta, rozsyłając do wielu miejscowości Picenum towarzyszących mu senatorów z zadaniem przeprowadzenia zaciągów.

Jednakże i tu, mimo determinacji Warusa, do walki w praktyce nie doszło, gdyż zanim Cezar dotarł do miasta i rozpoczął oblężenie, przybyli do Warusa dekurionowie (członkowie władz miejskich) z oświadczeniem, że wprawdzie nie do nich należy wydawanie sądu

w sprawie sporu między Cezarem i Pompejuszem, ale pamiętają o zasługach Cezara dla ojczyzny i o jego chwalebnych czynach, nie zamierzają więc zabronić mu wstępu do ich miasta. „A Warus niech sam pomyśli o przyszłości i własnym bezpieczeństwie”, dodali na zakończenie.

Sens tej wypowiedzi był jasny i czytelny – gdy nadejdzie Cezar, miasto otworzy bramy, a los Warusa nic jego mieszkańców nie obchodzi. Warus intencję posłania odczytał bezbłędnie, a jako człowiek rozważny i myślący pragmatycznie, porzucił wszelką myśl o oporze. Nie mógł przecież bronić miasta wbrew woli jego mieszkańców. Nie czuł się też zapewne, z różnych zresztą względów, na siłach, aby podjąć walkę z Cezarem w otwartym polu. Może miał obawy (jak się wkrótce okazało, w pełni uzasadnione), co do wierności i lojalności własnych żołnierzy? W konsekwencji zrobił więc to, co zrobić musiał. Zebrał swe kohorty i wymaszerował z miasta.

W pościg za nim udała się straż przednia nadchodzącej kolumny Cezara. Doszło do potyczki, w trakcie której żołnierze Warusa sromotnie opuścili swego wodza. Część z nich wróciła do domu, a reszta przeszła na stronę Cezara, który przyjął ich oczywiście bardzo życzliwie i złożył im nawet podziękowanie. Podziękował również mieszkańcom Auksimum, których zapewnił, że „nigdy im tego nie zapomni”.

Zdobycie Auksimum otworzyło przed Cezarem całą ziemię piceńską. W następnych dniach zajął kolejno największe miasta tej krainy – Firmum, Truentum, Cingulum. Są to miasta portowe położone wzdłuż wybrzeża Adriatyku i zajęcie ich świadczy o konsekwentnym realizowaniu pierwotnego planu odepchnięcia Pompejusza od morza.

Cezar stwierdza w swych pamiętnikach, że wszystkie miasta przyjmowały go bardzo życzliwie i gorliwie spełniały rozkazy, które dotyczyły przede wszystkim zaopatrzenia armii i przeprowadzenia poboru. Od tych obowiązków nie uchyliło się nawet Cingulum, miasto założone i rozbudowane przez Labienusa. Również i ono, mimo obowiązków wdzięczności wobec swego fundatora, obecnie stronnika Pompejusza, na życzenie Cezara przysłało żołnierzy. Można więc przypuszczać, że oddziały, jakimi dysponował Cezar, zostały

znacznie wzmocnione.

Tuż po zajęciu Auksimum nadciągnął legion XII, jeden z tych, które pozostały w Galii na leżach zimowych, a po wybuchu wojny domowej otrzymały rozkaz wymarszu do Italii.

Dysponując co najmniej dwudziestoma kohortami, Cezar zdecydował się zaatakować całością swych sił główne miasto tego regionu – Askulum. Bronił go kolejny dowódca Pompejusza – Lentulus Spinther, mający do dyspozycji dziesięć kohort. Tu znów powtarza się znany nam już scenariusz wydarzeń. Na wiadomość o zbliżaniu się legionów Cezara Spinther wycofuje się z miasta, zapewne z zamiarem dotarcia do Korfinium, aby wzmocnić tamtejszy garnizon. Jednakże po wyjściu poza mury żołnierze opuszczają swego dowódcę i albo wracają do domów, albo przechodzą na stronę Cezara. Przy Spintherze pozostała jedynie garstka wiernych, z którą kontynuował marsz w kierunku Korfinium.

Warto zastanowić się nad przyczynami tak powszechnej rejterady oddziałów Pompejusza i równie prawie powszechnej dezercji jego żołnierzy. Cezar w swych pamiętnikach daje wyraźnie do zrozumienia, że działo się tak z powodu strachu przed nim i jego wsławionymi walkami w Galii legionami. Niewątpliwie jest w tym sporo racji. Ale czy tylko z tego powodu garnizony Pompejusza wycofywały się z miast, a żołnierze gremialnie wracali do domów lub przechodzili na drugą stronę? Chyba jednak nie. O postawie mieszkańców Italii już wspominaliśmy. Miała ona niewątpliwie ogromny wpływ zarówno na postawę dowódców, jak i żołnierzy.

Wydaje się też, że sporo było w tym również winy samego Pompejusza. Prawdę mówiąc nie znamy jego pierwotnych zamierzeń. Nie wiemy nawet, czy miał on jakieś, mniej lub bardziej skrytykowane, plany. W źródłach można wprawdzie spotkać informacje, że senat, przekonany, iż Cezar nie rozpocznie wojny w zimie z tak małymi siłami, polecił Pompejuszowi zebrać w Italii ogromną armię liczącą około 130 000 żołnierzy. Miała być to armia złożona w większości z weteranów, a więc w praktyce gotowa do walki bez szczególnych przygotowań. Polecono mu również dokonać, za pieniądze zgromadzone w skarbie, werbunku najemników „spośród najbitniejszych ludów sąsiednich”. Może Germanów, którzy uwa-

żani byli już wówczas za dobrych żołnierzy? A na pewno procarzy i łuczników werbowanych na Krecie, Balearach itp. Z tak ogromnymi siłami miał następnie Pompejusz przejść do ofensywy i pokonać Cezara. Był to jednak raczej zbiór „pobożnych życzeń” niż konkretny plan.

Te „mocarstwowe plany” zostały w zarodku unicestwione styczniową ofensywą Cezara i wówczas okazało się, że tak naprawdę Pompejusz nie bardzo wie, co robić. Oddziały, którymi dysponował w Italii, wprawdzie mogły wystarczyć do pokonania skromnych sił Cezara, ale były one nieprzygotowane do działań zbrojnych i dopiero trzeba było przekształcić je w armię frontową, a następnie dokonać ich dyslokacji bliżej przeciwnika (a więc w pobliże Ariminum, ziemi picenńskiej i Ankony). Na to trzeba było czasu, którego Pompejuszowi, zaskoczonemu szybkością działań Cezara, zabrakło.

W tej sytuacji Pompejusz szybko zrezygnował z obrony półwyspu i wydał swym dowódcom rozkaz wycofywania się w kierunku Brundyzjum, aby stamtąd, po zgromadzeniu wystarczająco licznej floty, przerzucić armię do Grecji. Oddzielając się od przeciwnika morzem, zyskiwał w ten sposób czas na właściwe przygotowanie się do decydującego starcia.

Plan ten nie miał cech wielkości, a już na pewno nie można go nazwać śmiałym i odważnym. Wręcz przeciwnie, można mu zarzucić nadmierną ostrożność, wręcz bojaźliwość, ale przynajmniej na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie rozsądnego. W praktyce okazało się jednak, że miał również istotne wady, o których będziemy mieli okazję jeszcze nieraz wspomnieć [18](#).

Konsekwencją jego przyjęcia był np. rozkaz wydany dowódcom garnizonów miejskich w Italii unikania starć z Cezarem i wycofywania się w kierunku Brundyzjum. Nie mamy wprawdzie bezpośrednich dowodów na to, że rozkaz taki rzeczywiście został wydany, gdyż żaden autor tekstów źródłowych o nim nie wspomina, na jego istnienie wskazuje jednakże nieodparcie następstwo wydarzeń. Pompejusz po prostu musiał go wydać, musiał skoncentrować swe oddziały rozproszone po miastach Italii w Brundyzjum. W przeciwnym razie jego postępowanie należałoby uznać za zupełnie niezrozumiałe. Ponadto, pośrednio wprawdzie, ale dość wyraźnie wniossek

taki potwierdza korespondencja Pompejusza z Domicjuszem Ahenobarbrem, niefortunnym obrońcą Korfinium.

Dowódcy Pompejusza wycofywali się więc z zajmowanych miast nie tyle z powodu tchórzostwa, o co posądza ich Cezar, lecz przede wszystkim z powodu rozkazu swego dowódcy (choć zapewne niektórzy z nich z westchnieniem ulgi przyjęli możliwość uniknięcia starcia z groźnym zdobywcą Galii).

Problem jednak był w tym, że odwrót ten źle wpływał na morale żołnierzy, nawet jeśli poinformowano ich o przyczynach nieustannego wycofywania się „na z góry upatrzone pozycje”. W większości było to „młode wojsko”, żołnierze ze świeżego poboru, jeszcze niewdrożeni należycie do dyscypliny i jeszcze niezwiązani emocjonalnie ze swymi dowódcami, a zwłaszcza z Pompejuszem, który zajęty w Rzymie, a potem w Kapui gierkami politycznymi, nie pofatygował się na teren działań, aby spotkać się z żołnierzami, przemówić do nich, natchnąć wiarą w słuszność sprawy, o którą walczą.

Cezar mógł wierzyć swym żołnierzom i dowódcom, z którymi łączyła go cała dramatyczna historia podboju Galii. Z którymi dzielił i chleb żołnierski, i niewygody polowych obozowisk. Żołnierze ufali mu również, gdyż widzieli niejednokrotnie w bitwach jego szkarłatny płaszcz wodza na przedzie, na najbardziej zagrożonych odcinkach. Ponadto armię tę łączyła z wodzem oczywista wspólnota interesów, która pogłębiła się jeszcze z chwilą przekroczenia Rubikonu.

Pompejusz nie miał za sobą tych atutów, ale zadufany w sobie, w swoją gwiazdę wielkiego wodza, zlekceważył, jak należy sądzić, niebezpieczeństwo demoralizacji w wojsku z powodu ciągłych niezrozumiałych odwrótów bez walki.

Czy to oznacza, że w armii Pompejusza zabrakło jakichkolwiek form propagandy? Oczywiście, że nie. Zapewne dowódcy garnizonów starali się wyjaśnić swym żołnierzom, o co walczą. Zapewne nie zabrakło górnolotnych słów o obronie państwa, jego praw, wreszcie jego mieszkańców i obywateli. Czy jednak słowa te mogły kogokolwiek przekonać? Przecież rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Ci, których mieli bronić, radzi byli jak najszybciej pozbyć się swych obrońców, aby wśród wiwatów przyjąć Cezara i jego kohorty!

Niewątpliwie też do garnizonów pompejańskich docierały ulotki propagandowe Cezara, w których przedstawiano sytuację i powody konfliktu w zupełnie inny sposób. Komu w tej sytuacji mieli wierzyć? Przecież ten, z którym mieli walczyć, którego teraz przedstawiano jako wroga Republiki nr 1 nie był Galem, Germanem, Persem lub innym barbarzyńcą. To był niedawny konsul, sławiony powszechnie wódz rzymski, na którego cześć jeszcze nie tak dawno wrogowie obecnie senat uchwalał wielodniowe modły dziękczynne!

Dlaczego więc mieli iść za wodzem, z którym nie czuli się związani, który nie odnosił, przynajmniej w tej wojnie, sukcesów? Dlaczego mieli opuszczać razem z nim Italię i iść prawie jak na wygnanie w dalekie, nieznane, zamorskie kraje? Bo plotki o gromadzeniu floty w Brundyzjum i zamiarach przetransportowania armii za morze, w nieznane strony, krążyły uporczywie wśród wojsk pompejańskich.

To wszystko powodowało, że zniechęceni, niemający zaufania do swych dowódców i zdemoralizowani żołnierze dezercerowali i wracali do domów lub przechodzili na stronę wodza, który zwyciężał.

Zjawisko to zresztą nie znikło wraz z zakończeniem walk na terenie Italii. Będzie dawało o sobie znać z mniejszą lub większą siłą również i w następnych fazach wojny. Zadziwiające jest, że Pompejusz zdawał się zupełnie go nie zauważać. W każdym razie nie uczynił nic lub prawie nic, aby mu przeciwdziałać.

Po zdobyciu Auksimum Cezar uzupełnił zapasy żywności swej armii i wzmocnił ją żołnierzami Pompejusza, zarówno tymi, którzy przeszli dobrowolnie na jego stronę, jak i tymi, którzy zamierzali powrócić do domów, a których kazał odszukać i zwerbować. Zajął mu to około 24 godziny, po upływie których, około 8 lutego, ruszył całością swych sił w kierunku Korfinium. Było to ufortyfikowane miasto, położone w miejscu z natury obronnym, wśród wysokich gór i wąwozów, uważano je więc za najsilniejszą twierdzę środkowej Italii.

Dowódcą Korfinium był Lucius Domicjusz Ahenobarbus, mianowany, jak pamiętamy, przez senat następcą Cezara w Galii, do której jednak nigdy nie dotarł. Początkowo dysponował on oddzia-

łem liczącym około 4000 żołnierzy. Wkrótce jednak liczebność załogi Korfinium znacznie wzrosła dzięki zaciągom czynionym przez Domicjusza wśród okolicznej ludności Marsów i Pelignów.

W trakcie przygotowań do obrony przybył do Korfinium Wibiuliusz Rufus, wysłany na teren ziemi piceńskiej przez Pompejusza. Spotkał się on wcześniej z Lentulusem Spintherem, od którego dowiedział się o zajęciu przez Cezara głównych miast tego regionu oraz o procezariańskich nastrojach ludności. W tej sytuacji przejął dowództwo zarówno nad pozostałościami oddziału Spinthera, jak i nad garnizonami miast jeszcze przez Cezara niezajętymi (m.in. Kamerinum, w którym, zdaniem Cezara, było sześć kohort) i zgromadził wcale niemały oddział liczący 13 kohort, które przyprowadził do Korfinium i oddał pod rozkazy Domicjusza. Dzięki temu garnizon Korfinium wzrósł do 30 kohort. Była to licząca się siła, nic więc dziwnego, że pyszałkowaty i raczej mało inteligentny Domicjusz poczuł się wręcz panem sytuacji. Od W. Rufusa dowiedział się, że Cezar maszeruje w kierunku twierdzy na czele dwóch legionów i doszedł do przekonania, że oto nadarza się znakomita okazja do pokonania Cezara, który był nie tylko jego przeciwnikiem politycznym, ale również wrogiem osobistym.

Plan Domicjusza był stosunkowo prosty. Wykorzystując umocnienia twierdzy przetrzymać szturm i zmusić Cezara do odwrotu, a następnie osaczyć go w wąwozach, zamknąć linie zaopatrzenia i po prostu zagłodzić. W tej decyzji Domicjusza utwierdzali niewątpliwie senatorowie i oficerowie rzymscy licznie zgromadzeni w twierdzy. Im również nie odpowiadał plan Pompejusza wycofania się z Italii do Grecji, obawiali się bowiem ryzyka związanego z przeprawą morską, trudną i niebezpieczną zwłaszcza w zimie.

Wysłany został list do Pompejusza, w którym Domicjusz, informując wodza o swej decyzji (a pamiętajmy, że była ona sprzeczna z ogólnym rozkazem Pompejusza), prosi go o przybycie na pomoc i kusi wizją osaczenia armii Cezara w wąwozach wokół miasta, odcięcia linii zaopatrzenia i w konsekwencji zmuszenia do kapitulacji. „Jeśli Pompejusz tego nie uczyni – pisze w tymże liście – narazi na niebezpieczeństwo i mnie samego, i ponad trzydzieści kohort, i wielką liczbę senatorów i rycerzy rzymskich” ¹⁹.

Na pierwszy rzut oka plan Domicjusza sprawia wrażenie rozsądnego i mogącego przynieść powodzenie. Wydaje się jednak, że zadufany w sobie dowódca nie wziął pod uwagę dwóch czynników, które mogły przekreślić wszystkie jego rachuby i w konsekwencji zamiast totalnego zwycięstwa przynieść zupełną klęskę. Przede wszystkim nie wziął pod uwagę tego, że siły Cezara będą systematycznie rosły. W trakcie marszu pod Korfinium zagarnął on np. następne siedem kohort Pompejusza stacjonujących do tej pory w Sulmonie. Dowodzili nimi senatorowie Kwintus Lukrecjusz i Atiusz Pelignus.

Również i w tym przypadku powtórzył się znany nam doskonale scenariusz. Mieszkańcy Sulmony powiadomili Cezara, że chętnie przeszliby na jego stronę, ale przeszkadza im w tym pompejański garnizon. Wobec tego Cezar nie przerywając marszu głównych sił wysłał do Korfinium Antoniusza na czele pięciu kohort. Miasto otworzyło bramy. Mieszkańcy powitali Antoniusza „z owacją”, a żołnierze przeszli na stronę Cezara, który oczywiście natychmiast wcielił ich do swego wojska (Pelignusa natomiast puścił wolno, dając kolejny przykład swej łaskawości, którą przez cały czas działań wojennych niezmiernie zaskakiwał swych przeciwników i dzięki której przekonywał do siebie niezdecydowanych).

Ponadto, po przybyciu pod Korfinium, nadeszły kolejne posiłki z Galii – legion VIII i dwadzieścia dwie kohorty z nowych zaciągów w Galii. Dzięki temu Cezar mógł rozpocząć koncentryczny atak na miasto, i to on otoczył Domicjusza, a nie Domicjusz jego.

Drugą okolicznością, o której, jak się wydaje, zapomniał Domicjusz, proponując Pompejuszowi przejście do ataku i pokonanie Cezara pod Korfinium, był fakt, że Pompejusz był już zupełnie zdecydowany na wycofanie się z Italii i dość energicznie gromadził zarówno wojska, jak i flotę w Brundyzjum. Jego główne siły znajdowały się więc zbyt daleko, aby mógł na czas zdążyć z całością swych sił po Korfinium.

Naczelny wódz odrzucił plan swego niesubordynowanego podwładnego stwierdzając, że nie zamierza narażać się na ryzyko zupełnie nieprzygotowanej ofensywy, zwłaszcza że decyzję walki z Cezarem Domicjusz podjął na własną rękę.

Udzielił mu jedynie rady, aby opuścił miasto, zanim Cezar ukończy budowę umocnień wokół niego i przedarł się do głównych sił, które gromadzą się wokół Brundyzjum.

Swe stanowisko Pompejusz przedstawił w kilku zachowanych do naszych czasów listach adresowanych do Domicjusza. Ponawiał w nich wielokrotnie rozkaz wycofania się spod Korfinium i wyjaśniał powody, dla których unika stawiania oporu na terenie Italii. W jednym z listów przyznał, że nie może podjąć walki z Cezarem, gdyż brakuje mu silnego, odpowiednio przygotowanego wojska, w innym zaś, napisanym już po otoczeniu oddziału Domicjusza pod Korfinium, stwierdza wprost, że nie dowierza własnym żołnierzom i z tego właśnie powodu nie może „stanąć do walki mogącej rozstrzygnąć o losie państwa, a wojska świeżo zwerbowane przez konsulów jeszcze nie nadeszły”. Przypomnijmy, że trzon armii Pompejusza stanowiły dwa legiony, które Cezar wysłał z Galii na polecenie senatu. Miały one zostać wysłane do Syrii, aby stanowić osłonę prowincji przez Persami, ale pozostały w Italii. Oba zostały w swoisty sposób „przekupione” przez Cezara wypłaconymi nagrodami.

Rada, aby opuścić Korfinium, była zapewne niezła i Domicjusz, chyba trochę przerażony rozwojem wypadków, chętnie by być może z niej skorzystał. Przyszła jednak zbyt późno, Cezar zdążył już bowiem podejść pod miasto (14 lutego) i rozpocząć oblężenie.

Po przybyciu pod Korfinium Cezar rozpoczął budowę silnie obwarowanego obozu dla dwóch legionów – XIII i XII oraz kohort z nowych zaciągów, jak i tych, które zostały wcielone w ostatnich dniach do armii. Po trzech dniach nadeszły wspomniane już posiłki, które pod dowództwem Kuriona rozpoczęły budowę drugiego obozu. Następnie przystąpiono do budowy umocnień wokół Korfinium. Tym sposobem Domicjusz znalazł się w pułapce, którą prawdę mówiąc, zastawił sam na siebie. Jego plan, jak pamiętamy, zakładał bowiem przetrzymanie oblężenia aż do nadejścia Pompejusza, a następnie, gdy pokonany Cezar zacznie się wycofywać, wzięcie go „w dwa ognie” i zmuszenie do kapitulacji. Z chwilą jednak otrzymania listu ze zdecydowaną odmową naczelnego wodza, plan ten runął w gruzy.

Teoretycznie Domicjusz miał jeszcze w tych pierwszych dniach

oblężenia szanse na wyjście z pułapki poprzez wyjście z miasta i zmuszenie Cezara do stoczenia bitwy w otwartym polu. Na to jednak Domicjusz, mimo swego zuchwalstwa i raczej ograniczonego intelektu, nie zdecydował się. Wątpliwe jest zresztą, czy Cezar, wiedząc o maszerujących mu na pomoc oddziałach, na bitwę taką by się zgodził. A gdy te oddziały już nadeszły, Domicjusz miał do wyboru dwie drogi – poddać się bez walki lub podjąć próbę odparcia oblężenia. Wybrał tę drugą ewentualność, co też zresztą równało się klęsce, tyle tylko, że przesuniętej w czasie, gdyż w tym momencie przewaga liczebna armii Cezara była już znaczna, a i z zaopatrzeniem swych żołnierzy nie miał on raczej trudności. Jak sam pisze w swych pamiętnikach, przystępując do oblężenia zadbał o transporty żywności z okolicznych municypiów.

Przygotowując się do obrony Domicjusz zataił przed żołnierzami (i towarzyszącymi mu politykami) treść otrzymanego od Pompejusza listu i na radzie poświęconej przygotowaniu do oblężenia zapewnił wszystkich o szybkim nadejściu głównych sił.

Postanowił też wzmóc zapał żołnierzy do walki obietnicą nadania im ziemi z własnych posiadłości – prostym żołnierzom po cztery morgi, a centurionom i weteranom odpowiednio więcej.

Nie na wiele się to jednak zdało, rozeszły się bowiem pogłoski, że w tajemnicy przed wszystkimi układa on plan ucieczki z miasta. Powodem ich pojawienia się było podobno dziwne zachowanie się Domicjusza. Tak przynajmniej twierdzi Cezar. To oczywiście bardzo podkopało morale wojska.

Rychło też okazało się, że powiedzenie, iż kłamstwo ma krótkie nogi, jest bardzo prawdziwe, ktoś bowiem ujawnił faktyczną treść listu Pompejusza. To przesądziło sprawę. Żołnierze zbuntowali się. Zwołano wiec, w którym wzięli udział trybuni wojskowi, centurionowie i weterani. Jego przebieg był bardzo burzliwy. Część wojska, pochodząca z ostatnich zaciągów w kraju Marsów, chciała podobno nadal stawiać opór, omal nie doszło do wewnętrznych walk. Ostatecznie żołnierze doszli jednak do porozumienia.

Niefortunnego wodza wyprowadzono na plac i postawiono przy nim straż, a wybrani przez wiec żołnierski posłowie udali się do obozu Cezara, by mu oświadczyć, że „są gotowi otworzyć bramy,

przyjąć jego warunki i wydać mu żywego Domicjusza”. Jeśli zastanowić się nad tym zdaniem zaczerpniętym z pamiętników *O wojnie domowej*, to można dojść do wniosku, że być może bunt załogi Korfinium nie był tak zupełnie samorzutny, że być może i tym razem, jak w wielu innych sytuacjach, Cezar pomógł nieco swemu szczęściu podsycając, oczywiście poprzez swoich agentów, nastroje niepewności wśród załogi. Może z tego właśnie źródła pochodziły plotki o planach ucieczki Domicjusza? Jeśli bowiem żołnierze polecieli posłom „przyjąć jego warunki”, to być może znali je już wcześniej?

Zastanawiająca nieco jest też postawa Cezara wobec posłów i złożonej przez nich propozycji. Przyjmuje ich oczywiście bardzo łaskawie, ale powstrzymuje się z natychmiastowym wejściem do miasta, mimo że, jak stwierdza, „było w jego interesie jak najszybciej zająć miasto i przyprowadzić kohorty do swego obozu, by nie nastąpiła zmiana nastrojów **przez przekupstwo, przyływ odwagi lub fałszywe pogłoski** (podkreślenie aut.).

Wprawdzie autor pamiętników uzasadnia swą powściągliwość obawą, aby pod osłoną nocy (wydarzenia rozegrały się w późnych godzinach wieczornych) nie doszło do splądrowania miasta, ale można też podejrzewać i inne przyczyny, a zwłaszcza to, że sytuacja w mieście nie była do końca wyjaśniona i Cezar obawiał się wpaść w zasadzkę.

W każdym razie nakazał posłom wrócić do miasta, polecając im strzec bram i murów. Sam również rozstawił na wałach strażę, tak gęsto, aby miały ścisłą ze sobą łączność. Wydał też rozkaz oficerom, żeby pilnowali straży i „mieli oko nie tylko na wycieczki, ale nawet na poszczególnych ludzi wykradających się potajemnie z miasta”.

Podjęcie tak nadzwyczajnych środków ostrożności zdaje się wskazywać na to, że Cezar obawiał się jakichś niespodzianek ze strony żołnierzy Domicjusza, a także liczył się z dezercją senatorów i rzymskich dostojników, których zapewne wypadki zaszły w ciągu ostatnich dni, a nawet godzin, niezmiernie przerażyły. Jednym z najbardziej przerażonych i zrozpaczonych był sam dowódca, Domicjusz Ahenobarbus. Nie widząc wyjścia z sytuacji postanowił popełnić samobójstwo i wybrał do tego celu truciznę, którą miał mu

podać niewolnik-lekarz. Rozkaz nie został jednak wypełniony, a raczej wypełniony pozornie, gdyż lekarz zamiast trucizny podał swemu panu jedynie silny środek usypiający.

Tak przynajmniej twierdzi Plutarch, źródło zazwyczaj dość wiarygodne, choć w tym przypadku można mieć pewne wątpliwości co do prawdziwości tej informacji. Spójrzmy bowiem na rzecz całą od strony niewolnika. Przecież nie miał on żadnej gwarancji, że po przebudzeniu Domicjusz pochwali jego niesubordynację. Niedoszli samobójcy nie zawsze są wdzięczni tym, którzy ich uratowali, a przed gniewem Domicjusza nie uchroniłby go nawet Cezar, bo niewolnik był w tamtych czasach bezsporną własnością swego pana, który mógł z nim postąpić według własnego widzimisię. Tak jak z każdą rzeczą. A pamiętajmy, że Ahenobarbus miał dobrze udokumentowaną sławę okrutnika.

Prawdą jednak jest na pewno to, co pisze Cezar, iż tamtej nocy zarówno w jego obozie, jak i w mieście nikt nie spał. a wszyscy zastanawiali się nad tym, co przyniesie nadchodzący dzień. Myślał o tym również Lentulus Spinther, ten sam, który już raz, jak pamiętamy, uciekał przed Cezarem z Askulum i został przy tej okazji opuszczony przez większość swych żołnierzy. On jedyny też spośród polityków, oczekując na rozwój wypadków, nie wpadł w rozpacz i nie zamierzał beczynnie czekać na to, co przyniesie mu dzień następny, lecz postanowił „wziąć sprawy w swoje ręce”.

Mając świadomość tego, iż walka o Korfinium jest przegrana i że z tej pułapki nie da się umknąć, późną nocą (a właściwie w godzinach przedświtu) wyszedł na mury miasta i zwrócił się do cezariańskich pikiet z prośbą o zaprowadzenie go do Cezara. Po otrzymaniu zezwolenia wyszedł z miasta pod eskortą zbuntowanych żołnierzy Domicjusza, którzy towarzyszyli mu aż do kwatery Cezara.

L. Spinther, aczkolwiek niewielkiej miary polityk, okazał się pomysłowym obrońcą we własnej sprawie. W przemowie, jaką wygłosił przed Cezarem, nie było żadnych akcentów politycznych, żadnego powoływania się na państwo, prawa republiki itp. Było to jedynie osobiste, indywidualne błaganie o litość i bezpieczeństwo poparte przypomnieniem dawnej przyjaźni i wielu dobrodziejstw,

jakich mu w przeszłości Cezar nie szczędził (między innymi pomoc w dostaniu się do kolegium kapłanów, w otrzymaniu prowincji Hiszpanii jako prowincji pretorskiej, no i umożliwienie zdobycia konsulatu w 57 r. p.n.e.).

To było bardzo dobre postawienie sprawy, pozwoliło bowiem Cezarowi na wykonanie pięknego gestu, w których ten człowiek kochał się jak mało kto i dorzucenie do dawnych łask jeszcze jednego. Mógł też, a w tej sytuacji było to najważniejsze, dobitnie potwierdzić swą tak zachwalaną łagodność i wyrozumiałość dla przeciwników. W odpowiedzi nie pominął też okazji, aby po raz kolejny zdyskontować podstawowe błędy swych przeciwników popełnione w burzliwych dniach grudnia i stycznia, oświadczył bowiem, że przybył nie po to, aby komukolwiek wyrządzić zło, lecz po to, „by się bronić przed zniewagami, jakie go spotykają od wrogów; by trybunów ludu, których z jego powodu wygnano, przywrócić do godności; by siebie i lud rzymski uwolnić od ucisku mniejszości partyjnej”.

Uspokojony i podniesiony na duchu Spinther zdobył się nawet na gest lojalności wobec swych współtowarzyszy zamkniętych w Korfinium, i poprosił, aby pozwolono mu wrócić do miasta i przekazać innym słowa Cezara tak, aby na jego, Lentulusa, przykładzie przekonali się, że zapewnienia o łagodności zwycięzcy mają pokrycie w faktach. Prawdę mówiąc, Cezar nie mógł sobie nic lepszego wymarzyć, natychmiast też wyraził na to zgodę, przekazując oblężonym za pośrednictwem Spinthera polecenie, aby senatorowie, ekwici i trybuni wojskowi stawili się rano w jego obozie.

To był już koniec epopei Korfinium. O wyznaczonej porze spora grupa mężczyzn bez broni, w postawie błagalników dotarła do przednich straży Cezara. Na ich czele maszerował dziarsko niedoszły samobójca, a także jego syn oraz senatorowie Kwintyliusz Warus, L. Rubriusz, były pretor Cecyliusz Rufus, no i oczywiście L. Spinther. On też, jedyny zapewne, czuł się szczęśliwy i pewny swego losu. Już wcześniej przecież otrzymał ułaskawienie i był pewien pochwały za sprawne zrealizowanie zleconego zadania.

Sielankę popsuli jedynie żołnierze, ustawieni wzdłuż trasy pochodu, którzy lżyli i obrażali swych niedawnych przywódców.

To, że nie zostali znieważeni bardziej dotkliwie, może nawet fizycznie, zawdzięczali Cezarowi, który interweniował w ich obronie. Wprawdzie on też nie szczędził politykom i oficerom wrogiej armii słów nagany, wypominając wielu z nich niewdzięczność, ale swą przemowę zakończył oświadczeniem, że zwraca im wolność i pozwala odejść, dokąd chcą. Ułaskawieni próbowali wylewnie i kwieście dziękować za łaskę, ale zwycięzca wzgardliwie przerwał mowę, czym zepsuł niewątpliwie podniosłą atmosferę. Fakt pozostał jednak faktem. Cezar nie wykorzystał sukcesu do wywarcia zemsty na swych wrogach, nawet tak zaciętych i zdeterminowanych jak sam Domicjusz. To był zupełnie nowy „element gry”, niemieszczący się zupełnie w tradycji rzymskiej, zgodnie z którą pokonanego przeciwnika należało unicestwić – jeśli nie fizycznie, to na pewno materialnie. Można więc wyobrazić sobie, z jakim zdumieniem obserwowano postawę Cezara pod Korfinium.

Zapewne doraźnie postępowanie takie przynosiło Cezarowi pozytywne skutki, ale w dłuższej perspektywie raczej straty, gdyż wielu ułaskawianych wrogów wracało do Pompejusza i stawało się jeszcze zaciętszymi wrogami. Bo chyba to nie był najlepszy sposób postępowania z przeciwnikami – oszczędzać im życie, a następnie traktować z pogardą. Taki styl postępowania obrażał dumną i przyzwyczajoną do innego postępowania arystokrację rzymską. Nic więc dziwnego, że zamiast wdzięczności okazywali czarną niewdzięczność. Tak postąpił między innymi Domicjusz, z którym zetkniemy się znów wkrótce. Choć akurat on powinien być wdzięczny w dwójnasób, bo nie tylko odzyskał wolność i swobodę, ale w dodatku Cezar zwrócił mu kwotę 6 000 000 sesterców przekazaną przez senat Domicjuszowi na zapłatę żołdu i zdeponowaną w kasie miejskiej. No cóż, sześć milionów to kwota spora, nawet bardzo, ale korzyści propagandowe, jakie w ten sposób osiągnął Cezar, były wprost bezcenne. Sam Cezar w swych pamiętnikach pisze, że postąpił tak, aby nie pomyślano, „iż jest bardziej powściągliwy, gdy chodzi o życie ludzkie, niż gdy rzecz idzie o pieniądze”. Piękne słowa!

Zupełnie inaczej, znacznie łaskawiej i przyjaźniej, Cezar potraktował Domicjuszowych żołnierzy. Odebrał od nich przysięgę wierności i wcielił do swej armii, wysyłając ich natychmiast na Sycylię.

Natychmiast też, jeszcze tego samego dnia, zwinął obóz i wyruszył w kierunku Brundyzjum. Można doprawdy podziwiać wytrzymałość jego żołnierzy, którzy spędzili bezsenną noc czekając na kapitulację załogi Korfinium, a następnie bez odpoczynku odbyli pełny dzienny marsz, dźwigając, jak pamiętamy, niemałe ciężary na swych plecach.

Oblężenie Korfinium trwało siedem dni i sprawiło, że armia Pompejusza zmalała o trzydzieści kohort. A mimo to Pompejusz winien być wdzięczny swemu niesubordynowanemu podwładnemu, gdyby bowiem wycofał się on bez próby oporu, to Cezar byłby w Apulii o siedem dni wcześniej i kto wie, czy nie przeszkodziłby Pompejuszowi w koncentracji sił w Brundyzjum, a w konsekwencji w realizacji jego planu przeniesienia armii do Grecji. Być może następne kohorty, stacjonujące jeszcze w miastach Apulii, np. w Albie, przeszłyby na jego stronę? Część z nich (np. trzy kohorty Wibiusza z Terraciny) i tak zresztą została zagarnięta przez podjazdy armii Cezara.

W ręce żołnierzy Cezara wpadł również Numeriusz Magiusz, dowódca saperów Pompejusza, którego Cezar odesłał swemu przeciwnikowi z poleceniem przekazania mu propozycji spotkania. Nie znamy odpowiedzi Pompejusza, prawdopodobnie zresztą w ogóle jej nie udzielił.

21 lutego Pompejusz zjawił się w Brundyzjum osobiście. Zastał tam dużą ilość statków transportowych, ściągniętych z różnych portów oraz znaczną część swej armii. Wkrótce też nadciągnęli konsulowie, senatorowie wraz z rodzinami oraz ta część rzymskiego establishmentu, która związała z nim swój los. Pompejusz nie zwlekając wyprawił ich wraz z trzydziestoma kohortami do Dyrrachium. Sam z pozostałymi dwudziestoma kohortami pozostał na miejscu, czekając na powrót floty.

Cezar wyraża w swych pamiętnikach podejrzenie, że być może pozostał na miejscu, aby utrzymać w swych rękach ten ważny port i, mając w swych rękach wybrzeża Italii i Grecji, panować nad morzem. Nic jednak nie wskazuje na to, aby taki plan istniał. Wręcz przeciwnie, wyprawienie aż trzydziestu kohort do Grecji i pozostanie na miejscu z jedynie dwudziestoma przeczy tym podejrzeniom.

Cezar dysponował bowiem w tym momencie zdecydowaną przewagą liczbową, a i jakościową też, gdyż żołnierze Pompejusza byli przynajmniej częściowo zdemoralizowani z powodu ciągłych klęsk i odwrotów. Można więc przyjąć, że Pompejusz rzeczywiście czekał jedynie na powrót statków z Grecji, a czas wykorzystywał przede wszystkim na wysyłanie listów do królów, książąt i miast z wezwaniem udzielenia mu pomocy w tej wojnie ²⁰.

Fortyfikował też Brundyzjum budując zarówno umocnienia zewnętrzne, jak i wewnętrzne, których zadaniem było zatrzymanie Cezara przez odpowiednio długi czas, tak aby zdążyła powrócić flota i aby można było bez przeszkód i strat dokonać ostatecznej ewakuacji. Starał się też zabezpieczyć w ten sposób przed ewentualną akcją mieszkańców miasta, w których lojalność wobec siebie nie do końca wierzył. Jak się zresztą już wkrótce okazało, słusznie, gdyż jego przeciwnik miał wśród nich wielu sympatyków.

Cezar przyprowadził ze sobą do Brundyzjum dziewięć legionów, w tym trzy złożone z weteranów. Była to duża siła, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że zapewne wszystkie miały stany pełne lub prawie pełne, zajęcie Italii odbyło się bowiem bez żadnych walk, a straty wynikające z chorób, nieoczekiwanych zgonów oraz ewentualnych dezercji można było uzupełnić żołnierzami ze świeżych zaciągów.

Po przebyciu pod Brundyzjum Cezar postanowił zamknąć cieśninę, w głębi której leżał port i w ten sposób zatrzymać Pompejusza, a przynajmniej pozostałą część jego wojsk, na miejscu. W tym celu zaczęto budować z obu stron nabrzeża nasypy, rzucając w morze głazy i gruz. Ponieważ w tym miejscu zatoka była raczej płytka i pełna mielizn, początkowo budowa posuwała się dość szybko. Później jednak, gdy skończyły się mielizny, technika ta okazała się niewystarczająca, zaczęto więc mocować na kotwicach duże tratwy obciążone ziemią i gruzem. Co czwartą tratwę umacniano dwupiętrową wieżą.

Budowa nasypów posuwała się dość wolno, gdyż inżynierom Cezara brakło doświadczenia w prowadzeniu tego rodzaju prac. Byli oni świetni, jeśli chodzi o budowę umocnionych obozów, a także prowadzenie prac oblężniczych na lądzie, nie potrafili jednak zado-

walajaco poradzić sobie z pracami lądowo-morskimi.

Ponadto Pompejusz w miarę swych możliwości przeszkadzał w prowadzeniu prac i niszczył już osiągnięte rezultaty. Używał do tego celu dużych statków handlowych, które wyposażono w różnego rodzaju maszyny miotające (ówczesną artylerię), a także trzy piętrowe wieże kryjące żołnierzy. Statki te podływały pod tamy i starały się je rozerwać. Dochodziło do starć, w których obie strony ostrzeliwały się z bliska różnego rodzaju pociskami.

Budowa tam, przerywana walkami, trwała dziewięć dni i nie przyniosła Cezarowi prawie żadnych korzyści, bo gdy wreszcie powróciła flota wysłana do Grecji wraz z konsulami i ich kohortami, były one ukończone zaledwie w pięćdziesięciu procentach. Tym samym plan zatrzymania Pompejusza i jego armii w Brundyzjum nie powiódł się.

Równolegle z pracami oblężniczymi i walkami toczyły się rozmowy pokojowe zainicjowane oczywiście przez Cezara. W tym celu posłał swego legata Kaniniusza Rebilusa do teścia starszego syna Pompejusza, Skryboniusza Libona. Kaniniusz był krewnym i przyjacielem Libona, Cezar miał więc nadzieję, że uda się nakłonić go do pośredniczenia w rozmowach. Chodziło zwłaszcza o bezpośrednie spotkanie z Pompejuszem, które zdaniem Cezara powinno doprowadzić do zawarcia sprawiedliwego porozumienia. Aby umotywić Libona do podjęcia rozmów z Pompejuszem, Cezar kusił go wizją chwały, jaka spadnie na niego, gdy stanie się „ojcem pokoju”.

Jednakże i te wysiłki spełzły na niczym, gdyż Pompejusz po raz kolejny uchylił się od rozmów, oświadczając, że nie może prowadzić pertraktacji bez konsulów, a tych, jak wiemy, w Brundyzjum już nie było.

Prawdę mówiąc, trudno się dziwić niechęci Pompejusza do spotkania z Cezarem i rozpoczęcia jakichkolwiek rozmów na temat pokoju. Wojnę o Italię przegrał z kretelem, jego armia stopniała i była w tym momencie znacznie słabsza od armii przeciwnika. Pokój mógł więc być zawarty tylko na niekorzystnych dla niego warunkach. Natomiast po ewakuacji, której pomyślnego zakończenia w tym momencie mógł być już prawie w stu procentach pewien, zyskiwał czas niezbędny dla stworzenia silnej armii, z jaką mógłby

pokusić się o zwycięstwo. A wówczas to on dyktowałby warunki.

Z drugiej zaś strony sytuacja Cezara nie była wcale tak komfortowa, jakby mogło się wydawać. Zdobył wprawdzie Italię, nie zdołał jednak zablokować Pompejusza w Brundyzjum. Czekala go w perspektywie wyprawa na wschód i kontynuowanie walki z dala od swoich baz. Zdawał też sobie sprawę z olbrzymich środków, jakimi nadal dysponował Pompejusz. Aby nie dopuścić do ich zgromadzenia i wykorzystania, powinien ruszyć natychmiast za swym przeciwnikiem. A tego właśnie nie mógł zrobić, bo: po pierwsze – nie miał floty, którą w całości zagarnął Pompejusz, a po drugie – nie mógł opuścić Italii, mając na zapleczu, w Hiszpanii, siedem wyćwiczonych, gotowych do walki legionów stojących po stronie przeciwnika. Wystarczyłby przecież jeden rozkaz Pompejusza, aby ruszyły one przez Galię (zwłaszcza że mogły liczyć na wsparcie Galów) na półwysep i zdobyłyby go bez większego zapewne trudu. Operujący na terenie Grecji, wzięty w dwa ognie, pozbawiony jakiegokolwiek zaplecza Cezar musiałby prędzej lub później skapitulować.

Tych atutów Pompejusz nie miał zamiaru tracić, godząc się na rozpoczęcie rozmów pokojowych.

Przygotowując się do odpłynięcia, Pompejusz zbudował szereg umocnień i pułapek wewnątrz miasta, chciał bowiem utrudnić i opóźnić dotarcie oddziałów Cezara do portu. Wszystkie bramy zostały zatarasowane, place i ulice zamurowane, a na drogach prowadzących do portu z miasta wykopano rowy, w które wbito koły i zaostrzone pale zamaskowane następnie faszyną i ziemią usypaną równo z poziomem ulicy. Natomiast drogi prowadzące do portu poza murami miasta zostały zagrodzone ostro zakończonymi belkami. Mieszkańcom rozkazano nie wychodzić z domów, aby nie mogli dostarczyć żołnierzom Cezara przewodników i ostrzegać ich przed pułapkami.

Żaładunek żołnierzy na okręty rozpoczął się natychmiast po powrocie floty z Grecji. Wszystko odbywało się w wielkiej tajemnicy, w głębokiej ciszy, bardzo szybko i sprawnie. Aby zmylić obserwatorów Cezara, rozstawiono na murach niewielką ilość lekkozbrojnych żołnierzy, procarzy i weteranów. Z chwilą zakończenia załadunku mieli oni na umówiony sygnał zbiec do portu, gdzie cze-

kały na nich łodzie wiosłowe. Jednakże ten akurat podstęp nie do końca się udał, gdyż niektórzy mieszkańcy, korzystając z zamieszania, jakie powstało przy ściąganiu oddziałów do portu, wymknęli się na dachy i stamtąd dawali znaki oblegającym informując ich, że Pompejusz przygotowuje się do odpłynięcia.

Ostrzeżony Cezar nakazał przygotowanie drabin i w momencie, gdy już późnym wieczorem rozstawione na murach strażę zostały wycofane do portu, nakazał swoim żołnierzom wejść na mury. Prowadzeni przez życzliwych brundyzyjczyków uniknęli pułapek i zdążyli dojść do portu na tyle szybko, aby zająć dwa ostatnie statki z wojskiem, które utknęły przy groblach.

Operacja ewakuacji Brundyrium przeprowadzona została przez Pompejusza sprawnie, a co najważniejsze, szczęśliwie i z powodzeniem. Nie był to jednak manewr bardzo skomplikowany i trudny do przeprowadzenia, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę to, że Pompejusz bezdyskusyjnie panował na morzu.

Zajęcie miasta i portu Brundyrium zakończyło kampanię o Italię. Była to niewątpliwie jedna z najbardziej dziwnych kampanii wszech czasów. Cezar parł do przodu, wojska Pompejusza cofały się w zupełnym nieładzie lub po prostu szły w rozsypkę, często przechodząc na stronę przeciwnika. W konsekwencji nie doszło w praktyce do żadnych poważniejszych starć (jeśli nie liczyć walk przy groblach w Brundyrium) i Cezar mógł się pochwalić, że zdobył półwysep nie wyciągając miecza z pochwy.

Pompejusz nie wykorzystał ani początkowej przewagi liczbowej, ani też hiszpańskich legionów, których marsz na Galię mógł bardzo skomplikować sytuację Cezara. Można wręcz odnieść wrażenie, że o nich zapomniał. Popełnił też kilka innych błędów, o których wspomnieliśmy poprzednio. Mimo to jednak wojny nie przegrał. Wręcz przeciwnie. Udało mu się pomyślnie zrealizować swój plan przeniesienia działań na Wschód. Dzięki temu w jego rękach pozostały zasobne prowincje, zyskał czas na organizację armii wystarczająco silnej do pokonania przeciwnika, a co najważniejsze, miał w swych rękach los ludności Italii, gdyż w tym czasie była ona już bardzo zależna od dostaw zboża z zewnątrz (jak się jednak już wkrótce okazało, tego ostatniego atutu nie potrafił do końca wykorzystać).

Prawdę mówiąc, operacja pod Brundyzjum nie powinna mieć wpływu na negatywną ocenę działań Pompejusza w tej kampanii, gdyż jej pomyślne zakończenie zawdzięczał nie tyle własnej pomyślności i energii, ile Domicjuszowi, który broniąc (wbrew rozkazom) Korfinium zabrał Cezarowi cenne siedem dni. Nie oznacza to jednak, że Domicjusz zasługuje na pochwałę jako dalekowzroczny i przewidujący wódz, gdyż jego akcja miała zupełnie inne cele i podjęta została w oparciu o błędne przesłanki, a pozytywny skutek odniosła niejako „przy okazji”, ale, jak stwierdził Cezar, „na wojnie często wielkie zdarzenia są wywołane małymi” (a jak się okazało w tym przypadku, również błędy mogą przynieść pozytywne skutki).

Oczywiście, błyskawiczne zajęcie Italii przez Cezara było jego dużym sukcesem, był to jednak sukces bardziej prestiżowy niż faktyczny. W pierwszym rzucie gry rozpoczętej nad Rubikonem Cezar wyrzucił więcej oczek niż Pompejusz, ale gra toczyła się dalej, a jej ostatecznego wyniku żaden z graczy nie mógł być jeszcze pewien.

Po wyparciu Pompejusza z Italii Cezar umieścił swe garnizony w najważniejszych portach Italii (między innymi w Brundyzjum, Hydruntum i Tarentum), aby uniemożliwić Pompejuszowi powrót na półwysep.

Następny jego krok to wyparcie zwolenników Pompejusza z Sardynii i Sycylii. Było to ważne, gdyż obie wyspy były spichlerzem Rzymu, który sprowadzał stamtąd spore ilości zboża. Sardynią rządził, oczywiście z ramienia Pompejusza, Marek Kotta. Przeciwnemu Cezar wysłał legata Kwintusa Waleriusza z jednym legionem. Na Sycylię natomiast, gdzie rezydował najzaciętszy wróg osobisty Cezara, Marek Katon, wysłany został Skryboniusz Kurion z trzema legionami.

Obydwie wyspy zostały zajęte bez oporu, jak więc widzimy, okres bezkrwawych sukcesów Cezara i jego legatów bynajmniej się jeszcze nie skończył. Jeśli chodzi o Sycylię, to stało się tak dlatego, że mieszkańcy Karales, jednego z głównych miast, samorzutnie usunęli Kottę poza obręb murów. Przerażony tym legat Pompejusza, sądząc, że wszyscy mieszkańcy wyspy są wrogo do niego nastawieni, uciekł z Sardynii do Afryki.

Jeśli natomiast chodzi o Katona, to oddajmy głos Cezarowi: „na Sycylii zaś – pisze w swych pamiętnikach o wojnie domowej – Katon naprawiał stare okręty wojenne i w różnych miastach rekwizytował nowe. Robił to z wielkim zapałem. W Lukanii i w Brutium przez swoich legatów brał do wojska obywateli rzymskich, od miast sycylijskich zażądał pewnej ilości konnicy i piechoty. Mając to wszystko na ukończeniu, dowiaduje się o wymarszu Kuriona, zwołuje zgromadzenie, skarży się, że Pompejusz go opuścił i zdradził, że Pompejusz całą tę niepotrzebną wojnę zaczął zupełnie nieprzygotowany, a na jego i innych interpelacje w senacie zapewniał, że wszystko, co potrzebne, ma w największym porządku. Tak się wyskarżywszy na zgromadzeniu, ucieka ze swej prowincji”.

Cezar pisząc o Katonie najczęściej używa uszczypliwego, drwiącego, wręcz pogardliwego tonu, tym razem jednak zdradza, zapewne wbrew swym intencjom, faktyczne powody rejterady i Kotty, i Katona. Otóż Pompejusz powierzając swym legatom Sycylię i Sycylię nie przekazał im odpowiednich sił i środków do obrony powierzonych prowincji. Trudno więc odmówić racji zarzutom Katona, że w tej fazie wojny domowej Pompejusz zupełnie zawiódł. Zachowywał się tak, jakby rozwój wypadków zupełnie go zaskakiwał, jakby na czele armii senackiej znalazł się zupełnie przypadkowo.

Zawiódł również jako znawca psychiki żołnierzy, którą przecież powinien dobrze znać, a także psychiki ludzi w ogóle. Na przykładzie Kotty i Katona okazało się bowiem, że błyskawiczne opanowanie Italii przez Cezara, ciągły odwrót „na z góry upatrzone pozycje” zakończony wyparciem Pompejusza i senatu „za morze”, wpłynęły demoralizująco nie tylko na żołnierzy, ale również na stronników Pompejusza, a nawet na przywódców stronnictwa, „jastrzębi senackich”, do jakich Katon zaliczał się ponad wszelką wątpliwość.

Zajęcie Sardynii, Sycylii i Korsyki (której chyba nikt w ogóle nie bronił), rozwiązało, przynajmniej częściowo, problem zaopatrzenia metropolii w zboże. Cezar mógł więc zająć się innymi, pilnymi sprawami. Na krótki czas powrócił do Rzymu, aby podjąć próbę zalegalizowania swej władzy. W tym celu zwołał pozostałych w mieście i okolicy senatorów i uznał, że od tej chwili są oni senatem, nato-

miast ci, którzy poszli za Pompejuszem, są jedynie „zgrupowaniem rebeliantów”, które opuściwszy miasto i kraj, powinno być pozbawione prawa sprawowania jakiegokolwiek władzy. Jednakże również i ten, raczej „kadłubowy” i w pełni od niego zależny senat, nie chciał podejmować żadnych decyzji (zwłaszcza delegować posłów do rozmów z Pompejuszem, do czego namawiał Cezar), obawiając się późniejszej reakcji Pompejusza, który przecież nie został jeszcze pokonany, a który wyruszając z Rzymu oświadczył przecież, że kto nie jest z nim, jest przeciw niemu.

Wobec takiej postawy senatu Cezarowi nie pozostało nic innego, jak przejąć władzę „siłą miecza”. Oświadczył zebranim senatorom, że wprawdzie proponuje im wspólne sprawowanie władzy, jeśli jednak pod wpływem strachu wycofają się, wówczas „nie będzie się im narzucał i sam jeden sprawować będzie rządy”. Na takie *dictum* nie padła żadna odpowiedź i na tym posiedzenie się zakończyło. Pozwoliło to wprawdzie Cezarowi ująć rządy w swoje ręce i przystąpić do obsadzenia na własną rękę wszystkich stanowisk, nie dało jednak tak upragnionej przez niego legalizacji władzy.

Znacznie lepiej poszło mu natomiast w sprawach finansowych. Uzyskał mianowicie na komicjach prawo korzystania ze środków znajdujących się w skarbie Republiki (którego, jak pamiętamy, konsul Lentulus z powodu styczniowej paniki nie ewakuował). Nie obyło się i tu wprawdzie bez problemów gdyż weto przeciw tej uchwale założył jeden z trybunów ludu L. Metellus Celer, ale tym razem Cezar „zapomniał” o swej zachwalanej łaskawości i zagroził Metellusowi śmiercią, co spowodowało, że wszelkie sprzeciwy umilkły. Pozostałe natomiast rozporządzenia Cezara spełniano milcząco, bez żadnych sprzeciwów, a zwłaszcza, co było w istniejącej sytuacji istotne, bez jakiegokolwiek biernego oporu. Pozwoliło to Cezarowi wytrwać w zapowiadanej łaskawości i wykazać, że nie jest to jedynie czczy argument w grze propagandowej. Nie skazano nikogo na śmierć, nie wywieszono żadnych list proskrypcyjnych, nikomu niczego nie odebrano. Nie padły nawet (poza incydentem z Metellusem) żadne groźby.

Zagarnąwszy zasoby skarbu, po ośmiodniowym pobycie w mieście Cezar mógł wreszcie wyruszyć do Hiszpanii, gdyż tam miał

rozegrać się drugi etap wojny.

FAZA II – KAMPANIA W HISZPANII

WALKI POD HERDĄ

Wyruszając do Hiszpanii Cezar powiedział podobno, że „idzie do wojska, które nie ma wodza, stąd powróci do wodza, który nie ma wojska”²¹. Mówiąc to miał oczywiście na myśli armię hiszpańską Pompejusza, no i naturalnie samego Pompejusza, który w tym czasie przebywał w Grecji. Cezarowi przypisuje się wiele błyskotliwych powiedzeń. Jeśli jednak rzeczywiście wypowiedział to zdanie, to miał rację jedynie częściowo. Armia hiszpańska była rzeczywiście pozbawiona wodza (choć formalnie było ich aż trzech, ale, jak powiedział Napoleon, armia baranów prowadzona przez lwa jest lepsza od armii lwów prowadzonej przez barana, a żaden z legatów w Hiszpanii lwem na pewno nie był), ale Pompejusz w Grecji pracowicie gromadził wojska i nazywanie go „wodzem bez armii” było raczej przesadą.

Cezar wyruszył z Rzymu 7 kwietnia. Początkowo towarzyszył mu tylko legion XIII, później, w trakcie drogi przez Etrurię, dołączyły do niego dalsze dwa legiony – VIII i XII, a w Narbonne na zimowych leżach oczekiwały jeszcze trzy legiony pod wodzą legata Gajusza Fabiusza. W sumie była to siła znaczna, wystarczająca do pokonania hiszpańskich legionów Pompejusza pod wodzą legatów Marka Petrejusza i Marka Terencjusza Warrona (którzy z czterema legionami zajmowali Hiszpanię południową), oraz Lucjusza Afraniusza (który z trzema legionami stacjonował w północnej Hiszpanii). Zwłaszcza że nie zdecydowali się oni na połączenie wszystkich swych sił, a ponadto żaden z nich nie zaliczał się do wybitnych

dowódców (o Afraniuszu Dion Kasjusz pisze, że „znał się lepiej na tańcach niż załatwianiu czegokolwiek”).

Rozpoczęcie kampanii hiszpańskiej uległo jednakże nieoczekiwanej zwłoce z powodu Massilii (dzisiejsza Marsylia). Cezar po przekroczeniu Alp dowiedział się, że miasto to postanowiło zamknąć przed nim swe bramy, a także o tym, że w kierunku Marsylii płynię znany nam już z Korfinium Domicjusz na czele wyekwirowanych własnym sumptem siedmiu okrętów wojennych. Była to wiadomość zła, gdyż maszerując do Hiszpanii Cezar nie mógł pozostawić na swych tyłach bogatego, dobrze obwarowanego, a niechętnego mu miasta.

W tej sytuacji Cezar zdecydował się wstrzymać pochód i wezwał do siebie przedstawicieli Marsylii, którym przypomniał swoje zasługi dla miasta, a następnie udzielił im rady, aby nie brali na siebie ryzyka wiążącego się z rozpoczęciem wojny. Jego zdaniem Marsylia powinna „raczej pójść za godnym szacunku przykładem całej Italii niż ulegać samowoli jednostki”.

Przedstawiciele miasta wysłuchali pouczeń i rad, a następnie oświadczyli, że słowa Cezara przekażą władzom miasta, czyli Zgromadzeniu Sześciuset, które jest władne podjąć decyzję.

Starożytni autorzy przekazali nam trzy wersje odpowiedzi władz Marsylii. Nie wnikając w szczegóły można stwierdzić, że są one zgodne w podstawowej kwestii – Marsylia chciała zachować neutralność w sporze między Pompejuszem a Cezarem, ale neutralność życzliwą dla Pompejusza. Według poety Lukana Marsylczycy zaproponowali, aby obaj wielcy przeciwnicy, a w przeszłości dobrodzieje miasta, traktowali ich miasto jako swoisty azyl, miejsce, do którego bez obaw będą mogli wejść bez broni, jeśli kiedykolwiek zechcą spotkać się osobiście i podjąć rokowania.

Piękna odpowiedź, szkoda tylko, że nieprawdziwa, albowiem władze miasta postanowiły w rzeczywistości podjąć nader ryzykowną i w gruncie rzeczy nieuczciwą grę. Zapewniając Cezara o swej neutralności, równocześnie intensywnie przygotowywano się do wojny. Ogłoszono pełną mobilizację sił zbrojnych (powołano pod broń około 10 000 mężczyzn spośród mieszkańców), które wzmocniono najemnikami, między innymi góralami z plemienia

Albików (Cezar wyraża się o nich z wielkim uznaniem, twierdząc, że byli prawie tak samo dzielni jak jego żołnierze, a to w jego przypadku duży komplement). W mieście uruchomiono wiele warsztatów produkujących broń i pociski, a w porcie wrzała praca nad postawieniem na stopie wojennej marsylskiej floty. W tym celu między innymi rekwirowano, a następnie przebudowywano na okręty wojenne statki handlowe, a te, które się na to nie nadawały, rozbie-rano i wykorzystywano jako części służące do wyposażenia i naprawy innych okrętów.

Zapewnieniom o neutralności przeczył również fakt, że miasto nader serdecznie przyjęło Domicjusza i jego flotę, którą natychmiast wpuszczono do portu. Wydaje się, że marsylczycy liczyli na to, że Cezar, chcąc jak najszybciej rozpocząć kampanię hiszpańską, zadowoli się ich gołosłownymi zapewnieniami o neutralności i pośpieszy ze swym wojskiem za Pireneje. Wówczas Marsylia, która wyraźnie sprzyjała Pompejuszowi, gdyż gwarantował on nienaruszalność jej arystokratycznego ustroju, będzie mogła otwarcie przejść na jego stronę. Gra, jak już wspomnieliśmy, była bardzo ryzykowna i niebezpieczna, o czym marsylczycy przekonali się bardzo szybko, gdyż Cezar powściągnął swą już przysłowiową niecierpliwość i postanowił przed rozpoczęciem kampanii hiszpańskiej rozprawić się z Marsylią. Posłańców z miasta poinformował o tym kpiącym stwierdzeniem: „Poniesiecie karę za to, że pragnęliście pokoju...”. Aby ta zapowiedź mogła stać się faktem, należało jednak dokonać szeregu przygotowań. Ponieważ Marsylia dysponowała silną flotą – miała bowiem siedemnaście własnych okrętów plus siedem Domicjusza – rozpoczął od zamówienia w Arelete dwunastu okrętów wojennych, których budowę zakończono w trzydzieści dni od chwili ścięcia drzew na budulec. Dowództwo nad nimi objął Decymus Brutus.

Rozpoczęto też przygotowania do zdobycia Marsylii od strony lądu. Nie było to zadanie łatwe, gdyż była ona dostępna od tej strony jedynie na przestrzeni jednej czwartej obwodu. Na tym obszarze marsylczycy wzniesli potężne umocnienia, bronione, jak pamiętamy, przez załogę liczącą około 10 000 tysięcy powołanych pod broń marsylczyków i nieznaną nam liczbę zwerbowanych Albików.

Dokonawszy oceny sił przeciwnika, Cezar zatrzymał trzy

legiony pod Marsylią, a pozostałe trzy wysłał pod dowództwem legata Gajusza Fabiusza do Hiszpanii z zadaniem zajęcia przełęczy Pirenejów (których broniły legiony L. Afranusza) i rozpoczęcia działań przeciw legatom Pompejusza. Poleciał też Antoniuszowi, który pozostał w Italii, przyspieszenie marszu dalszych trzech legionów z Brundyzjum i wojsk posiłkowych oraz konnicy z Galii.

Aczkolwiek pierwszą fazą oblężenia Marsylii dowodził Cezar osobiście, nie ma na ten temat żadnej wzmianki w jego pamiętnikach. No cóż, o własnych niepowodzeniach pisze się zazwyczaj niechętnie, a ta właśnie operacja zakończyła się zupełnym niepowodzeniem. Zdobycie miasta od strony lądu było trudne i wymagało zakrojonych na ogromną skalę robót oblężniczych. Do budowy odpowiednich machin, ruchomych wież oblężniczych itp. wycięto wszystkie okoliczne lasy (ponoć nawet miejscowy Święty Gaj, w którym Cezar własnoręcznie ściał pierwsze drzewo, aby przełamać zabobonny strach swych żołnierzy przed boską karą).

Prace te trwały wiele dni, a nawet tygodni, toteż śpieszący się do Hiszpanii Cezar postanowił przypuścić pierwszy atak, gdy tylko część machin oblężniczych była gotowa.

Wydaje się, że podejmując tę decyzję Cezar mimo wszystko nieco zlekceważył siły, a zwłaszcza determinację marsylczyków (a może zapomniał, że nie walczy już z Galami, w których ruchome wieże oblężnicze wzbudzały zabobonny strach?). W każdym razie jego niecierpliwość i pośpiech zostały tym razem srogo ukarane. Marsylczycy nie przerazili się potężnych wież i obrzucili je ogromnymi głazami, zmuszając ukrytych w ich wnętrzu żołnierzy do odwrotu. Później, w odważnym kontrataku spalili nie tylko te maszyny, ale również i inne, jeszcze niewykończone, a także wszystkie drewniane rampy i umocnienia. Cała dotychczasowa praca poszła więc dosłownie z dymem i wszystko należało zacząć od nowa, w znacznie jednakże trudniejszych warunkach, bo pobliskie lasy zostały już wycięte i budulec trzeba było obecnie ściągać z odległych terenów. A to wymagało czasu, którego Cezar nie miał.

Pod Marsylią Cezar poniósł po raz pierwszy w tej wojnie porażkę, która nie miała większego znaczenia operacyjnego i taktycznego, ale za to ogromne znaczenie prestiżowe i która dlatego

właśnie mogła mieć wpływ na dalszy przebieg kampanii, gdyż przykład Marsylii mógł skłonić pozostałych przeciwników do stawiania bardziej zdecydowanego oporu. Ponadto obrońcy miasta zmusili go do rozdzielenia sił, jakimi w danym momencie dysponował, i pozostawienia sporej części swej armii pod murami miasta.

Na szczęście klęska operacji lądowej zbiegła się w czasie z pojawieniem się floty D. Brutusa. Od tej chwili ciężar działań pod Marsylią przesunął się z działań lądowych na działania morskie, Cezar postanowił więc pozostawić prowadzenie dalszych lądowych prac oblężniczych legatowi Gajuszowi Treboniuszowi, a sam, pod osłoną dziewięciuset jeźdźców, udał się do Hiszpanii, aby przejąć dowództwo nad legionami Fabiusza.

Do chwili przybycia naczelnego wodza Fabiuszowi udało się bez większych problemów zdobyć przełęcz pirenejskie słabo bronione przez Afraniusza i dotrzeć do Katalonii w pobliże Herdy.

Legaci Pompejusza na wiadomość o marszu legionów Cezara do Hiszpanii przegrupowali swe siły. M. Warren z dwoma legionami pozostał w Hiszpanii Dalszej, a konkretnie w dorzeczu Gwadalkiwiru i Gwadiany, natomiast Afraniusz i Petrejusz skoncentrowali swe siły pod Herdą nad rzeką Sikoris (obecne Segre), dopływem Ebro. Łącznie dysponowali oni, jak twierdzi Cezar, osiemdziesięcioma kohortami piechoty, w tym część ciężkozbrojnej z poboru w Hiszpanii Bliższej i lekkozbrojnej z Hiszpanii Dalszej, a ponadto około pięcioma tysiącami konnicy zwербowanej w obu prowincjach.

Siłom tym Cezar ostatecznie przeciwstawił potencjał wojskowy w zasadzie równy – sześć legionów piechoty, pięć tysięcy piechoty posiłkowej oraz około sześć tysięcy konnicy, w tym trzy tysiące konnych, z którymi prowadził kampanię w Galii (a więc w większości składającej się z Germanów), i trzy tysiące wyborowych jeźdźców galijskich, wzywanych, jak pisze w pamiętnikach, imiennie.

Armia Cezara przedstawiała jednak większą wartość bojową. Jego piechota składała się z zahartowanych w boju jednostek, które miały za sobą doświadczenia wojny galijskiej, natomiast piechota Afraniusza i Petrejusza (Cezar często nazywa tych żołnierzy afranianami, dając tym do zrozumienia, że w duecie legatów Pompejusza pierwsze skrzypce grał Afraniusz, który miał większe niż Petrejusz

doświadczenie bojowe, uczestnicząc ongi w kampaniach Pompejusza przeciw Sertoriuszowi i Mitrydatesowi), aczkolwiek w większości zwerbowana w Italii i nieźle wyćwiczona, nie miała większych doświadczeń bojowych. Również konnica Cezara zdecydowanie górowała nad konnicą Afraniusza, co, jak się później okazało, miało ogromny wpływ na wynik całej kampanii.

Obie strony mogły, przynajmniej teoretycznie, liczyć na posiłki – Cezar na legiony pozostawione pod Marsylią, a Afraniusz i Petrejusz na legiony Warrona. Trudno nie odnieść jednak wrażenia, że również w tej fazie konfliktu w działaniach pompejanów daje się zauważyć brak jednolitego dowództwa, planu i koordynacji działań. Nie wiadomo na przykład, dlaczego Warrona i jego legiony pozostawiono w Hiszpanii Dalszej w sytuacji, gdy ich przybycie pod Herdę zapewniłoby legatom Pompejusza zdecydowaną przewagę, przynajmniej liczebną.

Tym niemniej w początkach kampanii hiszpańskiej Afraniusz i Petrejusz niewątpliwie czuli się dość pewnie, ponieważ doszła do nich wiadomość (do Cezara również), że Pompejusz ze swoją armią maszeruje przez Mauretanię do Hiszpanii i wkrótce przybędzie, aby połączyć siły ze swoimi hiszpańskimi legatami.

Informacja ta skłoniła Cezara do wykonania niekonwencjonalnego ruchu, a mianowicie do zaciągnięcia pożyczki u swoich trybunów i centurionów. Uzyskane tą drogą pieniądze rozdał następnie żołnierzom, aby, jak pisze w pamiętnikach, pozyskać tą szczodrobliwością ich wdzięczność. Nie mniej istotne było również i to, że w ten sposób związał trybunów i centurionów, jak sam pisze, rodzajem zastawu. To zresztą nie najlepsze określenie. W rzeczywistości bowiem Cezar zaciągając pożyczkę u swych oficerów czynił z nich współników swego przedsięwzięcia, zainteresowanych osobiście, również finansowo, w jego pomyślnym zakończeniu. Przecież tylko zwycięski Cezar mógł im zwrócić pożyczkę!

Posunięcie to świadczy wymownie o tym, że Cezar potraktował poważnie powyższą informację (która okazała się zwykłą plotką) i spodziewając się nadejścia Pompejusza, przygotowywał się do decydującego boju. A także o tym, że nie do końca był pewny swej armii. Wojna domowa rządzi się przecież własnymi prawami i tak

jak w Italii możliwe były dezercje pompejanów, tak nie można było zupełnie wykluczyć podobnego zachowania się cezarian w Hiszpanii. Zwłaszcza że przykład Marsylii mógł działać zaraźliwie.

Pompejańscy wodzowie ufortyfikowali się na dość wysokim i stromym wzgórzu Gardeny, położonym w odległości około trzech kilometrów od Herdy (dzisiejsza Lerida). Szczyt wzgórza był stosunkowo niewielki, wobec tego konnica i sprzęt ulokowany został w obozie u podnóża zbocza.

Również Herda, w której Petrejusz i Afraniusz ulokowali większość swych zapasów, była miejscem z natury obronnym, zbudowano ją bowiem na wzgórzu wysokości około 116 m, o stromych zboczach. Zaatakować ją można było tylko z jednej strony, tam gdzie stok był stosunkowo łagodny. Przejście to, prowadzące do bramy miasta, było jednak tak wąskie, że, jak stwierdza Cezar, wypełniały go całkowicie trzy kohorty stojące w szyku bojowym.

Zaatakowanie tak obronnych z natury i dobrze ufortyfikowanych twierdz przekraczało możliwości Fabiusza, wobec tego ograniczył się on do założenia warownego obozu na północ od obozu Petrejusza i Afraniusza, na tym samym brzegu rzeki, i do zabiegów dyplomatycznych mających na celu przecignięcie na swoją (a właściwie Cezara) stronę miast Hiszpanii. Nie pozostały one bez echa, gdyż kilka miast już wówczas oświadczyło, że pragnie się połączyć przymerzem z Cezarem.

Głównym problemem Fabiusza było jednak zaopatrzenie swoich żołnierzy w żywność. Nie było to zadanie łatwe, gdyż najbliższa okolica Herdy została całkowicie ogołocona z żywności przez pompejanów, a dostępu do dalszych okolic broniła wspomniana Sikoris. Aby temu zaradzić, Fabiusz zbudował dwa mosty oddalone od siebie o cztery kilometry i wysłał nimi oddziały furazerów.

Były to wyprawy bardzo niebezpieczne, gdyż często dochodziło do starć z konnicą przeciwnika, toteż czasami wysłał też piechotę, aby osłonić narażone na ataki oddziały zaopatrzeniowe. Jedna z takich wypraw o mało nie zakończyła się poważną klęską, gdyż po przejściu przez rzekę piechoty, nagła wichura zerwała most położony bliżej Herdy i odcięła znaczną część konnicy, która posuwała się za piechotą. Legaci Pompejusza postanowili wykorzystać okazję

i zaatakowali odciętych żołnierzy Fabiusza – najpierw swoją konnicą, a później siłami czterech legionów pośpiesznie wyprowadzonych z obozu.

Lucjusz Plankus, dowodzący wyprawą, nie stracił jednak głowy i ustawił swoje kohorty na pobliskim wzgórzu plecami do siebie tak, aby mogły bronić się w okrążeniu. Rozpoczęło się starcie, w którym mający zdecydowaną przewagę liczebną żołnierze Pompejusza odnieśliby zapewne zwycięstwo, gdyby nie to, że Fabiusz, zorientowany się w sytuacji, wysłał pozostałe kohorty dalszym mostem na pomoc Plankusowi. Po ich nadejściu bitwa ustała, a obydwie strony wycofały się do swych obozów bez większych strat.

Dwa dni po tym niefortunnym (choć szczęśliwie zakończonym) wydarzeniu pojawił się pod Herdą Cezar. Wraz z jego przybyciem wydarzenia nabrały tempa. W ciągu nocy zakończono naprawę uszkodzonego mostu. Tej samej nocy również, po naradzie w sztabie armii, podjęto decyzję o przeprowadzeniu operacji przesunięcia obozu i ulokowaniu go w bezpośrednim sąsiedztwie wzgórza Gardeny, na którym stał obóz pompejanów.

Przyzwyczajony do podstępów i zasadzek stosowanych w trakcie wojny galijskiej Cezar stosunkowo prostym manewrem oszukał wodzów pompejańskich. Wyprowadził mianowicie swe wojsko z obozu i uszeregował je w pobliżu obozu przeciwników w trzy rzędy, jak do bitwy. W odpowiedzi na to Afraniusz i Petrejusz wyprowadzili również swe oddziały i uszeregowali je w połowie zajmowanego przez siebie wzgórza.

Cezar oczywiście nie mógł w tych warunkach zaatakować przeciwnika, który zajmował znacznie wygodniejszą pozycję, jego piechota musiałaby bowiem atakować pod górę, ale też nie o to mu chodziło. Była to po prostu demonstracja, która miała zająć uwagę nieprzyjaciela, bowiem w czasie, gdy pierwszy i drugi rzut wojska stały pod bronią, gotowe do odparcia nieprzyjaciela, kohorty trzeciego rzutu za ich plecami kopały głęboką fosę. Pod wieczór prace były już ukończone i legiony Cezara wycofały się na teren chroniony fosami. Dopiero wówczas wodzowie nieprzyjacielscy spostrzegli, jaki był rzeczywisty cel rzekomego ataku. Było już jednak za późno na jakiegokolwiek próby przeciwdziałania i legiony Cezara

nieatakowane spędziły noc w zbrojnym pogotowiu, pod osłoną fosy.

Prace kontynuowano przez dwa następne dni, stale pod osłoną trzech legionów, które ustawione w szyku bojowym odpierały, niezbyt zresztą energiczne, ataki nieprzyjaciela. Na trzeci dzień nowy obóz otoczony był już nie tylko fosami, ale również wałami i palisadą, wówczas przetransportowano do niego ze starego obozu pozostawione tam tabory i kohorty ochrony.

Operacja ta o tyle zmieniła sytuację, że od tej chwili żołnierze Afraniusza utracili posiadaną do tej pory swobodę manewru i musieli trwać nieustannie w zbrojnym pogotowiu oczekując dalszych posunięć Cezara. Dowódcom Pompejusza można zarzucić w tej fazie walk pod Herdą brak własnej koncepcji działań i wynikającą z tego bierność.

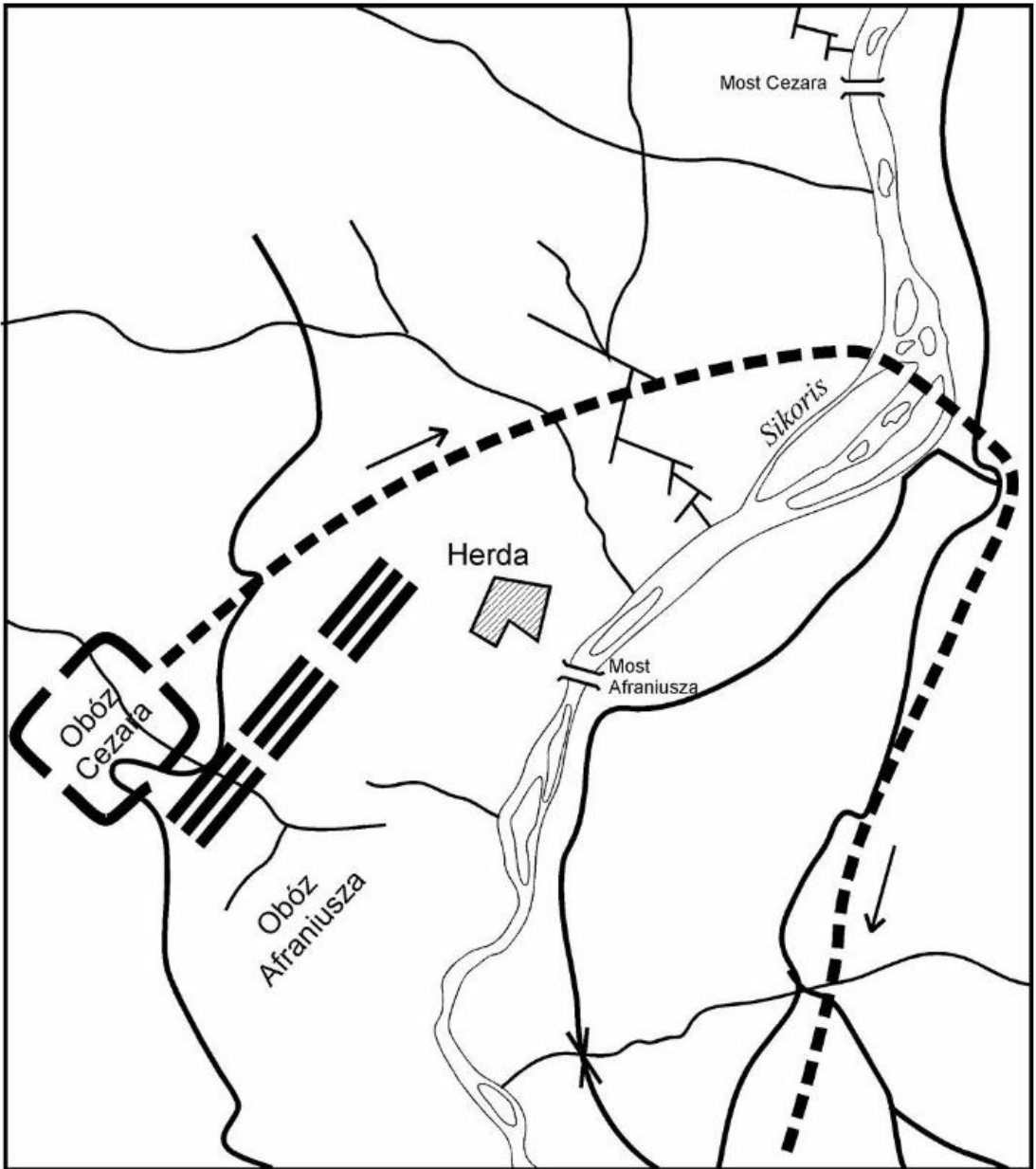
Zakończywszy pomyślnie operację przesunięcia obozu w pobliże stanowisk Petrejusza i Afraniusza, Cezar postanowił iść za ciosem i odciąć wodzów Pompejusza od ich bazy zaopatrzeniowej w Herdzie. Zadanie było możliwe do zrealizowania dzięki beztrosce wodzów Pompejusza, którzy nie zadbali o obsadzenie załogą i ufortyfikowanie wzgórza znajdującego się między ich obozem a Herdą. O ile poprzednio, gdy obóz Cezara znajdował się dalej od stanowisk pompejanów, można było jeszcze na to nie zwracać uwagi, o tyle teraz, po usadowieniu się Cezara tuż obok, było to karygodne niedbalstwo.

Cezar odkrył ten błąd przeciwników w trakcie jednego z rekonesansów okolicy obozu i postanowił natychmiast go wykorzystać. Podobnie jak poprzednio, wyprowadził z obozu trzy legiony i ustawił je w dogodnym miejscu (a więc możliwie najbliżej celu ataku) w szyku bojowym, a następnie rzucił do ataku na wzgórze przedchorągiewnych jednego legionu. Byli to najbardziej sprawni, doświadczeni żołnierze stanowiący elitę armii, których Cezar dość często wykorzystywał do specjalnych zadań, dlatego czasem w literaturze porównuje się ich do istniejących w dzisiejszych armiach batalionów czy też kompanii szturmowych. W ślad za nimi ruszyły pozostałe kohorty jako odwód i wsparcie ataku.

Tym razem jednak zaplanowana przez Cezara akcja nie powiodła się, gdyż przeciwnicy nie dali się zaskoczyć. Z ich obozu ruszyły

natychmiast oddziały piechoty, które mając krótszą drogę do wzgórza zdołały ubiec swych przeciwników, zająć go, a następnie odeprzeć atak. Rozpoczęła się walka, która nie przyniosła jednak sukcesu żołnierzom Cezara. Porażkę swych podkomendnych w tym starciu tłumaczy on zaskoczeniem spowodowanym taktyką zastosowaną przez legiony Pompejusza.

Z grubsza ujmując polegała ona na tym, że żołnierze Pompejusza przyjęli podobno sposób walki Luzytanów (mieszkańców terenu, na którym stacjonowali) i atakowali luźną masą, nie dbając o zachowanie szyku ani o stosowanie jakichkolwiek manewrów całymi oddziałami. Gdy napotykali na zdecydowany, silny opór i ich atak się załamywał, wówczas rozpraszali się, uciekali, aby następnie uderzyć w innym miejscu. Atakowani w ten sposób z boków i skrzydeł żołnierze Cezara doszli podobno do wniosku, że zostali otoczeni, i zaczęli się cofać.



Sytuacja pod Herdą

Można mieć wprawdzie wątpliwości, czy jedyną przyczyną porażki oddziałów Cezara była „barbarzyńska” taktyka przeciwnika (a prawdę mówiąc, jej zupełny brak), bo: po pierwsze – do tego sposobu prowadzenia walki mogli się przyzwyczaić w Galii, a po drugie – żołnierze legionów Pompejusza w Hiszpanii pochodzili w zdecydowanej większości z werbunku w Italii. Kiedyż więc nauczyli się

tego niekonwencjonalnego sposobu walki, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że Hiszpania została już dawno skolonizowana przez Rzymian i od dawna nie toczono tam większych wojen z tubylcami?

Tak czy inaczej, atak na wzgórze został jednak odparty, a popłoch ogarnął nie tylko przedchorągiewnych, ale również pozostałe legiony. Sytuację uratował dopiero kontratak Cezara na czele żołnierzy IX legionu. Oddziały pompejańskie zostały zatrzymane, a następnie odparte w kierunku Herdy.

Dalszy przebieg bitwy rysuje się dość niejasno. Z relacji Cezara wynika, że żołnierze IX legionu, rozgrzani walką i „pragnąc zbliznić doznaną porażkę” dość nierozważnie zapędzili się za uciekającymi aż na stok góry, na której stoi Herda. Zapomnieli, jak z tego wynika, o podstawowym celu akcji, i goniąc pierzchającego wroga pozostawili w spokoju wzgórze, które mieli zdobyć, a w konsekwencji pozwolili przeciwnikom spokojnie się na nim umocnić. To jest oczywiście możliwe, ale powstaje pytanie, co w tym czasie robiły pozostałe legiony?

Atak na Herdę nie powiódł się, bo i powieść się nie mógł. Oddziały pompejańskie, które uciekły pod osłonę murów Herdy, przegrupowały się, ochłonęły i z kolei one przeszły do kontrnatarcia. Na atakujących posypały się ich pociski, a że jedyne dogodne przejście było bardzo wąskie, toteż każdy pocisk spadający z góry na stłoczonych legionistów był —jak podkreśla Cezar— celny, straty więc wśród jego żołnierzy musiały być i, jak się później okazało, były bardzo poważne. Strome skarpy oskrzydłające dojście do bram miasta uniemożliwiały wykonanie jakiegokolwiek manewru oskrzydłającego czy też wprowadzenie do walki konnicy. Jedyne więc, co pozostało dowództwu i jednej, i drugiej strony, to wysyłanie posiłków, które luzowały zmęczone i wykrwawione kohorty i dostarczały na plac boju świeże zapasy pocisków.

W tych warunkach stoczono bój trwający ponad pięć godzin. O ile można zrozumieć pompejanów, którzy bronili swego miasta i swej bazy, o tyle trudniej zrozumieć postępowanie Cezara. Dlaczego nie wydał rozkazu przerwania bitwy, która nie mogła skończyć się sukcesem?

Dopiero po pięciu godzinach beznadziejnej walki i po zużyciu

wszystkich pocisków kohorty Cezara ruszyły do ataku na miecze i rozbiły kilka oddziałów Afraniusza. Resztę zmuszono do ucieczki pod mury Herdy, a część z nich schroniła się w mieście. Wówczas też mimo stromizny wjechała na plac boju konnica Cezara i „uwijając się między szykami, zapewniła naszym wygodniejszy i bezpieczniejszy odwrót”. Czy nie można było zrobić tego wcześniej? Dzięki temu unikniętoby zapewne tak poważnych strat – około siedemdziesięciu zabitych (w tym Kwintus Fulginiusz, pierwszy centurion XIV legionu) i około sześciuset rannych.

Straty przeciwników były podobno jeszcze większe – ponad dwustu zabitych (liczby rannych Cezar nie podaje). Nie jesteśmy w stanie zweryfikować tych danych, ale mam nieodparte wrażenie, że Cezar przesadza, jeśli chodzi o liczbę zabitych żołnierzy przeciwnika. Przecież to w jego żołnierzy ciskano pociski, z których żaden „nie padał na próżno”. A o tym, że rzuty pod górę są i trudniejsze, i mniej celne, a przede wszystkim mniej skuteczne, wie każdy. Straty obrońców Herdy nie powinny więc być tak duże.

Z relacji o tym pierwszym poważniejszym starciu pod Herdą trudno też wywnioskować, jaką rolę odegrały w nim legiony Petrusza i Afraniusza pozostałe w obozie. O nich zupełnie się nie wspomina, a trudno przecież uwierzyć, że wszystkie siły armii pompejańskiej zaangażowane były w umacnianie wzgórza będącego celem akcji Cezara lub później w obronę Herdy.

Jak zwykle w takiej sytuacji obie strony, mniej lub bardziej zadowolone z wyników starcia, rozeszły się do swych obozów. Obie też ogłosiły się zwycięzcami, ale tak naprawdę to powód do chwały mieli tylko pompejanie, Cezar bowiem, niezależnie od porównania strat, za zwycięzcę uważać się nie mógł, gdyż nie osiągnął zamierzonego celu.

Dwa dni później spadła na niego następna, nieoczekiwana klęska w postaci gwałtownej nawałnicy, która przeszła nad okolicą i spowodowała stopienie się śniegu w górach. Sikoris gwałtownie wzbierała, unosząc obydwa świeżo naprawione drewniane mosty. Była to typowa *vis maior* (siła wyższa), niezawiniona przez nikogo, ale jej skutki mogły być dla Cezara katastrofalne, wręcz mogły zadecydować o wyniku nie tylko kampanii hiszpańskiej, ale całej wojny.

Aby zrozumieć powstałą sytuację, musimy jeszcze raz powrócić do kwestii usytuowania obu obozów. Otóż położone były one w widłach dwóch rzek, Sikoris i Cinga, które płyną w tym miejscu w niedalekiej odległości od siebie. Oba wojska mogły więc komunikować się z „resztą świata” jedynie dzięki mostom przerzuconym przez bliższą rzekę, a więc przez Sikoris.

Ale sytuacja obydwu wojsk była diametralnie inna. Armia Pompejusza miała obok siebie dobrze zaopatrzoną bazę w Herdzie, miała też łatwą komunikację z terenami po drugiej stronie rzeki poprzez kamienny most w Herdzie, który oparł się nawałnicy. Afranianom więc burza i jej skutki nie zaszkodziły prawie wcale.

Sytuacja Cezara była znacznie gorsza. Jego armia nie miała większych zapasów żywności i była całkowicie zależna od bieżących dostaw, a tymczasem najbliższa okolica, a więc miejscowości znajdujące się w widłach rzek, zostały już ogołoczone z wszystkiego, co nadawało się do jedzenia – najpierw przez furazerów Afraniasza i Petrejusza, a potem Cezara. W tej sytuacji musiał on bazować na dostawach z dalszych miejscowości, po które wysyłał za rzekę oddziały furazerów. Obecnie, z powodu zerwania mostów, których na razie nie można było odbudować, gdyż Sikoris była zbyt wzburzona, oddziały te zostały odcięte i narażone na zniszczenie przez operującą swobodnie po drugiej stronie rzeki konnicę Afraniasza, a prowadzone przez nich transporty stały się łupem przeciwników.

Również miasta, które zawarły przymierze z Fabiuszem, nie mogły dostarczyć transportów. Nie mogły też dotrzeć do jego obozu duże transporty żywności i sprzętu z Italii i Galii, które ponoć właśnie wówczas zaczęły docierać w pobliże Herdy.

W obozie Cezara zapanował autentyczny głód, przed którym nie można było nawet poratować się bydłem, gdyż z powodu działań wojennych zostało one przez miejscową ludność wysłane w dalsze okolice.

Jak wiadomo, nieszczęścia lubią chodzić parami, w czasie więc gdy zerwane mosty uniemożliwiały kontakt z armią Cezara, w pobliżu Sikoris dotarły posiłki dla jego armii w postaci konnicy galijskiej i łuczników, a także spory tabor, w którym znajdowało się około sześciu tysięcy osób, a w tym synowie senatorów i ekwitów

rzymskich a także poselstwa od różnych miast. Zapewne również zapasy żywności.

Wyprawa ta, pozbawiona jednolitego dowództwa i należytej osłony, wydawała się łakomym i łatwym do zdobycia kąskiem, toteż na wieść o jej nadejściu Afraniusz przeprowił przez swój most najpierw konnicę, a potem trzy legiony. Akcja ta nie przyniosła mu jednak spodziewanego sukcesu. Konnica galijska należała wówczas do najlepszych na świecie, toteż mimo zaskoczenia, stawiała zdecydowany opór i wycofała się na wzgórza dopiero po nadejściu piechoty, z nieznacznymi zresztą stratami.

Również pozostała część wyprawy, wykorzystując czas, w którym oddziały konne toczyły walkę, zdołała się zorganizować i wycofać na wzgórza, tak że ostatecznie Cezar stracił jedynie około 200 łuczników. Sukces Afraniusza był więc nader skromny.

Nie poprawiło to jednak sytuacji armii Cezara. Wtłoczony między dwie rzeki, obóz Petrejusza i Afraniusza oraz zajęta przez nich Herdę, Cezar znalazł się w prawdziwym oblężeniu, które mogło zakończyć się jego kapitulacją z powodu głodu. Petrejusz i Afraniusz doskonale zdawali sobie z tego sprawę i nie czekając na ostateczne wyczerpanie przeciwnika, wysłali w świat listy tryumfalne, obwieszczając *urbi et orbi* swój wielki tryumf nad Cezarem. Listy te wprawiły w zachwyty optymatów i, być może, Pompejusza oraz spowodowały, że w Rzymie i w Grecji, a także w pozostałych częściach imperium rozpoczął się prawdziwy festiwal radości wrogów Cezara. Również wielu wahających się do tej pory, po czyjej stronie stanąć, nagle podjęło ostateczne decyzje i wyemigrowało do Grecji, do obozu Pompejusza. Tym szybciej, im bardziej poprzednio skłaniali się na stronę Cezara, aby nie dać się ubiec mniej wahającym się.

Po raz kolejny jednak potwierdziło się przysłowie o niedźwiedziu, na którym nie należy dzielić skóry, dopóki jeszcze biega po lesie. Cezar nie był wodzem, który łatwo kapituluje przed przeciwnościami losu. Jeszcze raz też okazało się, że prowadzenie wojen w różnych częściach Europy, z różnymi ludami daje ogromny kapitał doświadczenia, który można wykorzystać w trudnych sytuacjach. Będąc mianowicie w Brytanii Cezar podpatrzył sposób budowania lekkich łodzi, w których kil i szpągi robiono z drewna, a resztę

kadłuba z wikliny okrywanej w tym czasie skórami.

W tym czasie przypomniał sobie o tym i polecił zbudować dużą ilość takich stateczków, przewiózł je na połączonych wozach na odległość około 30 km od obozu, a następnie przerzucił na nich przez wzburzone wody Sikoris legion wojska, który zajął i ufortyfikował wzgórze po drugiej stronie rzeki. Pozwoliło to na rozpoczęcie budowy mostu z obu brzegów. Prace, prowadzone rzeczywiście w rekordowym tempie, ukończono w 48 godzin.

Teraz sytuacja uległa radykalnej zmianie. Korzystając z mostu konnica Cezara przeszła na drugi brzeg i zaskoczyła wielu niczego się niespodziewających furażerów Afraniusza i Petrejusza, rozgoniła ich, część wzięła do niewoli, a co najważniejsze, odebrała im transporty zboża i zwierząt rzeźnych, co natychmiast poprawiło sytuację żywnościową cezarian. Mostem tym zaczęły też docierać nareszcie wysłane do niego transporty z różnych punktów zaopatrzenia.

Okazało się również, że czasem nie tylko nieszczęścia, ale i powodzenie może pojawiać się w parach. Odbudowa mostu i radykalna poprawa zaopatrzenia zbiegła się bowiem w czasie z informacją o klęsce floty Marsylii i Domicjusza w starciu z flotą Decymusa Brutusa.

To była bardzo ważna wiadomość. Dion Kasjusz w swej *Historii rzymskiej* posuwa się nawet do stwierdzenia, że gdyby D. Brutus nie odniósł zwycięstwa w bitwie morskiej i nie zamknął marsylczyków w murach miasta, to Cezar poniósłby w Hiszpanii klęskę. To chyba zbyt daleko idąca sugestia, nie ulega jednak wątpliwości, że zwycięstwo to miało kapitalne znaczenie dla sytuacji pod Herdą, a także w całej Italii i Hiszpanii.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniły się bowiem nastroje. Nagle ucichły pogłoski o rychłym nadejściu Pompejusza. Wiele miast sprzyjających dotąd Pompejuszowi (między innymi Oskijczycy, Kalagurytanie i inni) przeszło teraz na stronę Cezara, żądającego od nich przede wszystkim dostaw żywności, która wkrótce zaczęła obficie napływać i widmo głodu odeszło ostatecznie w niepamięć.

Podupadło też znacznie morale żołnierzy hiszpańskiej armii Pompejusza, zwłaszcza że to oni teraz zaczęli mieć problemy

z zaopatrzeniem. Nie poprawiło też nastrojów w tej armii zjawisko dezercji związane ze zmianą nastawienia ludów iberyjskich. Zapewne pojawiało się ono sporadycznie również poprzednio, nie miało jednak raczej masowego charakteru, przynajmniej źródła o tym nie wspominają. Obecnie natomiast na stronę Cezara zaczęli przechodzić nie tylko poszczególni żołnierze, ale również całe oddziały wywodzące się z miejscowej ludności (Cezar wspomina o dezercji kohorty Ilurgawończyków, która przeszła na jego stronę).

W zmienionej na swoją korzyść sytuacji Cezar nie pozostał bezczynny. Aby zaoszczędzić swej konnicy dalekiej drogi przez nowo zbudowany most i tym samym bardziej skuteczniej przeciąć linie zaopatrzenia przeciwnika, postanowił wykonać wręcz gigantyczne jak na ówczesne czasy prace inżynieryjne, mianowicie wykopać głębokie rowy, którymi będzie można odprowadzić część wód Sikoris, obniżyć jej poziom i uzyskać w ten sposób wygodny bród na rzece.

Roboty te, prowadzone w bardzo szybkim tempie, nie uszły oczywiście uwadze Petrejusza i Afraniusza, którzy po długotrwałych dyskusjach postanowili opuścić Herdę i przenieść się za Ebro, na tereny zamieszkałe przez Celtyberów.

Decyzja ta spowodowana została kilkoma czynnikami. Przede wszystkim oczywiście obawą, że z chwilą zakończenia prac zostaną zupełnie odcięci od swych baz na drugim brzegu Sikoris i w konsekwencji znajdą się w oblężeniu podobnym do tego, w jakim poprzednio znalazł się Cezar.

Istotne było również i to, że Petreusz i Afraniusz przestali ufać mieszkańcom okolicznych miejscowości, niewykluczone nawet, że powstały w nich obawy, czy w zmienionej sytuacji pozostaną im wierni mieszkańcy ich głównej bazy – Herdy.

Podobnych obaw legaci Pompejusza nie mieli w stosunku do Celtyberów. Wręcz przeciwnie, mogli zasadnie liczyć na ich przychyłność nie tylko w kwestiach aprowizacyjnych (kraj na południe od Ebro, mniej zniszczony wojną, dysponował na pewno większymi zapasami żywności niż tereny za Sikoris), ale również w akcji werbunkowej. Celtyberowie znani byli jako dobrzy żołnierze, a ponadto większość z nich znała Pompejusza (natomiast Cezar był wśród nich postacią raczej nieznaną) i była z nim sprzymierzona w czasach

wojny z Sertoriuszem. Afraniusz i Petrejusz mogli więc liczyć na to, że uzupełnią na tym terenie uszczuplone szeregi swej armii, zwłaszcza konnicy. Było to istotne, gdyż konnica, choć dość liczna, była najsłabszą pod względem jakościowym formacją hiszpańskiej armii Pompejusza, należało więc jak najszybciej wzmocnić ją hiszpańskimi jeźdźcami.

Aby zrealizować swój plan, Afraniusz i Petrejusz polecieli zgromadzić wszystkie dostępne w okolicy łodzie i statki rzeczne i przetransportować je na odległość około 40 km, pod Oktogezę (obecna Ribarroja) i zbudować z nich most pontonowy na Ebro. Nie było to przedsięwzięcie zbyt trudne pod względem inżynieryjnym, gdyż Rzymianie dość często budowali tego rodzaju mosty. Pozwoliłoby im to wygodnie przeprowić się przez rzekę, a później przeprawę zlikwidować, by nie przepuścić przez nią Cezara.

Było to istotne, gdyż jednym z powodów przejścia do kraju Celtyberów była chęć oderwania się od Cezara i w miarę spokojnego przetrwania zbliżającej się zimy w zaprzyjaźnionym kraju. Może też liczyli na to, że Pompejusz ruszy się wreszcie z Grecji i przetruci swą armię do Hiszpanii?

Gdy most był już gotowy, armia pompejańska opuściła obóz, przeszła kamiennym mostem w Herdzie na drugi brzeg Sikoris, a następnie rozpoczęła marsz wzdłuż rzeki w kierunku Oktogezy. Na miejscu pozostały jedynie dwie kohorty jako załoga miasta. Wodzowie pompejańscy mieli nadzieję, że Cezar nie zdoła przetrucić swej armii przez odległy, jak pamiętamy, most, dzięki czemu spokojnie dotrą do Oktogezy, przeprowią się przez pontonowy most, który następnie rozbiorą i w ten sposób zrealizują swój plan.

Cezar rzeczywiście znalazł się w trudnym położeniu. Przerzucił wprawdzie przez swój most na drugi brzeg konnicę, która dość skutecznie przeszkadzała armii przeciwnika w marszu, ale zatrzymać go nie mogła. Natomiast przeprawa piechoty przez rzekę nie wchodziła w rachubę, gdyż bród był jeszcze niegotowy i woda sięgała żołnierzom do wysokości piersi, a nawet wyżej, do barków. W dodatku nurt po niedawnych roztopach był wciąż bardzo bystry i istniała obawa, że spora część żołnierzy zginie porwana przez wodę. Wcześniej zbudowany most był zaś zbyt daleko i wykorzystanie go nie

dawało żadnych szans na dogonienie przeciwnika.

Problem rozwiązała postawa żołnierzy. Obserwując ze wzgórz nad Sikoris odmarsz armii pompejan doszli oni do wniosku, że spowoduje to przedłużenie wojny i zaczęli domagać się od dowódców natychmiastowego rozpoczęcia pościgu. W końcu wymogli na centurionach, aby udali się do Cezara i oświadczyli mu w imieniu armii, by „się nie oglądał na ich trudy i niebezpieczeństwa, ponieważ są gotowi, mogą i mają odwagę przejść rzekę tak samo jak konnica”.

Czy była to w pełni własna, spontaniczna inicjatywa żołnierzy, czy też Cezar, zgodnie ze swą filozofią życiową, pomógł nieco swemu szczęściu sterując nastrojami w armii umiejętnie poprzez swych zaufanych, tego nie dowiemy się już nigdy. Tak czy inaczej, dzięki tej inicjatywie znalazł się w komfortowej sytuacji, gdyż mógł, po spektakularnych wahaniach, ulec żądaniom żołnierzy. Nikt też w tej sytuacji nie mógł obciążać go winą za straty, które ewentualnie mogły powstać w trakcie tak trudnej przeprawy.

Ale nie oznacza to bynajmniej, że nie przedsięwziął wszelkich możliwych środków, aby strat tych uniknąć lub przynajmniej je zminimalizować. Poleciał przede wszystkim centurionom wytypować wszystkich słabszych żołnierzy i pozostawił ich wraz z jednym legionem w obozie pod Herdą. Następnie kazał ustawić przed i za brodem szeregi konnicy oraz zwierząt jucznych. Był to dość często wówczas stosowany sposób na osłabianie silnego nurtu rzek, który dodatkowo miał i ten walor, że żołnierze porwani przez wodę mieli na czym (lub na kim) się zatrzymać.

Trzeba przyznać, że Cezar, jak żaden z ówczesnych dowódców, potrafił radzić sobie ze śródlądowymi wodnymi przeszkodami (gorzej było, jak wiemy z opisów desantu na Brytanię, z przeprawami morskimi). Również i ta, bardzo trudna i niebezpieczna przeprawa, przeprowadzona została po mistrzowsku, bez strat własnych, gdyż żołnierzy porwanych przez prąd wyłowiła konnica.

Po udanym przejściu rzeki legiony Cezara, ustawione w potrójny szyk, rozpoczęły forsowny pościg za armią Afraniusza i Petrejusza, która mimo nieustannych walk z atakującą ją konnicą zdążyła oddalić się na znaczną odległość.

Taktyka walki konnicy atakującej piechotę w marszu była dość

prosta, ale i skuteczna zarazem. Wykorzystując ukształtowanie terenu atakowała ona ostatnie szeregi tylnych straży, otaczała je i odrywała od reszty wojska. Zmuszało to do zatrzymania się maszerujące kohorty i do zmiany frontu czołem do przeciwnika, a wówczas jazda ustępowała z pola walki. Tym sposobem piechota uderzała w próżnię i traciła czas niezbędny na przegrupowanie. Potem armia zmieniała ponownie front, ruszała w dalszą drogę, a jazda znów pojawiała się w pobliżu straży tylnych i wszystko zaczynało się od nowa. Konieczność nieustannych zwrotów nużyła piechotę i powodowała, że traciła ona bezproduktywnie czas i siły odpierając ataki, których odeprzeć tak naprawdę nie mogła.

Przy okazji tego pościgu ujawniły się dwie cechy wojsk Pompejusza, które miały decydujący wpływ na wynik kampanii hiszpańskiej. Po pierwsze, zupełna słabość jazdy, która nie była w stanie zapewnić skutecznej ochrony własnej piechocie. A po drugie, brak odporności fizycznej i psychicznej piechoty. Byli to, jak pamiętamy, żołnierze zwerbowani ongi w Italii (poza jednym legionem, który składał się z mieszkańców Hiszpanii), nieźle wyszkoleni, ale, jakbyśmy dziś powiedzieli, nie ostrzelani. Brakło im właściwego żołnierszom Cezara zahartowania i świadomości, że bitwy i wojny wygrywa się dzięki maksymalnemu wysiłkowi, czasem nawet na pograniczu możliwości ludzkich.

Toteż cezarianie, mimo że byli zmęczeni trudną przeprawą i mimo tego, że musieli nadrobić dystans około siedmiu kilometrów, dość szybko dogonili przeciwników. Wówczas dowódcy pompejanów podjęli decyzję zatrzymania się. Nakazali swym oddziałom zająć najbliższe wzgórze i przygotować się do bitwy.

Cezar zrobił to samo, ale walki nie rozpoczął, pragnąc dać swym żołnierzom czas na odpoczynek. Na atak nie zdecydowali się również legaci Pompejusza. Przez pewien czas obie armie stały oczekując na ruch przeciwnika, następnie pompejanie ruszyli w dalszą drogę. Była to słuszna decyzja, gdyż w odległości kilku, najwyżej kilkunastu kilometrów zaczynały się góry poprzecinane wąwozami, przez które prowadziły drogi do Ebro. Gdyby więc udało się im dotrzeć do nich przed oddziałami Cezara, mogliby obsadzić wyloty wąwozów stosunkowo niewielkimi siłami, a wówczas

główna armia uwolniona od szarpiącej ją nieustannie konnicy mogłaby spokojnie kontynuować marsz na południe do Ebro.

Mimo ogromnego wysiłku i poświęcenia swych żołnierzy, Cezar był nadal w gorszej sytuacji, gdyż jego armia znajdowała się z tyłu, za oddziałami Afraniusza i Petrejusza. Nie mógł ich wyprzedzić, gdyż nie pozwalała na to zbyt wąska dolina, którą maszerowały obie armie. Nie mógł też próbować obejść jej łukiem, poprzez okalające pasmo gór, gdyż pompejanie, mający krótszą i znacznie bardziej wygodną drogę, i tak by go wyprzedzili i zablokowali wąwóz. Mógł więc zrobić tylko jedno – ruszyć w ślad za przeciwnikiem i nieustannie go atakować, licząc na to, że zmusi go albo do walki, albo do zatrzymania.

Wkrótce też cel ten osiągnął, gdyż przestraszeni, dezorientowani i niezdecydowani dowódcy Pompejusza znów zatrzymali pochód i nakazali budowę obozu, mimo że do zbawczych gór było już stosunkowo niedaleko, około 5–6 kilometrów. Był to niewątpliwie błąd, należało bowiem mimo zmęczenia żołnierzy maszerować dalej. Nawet za cenę zupełnego wyczerpania i strat, jakie niewątpliwie poniosłaby straż tylna armii narażona na nieustanne ataki wojsk Cezara.

Wprawdzie błąd ten nie zdecydował jeszcze o ostatecznym wyniku podjętej operacji dyslokacji wojsk spod Herdy do kraju Celtyberów, ale niewątpliwie postawił osiągnięcie go pod wielkim znakiem zapytania. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że przeciwnikiem był tak energiczny, przewidujący i obdarzony wyobraźnią wódz, jakim był niewątpliwie Cezar, i tak zdeterminowana i odporna na zmęczenie jego armia. Ponadto na wojnie (a i w codziennym życiu również) zazwyczaj jeden błąd pociąga za sobą następne. Nie ustrzegli się tego i dowódcy pompejanów, którzy po zastanowieniu się i przeanalizowaniu sytuacji zdecydowali się jednak realizować pierwotny plan i postanowili w nocy, niepostrzeżenie wyprowadzić swe oddziały z obozu, aby dojść do gór, zanim Cezar zorientuje się i zdoła im w tym przeszkodzić. Nie wzięli jednak pod uwagę czujności przeciwnika, który otoczył ich obóz patrolami konnicy. Jeden z nich ujął kilku żołnierzy, którzy w poszukiwaniu wody zbyt oddalili się od obozu, i od nich dowiedziano się o pla-

nach pompejan. Cezar natychmiast ogłosił alarm i jego wojsko umyślnie z wielkim hałasem zaczęło przygotowywać się do wymarszu.

To spowodowało kolejną zmianę decyzji legatów. Odwołano wymarsz, a rano Petrejusz na czele oddziału jeźdźców ruszył na zwiady. W tym samym celu Cezar wysłał swego oficera Lucjusza Decydusza Saksę. Ich relacje – składane oczywiście niezależnie od siebie w obu wrogich obozach – potwierdziły w zasadzie to, co było już wcześniej wiadome, że w odległości około sześciu kilometrów od obozów kończy się równina i zaczynają góry, okolica dzika i trudno dostępna. Kto pierwszy dotrze do wąwozów, będzie mógł bez trudu zatrzymać przeciwnika. Krótszą i łatwiejszą drogę mieli oczywiście pompejanie i oni też mieli nadal większe szanse na wygranie wyścigu, a następnie na spokojne kontynuowanie marszu do Oktogezy i Ebro.

W ich sztabie początkowo skłaniano się do tego, aby przeczekać dzień w obozie i marsz odbyć nocą, jednak przeciwnicy tego planu mieli ważki argument w postaci doświadczeń ubiegłej nocy. Twierdzili oni, chyba słusznie, że nie da się wymknąć w tajemnicy, gdyż konnica Cezara kontroluje cały obszar wokół obozu. Może więc dojść do nocnej walki, a tego starano się unikać, gdyż chyba nie do końca ufano własnym żołnierzom, którzy pod osłoną ciemności mogli po prostu zmienić sztandary lub rozbiec się po okolicy. Ostatecznie więc postanowiono wyjść z rana i odpierając spodziewane ataki cezarian dojść, z mniejszymi lub większymi stratami, do zbawczych gór.

Nie od dziś wiadomo, że na wojnie zawsze są dwa plany, a sukces odnosi ta strona, która miała i lepszy plan, i lepszych wykonawców. Rano następnego dnia żołnierzom Afraniusza wydawało się, że lepszy plan wymyślili ich dowódcy, bowiem o pierwszym brzasku ujrzano oddziały cezarian wychodzące z obozu i skręcające w stronę... Herdy. Przez moment w obozie Afraniusza zapanowało zdumienie, później jednak wytłumaczono sobie, że zapewne Cezar złapał się we własne sidła wyruszając spod Herdy bez zapasów żywności i teraz, przyciśnięty głodem, wraca do starej bazy.

Zapanowała ogólna radość, wręcz euforia, w której nikomu nie

przyszło do głowy, aby wykorzystać nieoczekiwany uśmiech losu i ruszyć natychmiast w dalszą drogę. Żołnierze wychodzili z obozu i tracili czas na ironiczne pożegnania odchodzących przeciwników, na żarty, śmiech i szyderstwa. Powoli jednak śmiechy gasły, a radość zmieniała się w przerażenie, gdyż zobaczono, że po zatoczeniu koła armia Cezara skręca w stronę Oktogezy, a jej przednie straże już mijają ich obóz.

Plan Cezara był jednocześnie i prosty, i bardzo trudny, wręcz ryzykancki. Nie mogąc pójść w kierunku gór równiną, gdyż drogę tę blokował mu obóz Afraniusza, postanowił wyjść o świcie i pomaszerować górami otaczającymi ze wszystkich stron równiną. Nie wiemy, czy początkowo skręcił w stronę Herdy, aby oszukać przeciwników, czy też dlatego, że w ten sposób było mu łatwiej wejść w pasmo gór. W każdym razie reakcja przeciwników, ich beztroška i opieszałość spowodowała, że jego plan nabrał realnych cech.

Inaczej by było oczywiście, gdyby strona przeciwna nie była tak beztroška i tak w tym momencie pewna sukcesu. Gdyby Afraniusz i Petrejusz natychmiast po stwierdzeniu wymarszu armii Cezara zwinęli swój obóz i ruszyli w stronę Oktogezy, to można być prawie pewnym, że wygraliby wyścig, mimo akcji konnicy, którą Cezar pozostawił z zadaniem opóźniania ich pochodu. Odchodząc w góry Cezar stracił bowiem na pewien czas szansę na atakowanie przeciwnika oddziałami piechoty i ewentualne zmuszenie go do bitwy, czego poprzednio tak obawiali się legaci Pompejusza.

Obecnie, pod wrażeniem manewru Cezara, cała armia Pompejusza stanęła pod bronią i ruszyła natychmiast w stronę gór, pozostawiając na miejscu kilka kohort i cały tabor. To był kolejny błąd dowódców, którzy nie wzięli pod uwagę faktu, że w tym stanie rzeczy, nawet wygrywając wyścig, poniosą znaczne straty w postaci pozostawionych w obozie żołnierzy i wszystkich zapasów, całego taboru, który zostałyby niewątpliwie zdobyte przez Cezara, gdyż po wejściu w wąwozy nie mogliby już przyjść z pomocą pozostawionym na miejscu oddziałom. W tym stanie rzeczy musieliby ruszyć w dalszą drogę tylko z bronią i tym, co żołnierze nieśli na plecach, a tego było niewiele, gdyż chodziło przecież o to, aby jak najszybciej dojść do gór.

Obie strony poruszały się z ogromnym trudem. Oddziały Cezara musiały przedzierać się przez zupełne bezdroża i urwiska tak miejscami strome, że żołnierze wdrapywali się na nie, podsadzając się wzajemnie i podając broń tym towarzyszom, którzy weszli już na szczyt. Natomiast marsz pompejan opóźniała ze wszystkich sił i nader umiejętnie jazda Cezara.

Wyścig wygrali żołnierze Cezara, mimo że mieli znacznie dłuższą i znacznie trudniejszą drogę. Może to oznaczać, że akcja jazdy cezariańskiej okazała się ostatecznie skuteczniejszą przeszkodą niż góry, skały i urwiska. A może po prostu żołnierze Cezara byli bardziej zdeterminowani, lepiej wytrenowani i umiejący walczyć do końca z przeciwnościami, nawet zupełnymi resztkami sił?

Odpowiedź na to pytanie nie ma jednak znaczenia, gdyż owego dnia, praktycznie decydującego o losach kampanii, ważne było jedynie to, że gdy pompejanie doszli wreszcie do końca równiny, zobaczyli stojące przed sobą w szyku bojowym wojska Cezara. Teraz to on miał w ręku wszelkie atuty, gdyż nie tylko blokował przeciwnikom dalszą drogę, ale mając za ich plecami swoją konnicę, mógł być zupełnie spokojny o wynik starcia, gdyby doprowadzeni do ostateczności Afraniusz i Petrejusz zdecydowali się na atak.

Do bitwy jednak nie doszło, gdyż Afraniusz rozkazał swej armii zająć najbliższe wzgórze i naprędce, prowizorycznie ufortyfikować je. Następnie wysłano cztery lekkobrojne kohorty z zadaniem zajęcia najwyższej w okolicy góry, aby przeprowadzić tam całe wojsko, a potem, po odpoczynku, powtórzyć wyczyn Cezara i górami dojść do Oktogezy. Do realizacji tego nowego planu jednak nie doszło, gdyż na biegnących lekkobrojnych wpadła konnica Cezara, otoczyła ich i wybiła do nogi.

W relacjach z tej fazy kampanii hiszpańskiej uderza po raz kolejny zupełna bierność jazdy Afraniusza. Jakby jej zupełnie nie było. Nie podejmuje akcji zaczepnych, nie odpiera ataków konnicy Cezara, nie osłania własnej piechoty przed tymi atakami. Wręcz przeciwnie, później, w trakcie odwrotu, mimo że jeszcze dość liczna, tak była podobno zdemoralizowana poprzednimi klęskami, że w marszu sama chroniła się w szeregach piechoty.

Stłoczona na wzgórzu armia Afraniusza i Petrejusza przyglądała

się bez żadnej reakcji klęsce swoich kohort lekkobroejnej piechoty. Żołnierze byli tak załamani, zmęczeni i wręcz zdemoralizowani niepowodzeniem, że nie byliby w stanie odeprzeć uderzenia nawet części oddziałów Cezara, choć i one były zapewne skrajnie wyczerpane wspinaczką po górach. Ostateczny sukces był więc dosłownie na wyciągnięcie ręki i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, zarówno dowódcy i oficerowie, jak i żołnierze.

Ale Cezar postanowił nie wykorzystywać sytuacji, mimo że żądali tego od niego jego oficerowie i żołnierze, grożąc, że jeśli w tak dogodnej sytuacji nie wyda bitwy i nie zakończy kampanii, to oni w przyszłości nie będą walczyć, nawet jeśli tego od nich zażąda.

Cezar jednak oparł się szantażowi, wyjaśniając, że nie warto narażać życia żołnierzy w niepotrzebnej walce, gdyż wojnę można zakończyć bez strat, po prostu odcinając Przeciwnikowi drogę do wody i żywności (legioniści Afraniusza i Petrejusza mieli ze sobą trochę zboża, ale żołnierze z wojsk posiłkowych nie mieli go już wcale). Zwraca też swym ludziom uwagę, że nie należy również bez potrzeby narażać na śmierć lub rany swoich współobywateli, z których przecież głównie składały się hiszpańskie legiony Pompejusza.

Mamy więc kolejny przykład słynnej łagodności i łaskawości Cezara, który postanowił nie naśladować swych poprzedników stosujących w domowych wojnach okrutne i bezwzględne metody. Czy to oznacza, że charakter Cezara zmienił się od czasu, gdy bez żadnych skrupułów rozprawiał się z Galami, burząc całe miasta, jeńców sprzedając w niewolę i bezlitośnie każąc mordować ludność cywilną, nawet kobiety i dzieci? Oczywiście, że nie. Po prostu, będąc nie tylko wybitnym generałem, ale również inteligentnym i dalekowzrocznym, choć raczej pozbawionym skrupułów mężem stanu zawsze wybierał metody, które uznał za najbardziej skuteczne. W Galii był to terror i wręcz ludobójstwo, które miały przerazić przeciwników i zniechęcić ich do dalszego oporu. Rozpoczynając wojnę domową doszedł z kolei do wniosku, że łagodność i wyrozumiałość w stosunku do Rzymian może być bardzo skutecznym orężem w wojnie z Pompejuszem, dzięki któremu odbierze argumenty przeciwnikom i przeciągnie na swoją stronę niezdecydowanych i wahających się. Doświadczenia wojny w Italii przekonały go, że

miął rację, nie miał wobec tego zamiaru zmieniać bez potrzeby sposobu postępowania również w Hiszpanii (inaczej być może postąpiłby, gdyby miał do czynienia wyłącznie z Iberami).

Po przegraniu wyścigu do gór pompejanie musieli ostatecznie porzucić zamiar dotarcia do Ebro, gdyż oddziały konnicy i piechoty Cezara zamknęły wszystkie drogi i wszystkie wąwozy. Posterunki ustawiono nawet na szczytach okolicznych wzgórz, a jego główna armia okopała się w bezpośrednim sąsiedztwie ich obozu, kontrolując w pełni okoliczny teren.

W tej sytuacji legaci Pompejusza musieli zmienić plany. Zwołano w następnym dniu naradę sztabową, na której ścierały się dwa plany – odwrót do Herdy lub marsz do Terracony, ale ostatecznie zrezygnowano z tego drugiego pomysłu. Herda była bliżej, a ponadto znajdowały się tam dwie kohorty pozostawione jako załoga miasta, no i resztki zapasów żywności, a także sprzęt obozowy.

Zanim zakończono naradę, wyszedł na jaw kolejny błąd dowództwa pompejanów, które poprzedniego dnia, zapewne pod presją strachu przed ostateczną klęską, nieopatrznie zdecydowało się założyć obóz w miejscu zupełnie pozbawionym wody. Wysłano więc po nią, jak zwykle, lekkozbrojnych, ale zostali oni skutecznie odpędzeni przez patrole Cezara.

Sytuacja była na tyle dramatyczna, że w sztabie pompejan zapadła rozpaczliwa decyzja wyprowadzenia z obozu kohort legionowych i pod ich osłoną rozpoczęcie budowy wału prowadzącego od obozu do najbliższych źródeł. Obaj dowódcy zdecydowali się osobiście nadzorować prace i wyjechali z obozu. Pod ich nieobecność doszło do rozmów między żołnierzami obu armii, a w konsekwencji prawie do ich całkowitego zbratania się. Żołnierze spotkali się najpierw na terenie między obozami, później zaczęli nawzajem odwiedzać się w swoich obozach i namiotach. Okazało się, że wielu z nich ma we wrogich armiach swoich znajomych, przyjaciół lub przynajmniej ziomków, których warto było odwiedzić. Rozmowy stawały się coraz bardziej przyjazne i wesołe, a przy tym konkretne. Żołnierze legionów Pompejusza interesowało przede wszystkim to, jaki jest Cezar i jak zachowa się wobec ich ewentualnej kapitulacji? Czy

zdecyduje się zagwarantować życie ich wodzom? Czy można ufać jego zapewnieniom?

W pewnym momencie sytuacja wyglądała podobno tak, jakby oba obozy połączyły się w jedną całość. Do Cezara udała się delegacja centurionów armii Pompejusza, aby negocjować warunki rozejmu, a w rozmowy o kapitulacji włączył się podobno nawet syn Afraniusza, który układał się za pośrednictwem posłów w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa sobie i ojcu.

Można oczywiście zadać pytanie, czy przypadkiem Cezar i tym razem nie pomógł nieco swemu szczęściu i delikatnie nie zainicjował rozmów, aby poprzez zbratanie się obu armii doprowadzić do erozji przeciwnika i szybciej, a co najważniejsze, bezkrwawo zakończyć kampanię? Wydaje się jednak, że mamy w tym przypadku do czynienia ze spontaniczną akcją żołnierzy, którą umożliwiło zachowanie się Cezara w dniu poprzednim. Jednym słowem zbierał on niewątpliwie w tym dniu owoce swej łagodności i umiaru w stosunku do wroga, które żołnierze potrafili należycie ocenić i docenić.

Sielanka została brutalnie przerwana przez Petrejusza (Afraniusz zachował się spokojnie i wydaje się, że był nawet gotów zaakceptować porozumienie i kapitulację), który, gdy mu doniesiono o sytuacji, wrócił natychmiast do obozu i na czele uzbrojonych niewolników oraz gwardii przybocznej przepędził żołnierzy Cezara, a tych, których udało mu się ująć, skazał na śmierć. Następnie obaj wodzowie zgromadzili całe wojsko i zmusili je do złożenia ponownej przysięgi na wierność Pompejuszowi i sobie.

Zbrodnia popełniona przez Petrejusza (a nawet, jeśli zacytować powiedzenie Talleyranda, więcej niż zbrodnia, bo błąd) była wodą na młyn Cezara, który dzięki niej mógł wykazać, że jego łagodność jest w stanie wytrzymać każdą próbę. Cezar bowiem nie uległ chęci zemsty, kazał odszukać w swoim obozie żołnierzy nieprzyjaciela i oświadczył im, że mogą bez przeszkód wracać do swego obozu. Część skorzystała z zezwolenia, sporo jednak pozostało, nie tylko prostych żołnierzy, ale również centurionów, a nawet trybunów wojskowych.

To był niewątpliwie piękny gest, zwłaszcza na tle brutalności i okrucieństwa Petrejusza. Na pewno też komentowano go życzliwie

w namiotach obozu Arraniusza i Petrejusza. Niewątpliwie zwrócono też na niego uwagę w salonach politycznych Rzymu, a niewykluczone, że również w greckiej armii Pompejusza.

Wbrew obiegowemu powiedzeniu, tym razem dobry uczynek spotkał się z zasłużoną nagrodą, gdyż od tego dnia szeregi armii pompejańskiej topniały z dnia na dzień. Nie tylko zresztą z powodu dezercji, choć zjawisko to wyraźnie nasiliło się po tym „dniu zbratania” (jak widać, świeżo złożona pod przymusem przysięga nie na wiele się zdała), ale również w wyniku chorób i śmierci z osłabienia i głodu. Odwrót do Herdy odbywał się bowiem w opłakanych warunkach, w ciągłych walkach z jazdą i lekkozbrojnymi Cezara, bez wody, jedzenia i paszy dla zwierząt.

Następnego dnia Afraniusz i Petrejusz wydali rozkaz likwidacji obozu i marszu do Herdy. Natychmiast też pojawiła się konnica Cezara, która korzystając z beczynności jazdy przeciwnika wyprzedzała maszerujące szeregi zajmując miejsca górujące nad trasą pochodu i z góry, zupełnie bezkarnie, raziła pociskami posuwające się w dole kolumny.

Zmuszało to legiony Afraniusza do częstego poruszania się biegiem, aby szybciej minąć niebezpieczne miejsca i zająć przed konnymi kolejne wzniesienia lub też odpierać te oddziały jazdy, które blokowały dalszą drogę. To oczywiście wyczerpywało siły żołnierzy, po przejściu więc około sześciu kilometrów Afraniusz wydał rozkaz zatrzymania się. Cezar natychmiast polecił zrobić to samo.

Po krótkim postoju armia Afraniusza znów ruszyła w drogę do Herdy, a za nią jak cień posuwało się wojsko Cezara. Widać wyraźnie, że Cezar po raz kolejny potrafił powściągnąć swą niecierpliwą naturę i spokojnie, metodycznie nękać swych przeciwników, którzy z konieczności, odpychani od źródeł i rzeczek, musieli wybierać na miejsce postoju niedogodne tereny, oddalone od wody, drewna na opał itp.

Aby uchronić się od nieustannych ataków konnicy, Afraniusz zdecydował się wreszcie na zupełnie nierealny, wręcz szalony plan budowy w ciągu nocy kolejnych obozów, zamierzając dzięki temu dojść do Herdy. Plan ten próbowano też realizować również następnego dnia rano, ale niewyspani, głodni, a nade wszystko spragnieni

żołnierze nie mieli już sił. Dotarcie do wody stało się palącą potrzebą, bo zmęczeni i spragnieni żołnierze musieli wreszcie napić się, umyć i ugotować coś ze skromnych zapasów, które jeszcze posiadali. Wobec tego cała armia, marszem ubezpieczonym, pozostawiając w ostatnim obozie jedynie kilka kohort, udała do najbliższych ujęć wodnych. Ale to z kolei spowodowało, że żaden oddział nie mógł wyjść po paszę, tak że w końcu trzeba było zabić głodne zwierzęta.

Dążąc do zupełnego wygłodzenia przeciwnika, Cezar nakazał kolejnego dnia swemu wojsku otoczyć wrogi obóz wałami i fosą. Prace nad tym systemem fortyfikacji trwały dwa dni. Trzeciego dnia, około 9 rano, Afraniusz widząc zaciskający się wokół jego stanowiska system umocnień zdecydował się wyprowadzić swoje legiony i uszykować je do bitwy. Cezar, aczkolwiek dotąd konsekwentnie unikał stoczenia generalnej bitwy, tym razem był zmuszony uczynić to samo. Afraniusz ustawił swe oddziały w podwójnym szyku, jako odwód pozostawiając w rezerwie kohorty posiłkowe złożone głównie z Iberów.

Szyk Cezara był głębszy, potrójny. Wydzielił on po cztery kohorty z każdego legionu, w sumie dwadzieścia, i ustawił je w pierwszej linii. W drugiej linii stanęły kohorty posiłkowe, a w trzeciej pozostałych piętnaście kohort legionowych. Łucznicy i procarze zostali umieszczeni wewnątrz szyków piechoty, a jazda na skrzydłach.

Do bitwy jednak nie doszło, gdyż z obu stron była to tylko zbrojna demonstracja. Afraniusz wyprowadził swą armię po to, aby przerwać budowę fortyfikacji wokół swego obozu, a Cezar dlatego, że nie mógł wciąż sprawiać wrażenia, że unika staczania bitew „wbrew swej sławie i dobremu imieniu, jakie miał u wojska”. W tej sytuacji żaden z wodzów nie zdecydował się na rozpoczęcie walki i o zachodzie słońca obie armie rozeszły się do swoich obozów.

Noc minęła w miarę spokojnie, a następnego dnia żołnierze Cezara przystąpili bez przeszkód do kontynuowania przerwanych prac fortyfikacyjnych. W tej sytuacji Afraniusz zdecydował się na krok rozpaczliwy – próbę przekroczenia rzeki Sikoris brodem. Nie wiemy, jaki był wtedy stan wód w rzece, zapewne nie najwyższy,

gdyż Cezar uprzedził te zamiary i przerzucił na drugą stronę część konnicy oraz oddziały lekkobrojnych, które ustawiły się wzdłuż brzegu. W tych warunkach podejmowanie prób przeprawy było niemożliwe, gdyż wychodzący z wody żołnierze, praktycznie w tym momencie bezbroni, zostaliby wycięci w pień.

To była już ostatnia próba wodzów Pompejusza wyrwania się z zaciskającej się coraz mocniej wokół nich pętli. Pozbawieni wody, opału, zboża, a także jakiejkolwiek nadziei na pomoc, postanowili kapitulować i poprosili poprzez parlamentariuszy o spotkanie, stawiając jako warunek, aby odbyło się one bez obecności żołnierzy.

Cezar godząc się na rozmowy, ten warunek zdecydowanie odrzucił, wobec czego spotkanie odbyło się w miejscu przez niego wybranym tak, aby obie armie (a zależało mu przede wszystkim na żołnierzach armii Afraniusza i Petrejusza) mogły słyszeć, co miał do powiedzenia legatom Pompejusza.

Wystąpienie Afraniusza (Petrejusz odmówił przybycia na spotkanie z Cezarem) sprowadzało się do przyznania się do klęski i błagania zwycięzcy o litość i darowanie życia. Postępowanie swoje i swego kolegi Afraniusz tłumaczył oczywiście koniecznością dochowania wierności ich wodzowi G. Pompejuszowi.

Przemowa Cezara była znacznie dłuższa i o wiele ciekawsza (nie na darmo Cezar kształcił się ongi w retoryce i miał za sobą sukcesy w roli mówcy). Przypomniawszy oczywiście wszystkie zarzuty, wielokrotnie przy różnych okazjach stawiane senatowi i Pompejuszowi. Nie szczędził też oczywiście ostrych słów nagany obu legatom za to, że „zdeptali prawa swobodnych rozmów i rozejmu, w najokrutniejszy sposób wymordowali ludzi nieostrożnych, którzy się dali zwieść rokowaniami”. Na tym tle podkreślił oczywiście własną dobrą wolę i humanitaryzm. Przypomniawszy, że nie wykorzystał trudnej sytuacji przeciwnika, podkreślił też dobrą wolę żołnierzy obu armii, którzy z własnej inicjatywy wszczęli rokowania pokojowe.

Zakończył stwierdzeniem, że nie chce wyzyskiwać sprzyjających okoliczności dla powiększenia własnych sił. Nie zamierza też nikomu wyrządzać krzywdy i żąda jedynie, aby legaci Pompejusza wynieśli się z Hiszpanii i rozpuścili wojsko. To ostatnie stwierdzenie spotkało się z ogromnym aplauzem żołnierzy Afraniusza, któ-

rych, jak pisze, „spotkała nieoczekiwana nagroda odprawy”, ale i Afraniusz nie miał powodów do niezadowolenia, gdyż otrzymał gwarancję życia i wolności, a więc więcej niż się mógł spodziewać.

Po krótkiej naradzie postanowiono, że żołnierze mający jakieś posiadłości w Hiszpanii zostaną uwolnieni ze służby natychmiast i mogą pozostać w prowincji, pozostali natomiast zostaną odprowadzeni do granicy Italii, czyli do rzeki War, pod nadzorem czterech legionów Cezara. W swej łaskawości Cezar posunął się do obietnicy, że każdemu z byłych już żołnierzy Afraniusza zostanie zwrócone to, co stracił w czasie działań wojennych, pod warunkiem że znajduje się to w rękach jego żołnierzy, swoim zaś żołnierzom zobowiązał się wypłacić rekompensatę „według słusznej oceny”. Pomimo tych gestów, większość „hiszpańskich kohort” po przekroczeniu granicznej rzeki przedostała się, wraz z wodzami, do Grecji i wzięła udział w dalszych walkach.

Kapitulacja Afraniusza i Petrejusza nie zakończyła całkowicie wojny hiszpańskiej. Pozostał jeszcze M. Terencjusz Warron, dowodzący, jak pamiętamy, dwoma legionami stacjonującymi w Hiszpanii Dalszej, którego siły wzrosły dzięki zwerbowaniu trzydziestu kohort jazdy. Warron dysponował również silną flotą zbudowaną na jego polecenie. Nie miał on wprawdzie zamiaru walczyć z Cezarem, ale zamierzał zająć Gades (do którego przeniósł skarb ze świątyni Herkulesa oraz wpływy z kontrybucji nałożonej na ludność cywilną prowincji, a konkretnie na miasta sprzyjające Cezarowi) i utrzymać się w tym mieście aż do rozstrzygnięcia wojny między Cezarem i Pompejuszem w Grecji.

Ale Cezar po raz kolejny zniweczył plany swych przeciwników, uznał bowiem, że zanim opuści Hiszpanię i uda się do Grecji, musi zlikwidować ten ostatni punkt oporu. Tym razem odniósł zwycięstwo dosłownie „nie wyjmując miecza z pochwy”, a jedynie wystosowując do mieszkańców prowincji edykt, w którym wzywał urzędników i wodzów miast Hiszpanii Dalszej, aby stawili się w Kordobie w celu odebrania poleceń

To wystarczyło. Najpierw mieszkańcy Kordoby, a potem Gades i Italiki odmówili wodzowi Pompejusza wstępu do miasta. Opuszczony przez wszystkich Warron, który był niezłym uczonym, lecz

miernym politykiem i żadnym wodzem wysłał do Cezara (z którym zresztą łączyły go niegdyś węzły przyjaźni) list, w którym deklarował chęć poddania się i przekazania mu całej armii i floty.

Obaj wodzowie spotkali się w Kordobie, gdzie na zgromadzeniu dostojników hiszpańskich Cezar anulował wszystkie wydane przez Warrona surowe zarządzenia, zwrócił podane przez niego tytułem kontrybucji pieniądze, a takie zarekwirowane dobra, oraz zwolnił z więzień ludzi podejrzanych o procezariańskie sympatie. Ale samemu Warronowi oczywiście darował wszystkie winy, nie zapomniawszy jednak odebrać od niego raportu ze stanu finansów i przejąć skarb prowincji!

Kapitulacja Warrona oznaczała ostateczny koniec wojny hiszpańskiej, wojny przeciw „armii bez wodza”. Teraz należało pokonać wodza, który na czele ogromnej armii i floty czekał na Cezara w Grecji.

Wracając z Hiszpanii, pod koniec października 49 r. p.n.e. Cezar przybył do Marsylii, aby przyjąć kapitulację miasta. Przyznać trzeba, że Marsylia okazała się nader zdeterminowanym i przez długi czas skutecznym przeciwnikiem Cezara w tej wojnie. Musiała jednak w końcu skapitulować, gdyż nie udzielono jej należytego wsparcia. Wprawdzie po pierwszej klęsce w bitwie morskiej z flotą Brutusa Pompejusz zdecydował się wysłać miastu na pomoc eskadrę 16 okrętów pod dowództwem Lucjusza Nasidiusza, ale była to pomoc dalece niewystarczająca pod względem ilościowym, a i jakościowym również.

W drugiej bitwie morskiej, do której doszło w okolicy Marsylii, połączone floty Marsylii, Domicjusza i Nasidiusza liczące łącznie około 40 okrętów zostały ponownie pokonane przez flotę D. Brutusa, który dysponował obecnie 18 okrętami, gdyż do własnych 12 dołączył 6 zdobytych w pierwszej bitwie pod Marsylią. Mimo przewagi liczbowej przeciwnika Brutus bitwę wygrał, albowiem dysponował lepszymi żołnierzami; Cezar bowiem przed wyruszeniem do Hiszpanii zostawił mu najlepszych przedchorągiewnych wybranych z wszystkich legionów oraz centurionów ochotniczo zgłaszających się do służby na morzu.

Eskadra Nasidiusza nie odegrała w tej bitwie większej roli. Jego

okręty konsekwentnie unikały starć i wycofały się bez żadnych strat w momencie, gdy bitwa jeszcze trwała, a zwycięstwo Brutusa nie było jeszcze przesądzone. Można nawet zaryzykować tezę, że w tej drugiej bitwie morskiej pod Marsylią w rzeczywistości walczyło 18 okrętów Brutusa przeciw 24 okrętom Marsylii i Domicjusza.

Druga klęska na morzu w zasadzie przesądziła o losie miasta, a mimo to marsylczycy stawiali nadal zacięty opór, odpierając ataki legionów Treboniusza, organizując udane kontrataki i „wycieczki”, w trakcie których niszczyli sprzęt, budowle i maszyny oblężnicze. Nie cofali się ponoć nawet przed wiarołomstwem ²².

Ostatecznie jednak, pozostawieni samym sobie, wyniszczeni przez głód i choroby atakujące ich z powodu niewłaściwego pożywienia (z powodu braku żywności żywili się —jak pisze Cezar — starym prosem i zepsutym jęczmieniem), postanowili kapitulować.

Warunki, jakie postawił Marsylii Cezar, były w istocie twarde i bezwzględne. Wprawdzie pozostawił miastu autonomię, ale odebrał mu większość posiadanych terytoriów (pozostawił jedynie macierzyste terytorium, Niceę oraz wyspy Hyeres). Odebrał mu też całą flotę wojenną, broń, sprzęt wojenny i wszystkie pieniądze. Nakazał też rozebranie murów obronnych i pozostawił załogę wojskową w liczbie dwóch legionów. Pozostałe legiony otrzymały rozkaz wymarszu do Italii.

Marsylia skapitulowała, ale nie „odwieczny” wróg – Domicjusz, który dowodząc niewielką flotą trzech okrętów wymknął się z portu. Jego ucieczka została zauważona przez blokujące Marsylię okręty Brutusa, które podjęły pościg. Załogi dwóch okrętów, bojąc się starcia z przeciwnikiem, zawróciły do portu, gdzie ostatecznie wpadły w ręce wroga. Ale okręt, na którym znajdował się Domicjusz, zdołał się wymknąć.

BUNT W PLACENCJI

W czasie pobytu pod Marsylią Cezar otrzymał dwie wiadomości – jedną dobrą, a drugą złą.

Dobra wiadomość nadeszła z Rzymu, gdzie dzięki wysiłkom

pretora Marka Lepidusa ogłoszono ustawę o dyktaturze, mianując zarazem Cezara dyktatorem. To była ważna decyzja, gdyż dawała od dawna upragnioną legitymizację władzy, zdobytą i utrzymywaną dotąd, prawdę mówiąc, jedynie dzięki sile miecza.

Zła natomiast, a nawet bardzo zła nadeszła z Placencji – miasta nad Padem w Galii Cisalpejskiej. W mieście tym zatrzymała się część armii Cezara maszerująca z Hiszpanii i tam też doszło do buntu wszczętego przez żołnierzy IX legionu. Pretekstem do wywołania zaburzeń była obietnica złożona przez Cezara jeszcze w Brundyzjum – wypłacenia wszystkim nagrody w wysokości 5 min, czyli około 2000 sesterców, niezrealizowana do tej pory. Do tego doszły jeszcze pretensje o przedłużanie wojny i stawianie swym żołnierzom zbyt wielkich wymagań, którym, niemłodzi już wiekiem i sterani częstymi wojnami, nie są już w stanie sprostać.

Przy okazji omawiania tego buntu niektórzy autorzy książek poświęconych Cesarowi i jego armii stawiają tezę, że związek łączący Cezara z jego armią w niewielkim jedynie stopniu przypominał układy, jakie istnieją między żołnierzami a ich dowódcą; że w swej istocie był to układ między pracodawcą a pracownikami. Porównują nawet składaną przez żołnierzy przysięgę do umowy o pracę. Niezupełnie odpowiada to prawdzie, choć w istocie każda zbuntowana przeciw państwu armia traci w mniejszym lub większym stopniu więź ze strukturami państwa, co ma oczywiście wpływ na układ stosunków z wodzem, który żołnierzy do buntu skłonił. W takiej sytuacji na wodza, a nie na odpowiednie władze administracyjne spada obowiązek utrzymywania żołnierzy, wypłacania im żołdu, ubierania, dostarczania broni itp. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że armia taka staje się prywatnym przedsiębiorstwem wodza, w tym przypadku Cezara, który zresztą przy każdej okazji podkreślał, że walczy w obronie praw Republiki gwałconych przez rządzącą klikę optymatów. Nie inaczej też w zasadzie postępował Pompejusz (z tą jedynie różnicą, że jego osobista więź z żołnierzami była słabsza niż więź Cezara z jego armią).

Zjawisko takie obserwujemy zresztą we wszystkich armiach zawodowych. Dla żołnierzy tych armii wojna jest interesem, który powinien przynosić im dochody. W pewnym stopniu ich aspiracje

finansowe zaspokajał oczywiście uzgodniony żołd i ewentualne nagrody za dobre wykonywanie obowiązków, za długoletnią służbę itp. W armii Cezara żołd wypłacano kwartalnie. Żołnierz piechoty otrzymywał 225 denarów rocznie, centurion 550 denarów, a jeździec 675. Dysproporcja między zarobkami piechura i jeźdźca wynikała oczywiście z kosztów utrzymania konia, kosztów zbroi itd. Były to więc zupełnie przyzwoite kwoty, ale służby kwestorskie potraçały z nich koszty utrzymania żołnierzy, nakłady na odzież, ekwipunek itp. dostarczane żołnierzom przez intendenturę.

Tym jednak, co naprawdę przynosiło żołnierzom zyski, były nagrody przyznawane przez wodza w związku z różnymi okazjami i łupy zdobywane na wrogu, w zajętych miastach, no i poprzez zwykłą grabież ludności cywilnej na opanowanych terenach (nierzadko zresztą również ludności własnego państwa).

Dopóki legiony walczyły w Galii, Cezar pozwalał żołnierzom bogacić się. Otrzymywali zawsze swoją część łupów zdobywanych w obozach pokonanych armii i w zdobytych miastach. Jeńców, a także ludność cywilną sprzedawano handlarzom niewolników, których karawany towarzyszyły wojsku. W konsekwencji Cezar po podboju Galii stał się bardzo bogatym człowiekiem, a jego żołnierze ludźmi zamożnymi (o ile natychmiast nie stracili zdobyczy).

Po przekroczeniu Rubikonu wszystko się jednak zmieniło. O ile poprzednio Cezar pozwalał żołnierzom na bardzo wiele, o tyle teraz wszelki rabunek i przemoc nie tylko wobec ludności cywilnej, ale nawet żołnierzy przeciwnej armii był surowo zakazany, a ich wódz, tak poprzednio łaskawy i wyrozumiały, obecnie stał się niezwykle rygorystyczny w przestrzeganiu tego zakazu i karał surowo wszelkie jego naruszenia.

Zapewne żołnierze mniej lub bardziej chętnie respektowali te zakazy dopóki działania toczyły się na terenie Italii, mieli jednak nadzieję, że powetują sobie straty w Hiszpanii. Tymczasem Cezar również i tam nie pozwalał nikogo grabić, nawet Marsylia uniknęła normalnego wówczas losu zdobywanych miast i nie została wydana na łup zdobywców.

Nic więc dziwnego, że żołnierze doszli do wniosku, iż wojna hiszpańska okazała się po prostu złym interesem, który nie przyniósł

spodziewanego zysku. To była faktyczna przyczyna buntu! Być może zresztą bunt ten nie wybuchł tak całkiem spontanicznie? Może trochę maczali w tym palce anonimowi agenci Pompejusza? Jeżeli nawet tak było, to tak czy inaczej wykorzystali oni jedynie istniejące nastroje niezadowolenia i zawodu panujące wśród żołnierzy i co najwyżej umiejętnie je podsycili.

Jak było, tak było, w każdym razie bunt się zaczął, a jego przywódcy oświadczyli, że zmuszą Cezara do ustępstw, bo ich obecnie bardzo potrzebuje. Grozili nawet – tak przynajmniej twierdzi Dion Kasjusz, będący w zasadzie jedynym źródłem informacji, dzięki któremu znamy przebieg wydarzeń, bo Cezar o buncie armii nie wspomina ani słowem – przejściem na stronę Pompejusza. Prowodrzy, aby mocniej związać z sobą niezdecydowanych i chwiejnych, a takich, jak wiadomo, jest zawsze najwięcej, poprowadzili ich na rabunek ludności cywilnej tłumacząc, że tylko w taki sposób mogą powetować sobie poniesione straty. Możemy sobie jedynie wyobrazić terror, jaki zapanował wówczas w Placencji i jej okolicach.

Dla Cezara sytuacja była bardzo trudna i kłopotliwa. Z powodów politycznych powinien jak najszybciej udać się do Rzymu. Należało też w spokoju przygotowywać się do ostatecznej rozprawy z Pompejuszem i koncentrować wojska w okolicach Brundyzjum. Mimo to jednak, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, pozostawił tamte sprawy na uboczu i udał się natychmiast do Placencji.

Na miejscu dowiedział się, że buntem kieruje dwunastoosobowy komitet wyłoniony spośród 120 faktycznych prowodrzy. Dowiedział się jednak również, że tylko nieliczne oddziały pozostały mu wierne, ze względu więc na rozmiary buntu rozwiązanie siłowe nie wchodziło w rachubę. Mógł liczyć tylko na umiejętność przemawiania do żołnierzy i na wpływ, który zawsze na nich wywierał. Zwołał więc wszystkich żołnierzy stacjonujących w Placencji i stojąc na otoczonej strażą przyboczną mównicy wygłosił mowę, którą znamy z relacji Diona Kasjusza. Jest ona zbyt obszerna, aby ją przytaczać, ważne jest jednak to, że jak zwykle udało mu się wywrzeć wpływ na żołnierzy i skłonić ich do posłuszeństwa, mimo że zapowiedział surowe kary dla buntowników.

Według Appiana z Aleksandrii zapowiedział podobno zastoso-

wanie wobec IX legionu „prawa praorców”, czyli skazania na śmierć co dziesiątego wyznaczonego losem żołnierza. Potem, na błagania żołnierzy i oficerów, złagodził nieco stanowisko i zgodził się, aby losowali jedynie przywódcy, a więc tych stu dwudziestu, których listę miał już gotową, ułożoną zapewne w uzgodnieniu z dowódcami i oficerami. Wiele wskazuje na to, że zarówno początkowa surowość, jak i następne złagodzenie kary były zaplanowane z góry, a scena próśb, wahań wodza i jego ostatecznego ustępstwa została umiejętnie odegrana na użytek żołnierzy.

Następnie odbyło się głosowanie, które, jak twierdzi Dion Kasjusz, było również z góry ukartowane. Zapewne ma rację, Cezar tak ważnych spraw nie pozostawiał raczej ślepemu losowi. Podejrzanie to znajduje zresztą potwierdzenie w incydencie, który wydarzył się, gdy ogłoszono nazwiska dwunastu „wyznaczonych przez los”. Wówczas bowiem jeden z wylosowanych zgłosił protest i udowodnił, że w okresie rozruchów nie było go w obozie, nie mógł być więc przywódcą buntu. W tej sytuacji Cezar nakazał go uniewinnić, a skazać na śmierć centuriona, który go zadencjonował.

Uspokojenie buntu w Placencji to kolejny osobisty sukces Cezara, który wykazał wszystkim swym wrogom, że mimo chwilowych trudności armia jest mu posłuszna, wszelkie więc pogłoski szerzone przez wrogów o zdemoralizowaniu jego armii i panujących w niej nastrojach defetyzmu są co najmniej bardzo przesadzone.

KLĘSKA W AFRYCE

W czasie gdy kampania hiszpańska zbliżała się do końca. Gajusz Kurion – dowódca, a równocześnie czołowy polityk obozu Cezara, rozpoczął operację desantową z Sycylii do Afryki, mającą na celu opanowanie tej prowincji.

O Kurionie wspominaliśmy już wielokrotnie, ostatnio z okazji skutecznego i bezkrwawego wyparcia M. Katona z Sycylii. Zachęcony tym sukcesem postanowił zająć również afrykańską prowincję Rzymu, której namiestnikiem z ramienia Pompejusza był Publiusz Attiusz Warus. Najprawdopodobniej operacja ta została podjęta na

polecenie Cezara lub przynajmniej z nim uzgodniona, gdyż odzyskanie Afryki było sprawą ważną, chociażby ze względu na poprawę zaopatrzenia Rzymu. Lekceważąc przeciwnika Kurion wziął ze sobą jedynie dwa legiony i około 500 jeźdźców. Były to nader szczupłe siły, zwłaszcza jeśli się pamięta, że w większości przypadków legiony cezariańskie nie miały pełnych stanów. Być może zresztą Kurion miał rację, jeśli chodzi o Warusa, który rzeczywiście nie był ani wybitnym wodzem, ani też nie dysponował zbyt dużymi siłami, nie wziął jednak pod uwagę faktu, że Warus (a ściślej mówiąc Pompeusz) jest w sojuszu z królem sąsiedniej Numidii Juba. W dodatku Juba był osobistym wrogiem Kuriona, który będąc jeszcze trybunem ludowym, a więc w okresie przed rozpoczęciem wojny domowej, postawił wniosek o zajęcie królestwa Numidii. Można więc było przypuszczać, że tym chętniej udzieli Warusowi pomocy.

Po wylądowaniu w Afryce, w pobliżu Utyki, na terenie dzisiejszego Tunisu, Kurion odniósł drobny sukces w starciu z oddziałem jazdy numidyjskiej, po którym pozwolił – jak twierdzi Appian z Aleksandrii – obwołać się, nieco wbrew prawu i nieco na wyrost, imperatorem.

Później jednak zaczęły się kłopoty. Nieoczekiwanie żołnierze Kuriona zaczęli zapadać na zdrowiu. Dzięki Appianowi z Aleksandrii znamy jej objawy: żołnierzom zaczął pogarszać się wzrok, tak że widzieli wszystko jak przez mgłę, następnie zaczynały się wymioty i drgawki. Appian twierdzi, że był to skutek zatrucia przez przeciwników (a więc chyba z polecenia Warusa?) ujęć wody w pobliżu obozu Kuriona²³. Podobno, zdaniem tego autora, przeciwnicy Kuriona przewidzieli, że kierując się „znaną wszystkim chępliwością rozłoży się obozem koło wałów Scypiona (Gnejusza Korneliusza, pogromcy Hannibala – przyp. R.R.) ze względu na sławę otaczającą wielkie czyny tegoż, zatruli tam wodę”. Gdyby była to prawda, oznaczałoby to, że stosowanie broni biologicznej lub chemicznej nie jest bynajmniej wymysłem naszych czasów. Choroba była jednak o tyle dziwna, że po opuszczeniu tych terenów jej objawy ustąpiły.

Warus założył swój obóz w doskonałym miejscu, gdyż z jednej strony osłaniały go mury Utyki, a z drugiej równie potężne mury

teatru stojącego pod miastem. Być może pod wrażeniem obronności tego miejsca, może też z powodu niedawno przebytej choroby, a na pewno pod wpływem propagandy agentów Warusa, w wojsku Kuriona rozpoczął się ferment (warto też zwrócić uwagę, że z Kurionem wyruszyły do Afryki kohorty, które pod Korfinium opuściły Pompejusza i przeszły na stronę Cezara). Aby przeciwdziałać defetystycznym nastrojom w armii i ewentualnej dezercji, Kurion wzorem wszystkich wodzów rzymskich wygłosił przemowę do żołnierzy (poinformował ich między innymi oficjalnie o pokonaniu przez Cezara dwóch armii Pompejusza w Hiszpanii, co niewątpliwie wywarło na nich ogromne wrażenie), a następnego dnia wyprowadził swych żołnierzy i ustawił w szyku bojowym w kotlinie między obozem swoim a Warusa. Ten chyba nieco lekkomyślnie (a może licząc na to, że pod wpływem propagandy przynajmniej część żołnierzy Kuriona przejdzie na jego stronę?) przyjął wyzwanie i stoczył bitwę, którą zdecydowanie przegrał. Zginęło w niej podobno sześćuset jego żołnierzy, a tysiąc było rannych. Po stronie Kuriona podobno tylko jeden, a mianowicie centurion nazwiskiem Fabiusz, który próbował zabić samego Warusa i został rozsiekany przez jego straż przyboczną. Dysproporcja doprawdy zastanawiająca! Z rozpędu, ścigając uciekającego w popłochu przeciwnika, żołnierze Kuriona podobno byli bliscy zdobycia również obozu Warusa, zabrakło jednak jakiegokolwiek sprzętu niezbędnego do sforsowania umocnień.

Teraz sytuacja zmieniła się radykalnie. Odniesiony sukces scementował armię Kuriona, a w wojsku Warusa pojawiły się tendencje do kapitulacji. W tej sytuacji Warus postanowił opuścić swój obóz i schronić się w murach Utyki, co zresztą też nie oznaczało poprawy jego sytuacji, gdyż wielu mieszkańców miasta sprzyjało Cesarowi, a wielu niezdecydowanych przeraziła poniesiona przez Warusa klęska.

Aby rozwinąć osiągnięty sukces, Kurion następnego dnia postanowił rozpocząć oblężenie Utyki i nakazał wojsku otoczyć je wałem. Jego zamiary pokrzyżowała jednakże informacja o zbliżaniu się Juby z silną armią. W tej sytuacji prace oblężnicze zostały przerwane, a wojsko wycofało się do poprzedniego obozu. W obozie

tym Kurion zamierzał przetrwać ewentualne oblężenie aż do nadejścia z Sycylii następnych dwóch legionów, po które posłał, widząc, że sytuacja w Afryce się komplikuje.

Być może kampania afrykańska zakończyłaby się inaczej, gdyby nie następna informacja przyniesiona do obozu Kuriona przez mieszkańców Utyki. Wynikało z niej, że król Numidii pozostał w swym państwie ze względu na sąsiedzki zatarg, a na pomoc Warusowi przybył jedynie jego wódz Saburra z dość skromnymi siłami. Kurion uwierzył w tę informację i zdecydował się na stoczenie decydującej bitwy.

Aby zorientować się w liczbie i jakości wojska prowadzonego przez Saburrę, wysłał oddziały konnicy nad rzekę Bagrałę, gdzie obozowali Numidyjczycy. W nocy jazda Kuriona zaatakowała śpiących i słabo ubezpieczonych Numidyjczyków. Niespodziewany atak spowodował wiele strat w obozie przeciwnika. Ujęto też jeńców, którzy pytani o to, kto dowodzi w obozie nad Bagrałą, odpowiedzieli zgodnie z prawdą, że Saburra. O króla Jubę wcale ich nie pytano, co należy uznać za podstawowy błąd Kuriona, nic więc o nim nie wspominali.

Tymczasem oddziały Saburry stanowiły jedynie straż przednią głównej armii dowodzonej przez króla. Juba na wiadomość o nocnym ataku wzmocnił oddział Saburry dwoma tysiącami jazdy galijskiej i hiszpańskiej, stanowiącej jego straż przyboczną oraz oddziałem piechoty. Sam zaś na czele sił głównych, w skład których wchodziło sześćdziesiąt słońi bojowych, czekał na rozwój wypadków w obozie oddalonym o około osiem kilometrów od obozu Saburry. Dopiero później, gdy już rozpoczęła się bitwa, zaczął zbliżać się powoli do swej straży przedniej, w miarę konieczności zasilając ją posiłkami.

Bitwa została stoczona na terenie obszernej kotliny. Wojska piesze Kuriona, aczkolwiek na pewno bardzo zmęczone długim marszem w upalne popołudnie (Kurion z nieznanых przyczyn zdecydował się na opuszczenie swego obozu dopiero o godzinie trzeciej po południu), górowały znacznie swą siłą bojową nad piechotą przeciwnika. Gorzej było z jazdą, Appian z Aleksandrii twierdzi, że tylko 200 jezdnych dotarło z Kurionem na pole bitwy. Reszta zmę-

czona nocnym wypadem i walką pozostała z tyłu i ostatecznie powróciła do obozu.

Saburra okazał się wodzem rozsądnym i przewidującym. Unikał starć piechoty i atakował jazdą, która dość szybko poradziła sobie ze zmęczoną i nieliczną jazdą rzymską. To był początek końca Kuriona i jego armii. Zmęczeni, spragnieni legionieści, otoczeni oddziałami lotnej konnicy numidyjskiej, galijskiej i hiszpańskiej nie byli w stanie stawiać skutecznego oporu. Kohorty, które próbowały kontratakować, były otaczane i bezlitośnie wycinane.

W tej beznadziejnej sytuacji Kurion wydał rozkaz legionom zaatakowania – jak pisze Cezar – ławą, aby wyrwać się z kręgu otaczającej go jazdy, a następnie zająć pobliskie wzgórze i tam podjąć dalszą obronę. Plan był rozsądny, nie powiódł się jednak, gdyż Rzymianie zostali uprzedzeni przez numidyjską jazdę. To był już w zasadzie koniec bitwy. Kurion, który nie skorzystał z rady dowodzącego konnicą Gnejusza Domicjusza, aby uciec z bitwy (Appian twierdzi, że wodza chciał ratować Azyniusz Polion), zginął na polu bitwy. Jego głowę, podobnie jak ongi głowę Krassusa, odcięto i zanesiono królowi. Razem z wodzem zginęła cała piechota legionowa. Ocalała jedynie garstka jeźdźców, którym udało się powrócić do obozu.

Dowodzący pozostałymi w obozie 5 kohortami kwestor Marcjusz Rufus podjął decyzję powrotu na Sycylię i wydał rozkaz swej flocie, aby w nocy odpłynęła do brzegu. Jednakże strach przed nadejściem Juby i Numidyjczyków był tak wielki, że większa część statków wbrew rozkazowi powróciła na Sycylię, tylko nieliczne wykonały rozkaz i wysłały łodzie w celu zabrania żołnierzy. Znaczna ich część jednak zatonąła pod nadmiernym ciężarem tłoczących się bezładnie uciekinierów. Tylko nielicznym udało się dopłynąć do czekających statków i powrócić na Sycylię.

Według relacji Appiana, sytuacja wyglądała nieco inaczej. Twierdzi on mianowicie, że cała rzymska flota wojenna pod dowództwem Flamma odpłynęła na Sycylię. W tej sytuacji Azyniusz Pollion popłynął łódką do stojących na redzie statków handlowych z prośbą o przetransportowanie oddziału na Sycylię. Część kupców zgodziła się i odpłynęła nocą do brzegu. Niektóre statki

zatonęły jednak pod ciężarem stłoczonych i bezładnie ewakuujących się żołnierzy. Jednakże nawet nie wszyscy ci, którzy zdołali wejść na pokład i odpłynąć, uratowali się, gdyż, podobno, wielu z nich załogi statków ograbiły z posiadanych pieniędzy i straciły po prostu do morza. Jedna i druga relacja potwierdza jednak tchórzliwość rzymskiej floty wojennej, a także ogromną panikę i brak jakiegokolwiek organizacji w obozie Rufusa, która spowodowała straty przy ewakuacji.

Ci, którzy pozostali na lądzie, poddali się Warusowi. Nie uchroniło ich to jednak od śmierci, gdyż następnego dnia Juba, nie zważając na Warusa i jego obietnice, a także prośby, rozkazał ich pojmać. Część została stracona na miejscu, a tylko niewielu zabrał ze sobą do Numidii.

Kampania afrykańska ujawniła wszystkie wady Kuriona – nadmierną wiarę w swoje zdolności i talenty, wynikające stąd niedocenywanie przeciwników, a przede wszystkim nadmierną ambicję, która skłaniała go do cichej rywalizacji z Cezarem, któremu jednak pod żadnym względem nie dorównywał. Zapewne powodowany właśnie ambicją, pod wpływem informacji o sukcesach hiszpańskich Cezara, podjął on pochopną i lekkomyślną decyzję ataku na nierozpoznanego przeciwnika, która w konsekwencji spowodowała zagładę wojska i jego śmierć.

FAZA III – KAMPANIA W GRECJI

PRZEPRAWA PRZEZ ADRIATYK

Jeżeli rzeczywiście Cezar był autorem powiedzenia, że Pompejusz jest wodzem bez wojska, to po przybyciu 22 grudnia 49 r., po jedenastodniowym pobycie w Rzymie, do Brundyzjum, powinien radykalnie zmienić zdanie. Pompejusz bowiem nie zmarnował czasu i wówczas, gdy wojna toczyła się na innych frontach, zgromadził w Grecji niebagatelne siły. W relacjach różnych autorów są wprawdzie różnice co do liczebności jego armii, można jednak przyjąć, że w grudniu 49 r. p.n.e. Pompejusz dysponował wojskiem składającym się z: dziewięciu legionów, które miały pełne składy, a więc łącznie liczyły zapewne około 45 tysięcy piechoty, 7000 jazdy, a także sporej liczby wojsk najemnych i sprzymierzonych, w tym 3000 łuczników z Krety, Sparty i Kontu, a także 1200 procarzy, zgrupowanych w dwóch kohortach po 600 żołnierzy w każdej. Mógł też liczyć na wsparcie dwóch legionów z Syrii, którymi dowodził Scypion.

Armia lądowa Pompejusza była też znakomicie wyposażona we wszelkiego rodzaju broń, amunicję i sprzęt. Dysponowała również poważnymi zapasami żywności, które ten wódz, niewyróżniający się energią w prowadzeniu działań, zapobiegliwie gromadził przez wiele miesięcy. Jego główną bazą zaopatrzeniową było Dyrrachium na wybrzeżu Adriatyku, ale wiele magazynów znajdowało się również w innych miastach nadbrzeżnych, między innymi w Orikum i Apollonii.

Pompejusz dysponował też ogromną flotą liczącą ogółem ponad

500 jednostek (niektórzy autorzy twierdzą nawet, że składała się ona z około 600 jednostek), w tym sto obsadzonych rzymskimi żołnierzami. Reszta to były okręty nadesłane przez Egipcjan, Syryjczyków, Rodyjczyków, miasta Małej Azji itd. Flota była podzielona na pięć eskadr, nad którymi ogólne dowództwo sprawował Marek Bibulus, ongi sprawujący konsulat wspólnie z Cezarem, kolejny jego zacięty wróg i polityczny, i osobisty.

Sile tej Cezar mógł przeciwstawić doprawdy niewiele i prawdę mówiąc to raczej jego można by nazwać wodzem bez wojska. Po przybyciu do Brundyzjum zastał na miejscu jedynie pięć legionów o stanach niewiele wyższych niż 2000 żołnierzy, a więc łącznie liczących zapewne nie więcej jak 11–12 tysięcy osób. W dodatku byli to ludzie bardzo zmęczeni marszami i trudami przebytych kampanii. Wśród nich znajdowało się wielu chorych, narzekających na nagłą zmianę klimatu, na zimno i niewygody. Na pewno więc nie było w nich entuzjazmu w stosunku do mającej rozpocząć się nowej wojny.

Plutarch twierdzi, że spiesząc do Brundyzjum Cezar miał wiele oddziałów piechoty, które po prostu wlokły się noga za nogą. To zapewne charakterystyczna dla starożytnych pisarzy *licentia poetica*, gdyż ten tak umiemy wpłynąć na swoich żołnierzy wódz spowodowałby niewątpliwie przyspieszenie marszu tych oddziałów, ale prawdą jest, że koncentracja wojsk w Brundyzjum postępowała bardzo opieszale. Oprócz piechoty miał jeszcze Cezar do dyspozycji oddział jazdy liczący około sześciuset konnych, z tego pięciuset, zdaniem Plutarcha, towarzyszyło mu w drodze z Rzymu do Brundyzjum i była to elita jego jazdy.

Armii tej brakowało wszystkiego – koni, żywności, amunicji, sprzętu bojowego, a co najważniejsze – floty, która liczyła raptem około sto statków transportowych osłanianych przez eskadrę okrętów wojennych liczącą jedynie dwanaście jednostek, z tego cztery o krytych pokładach.

Również porównanie wartości bojowej obu armii nie wypadło, wbrew opinii wielu autorów, jednoznacznie na korzyść armii Cezara. To prawda, że armia Pompejusza składała się w większości z żołnierzy nowozaciężnych, „nieostrzelanych”, natomiast żołnierze

Cezara to „stare wojsko” mające za sobą wiele kampanii wojennych i ogromne doświadczenie bojowe zdobyte w tylu bitwach, że zapewne wielu z nich nie było w stanie wymienić wszystkich.

Ale to, co w jednych okolicznościach jest zaletą, w innych może stać się wadą. Żołnierze Cezara, ta najlepsza wówczas na świecie piechota (być może nawet „armia wszech czasów”), mieli już dość wojen. Chcieli po prostu odpocząć. Wielu z nich wzbogaciło się na łupach i nagrodach i marzyło o urządzeniu sobie wygodnego, cywilnego życia. Z tym samym problemem będzie się po wielu wiekach borykał Napoleon, dysponujący w swoich czasach najlepszą na świecie armią, której dowódcy i żołnierze mieli w pewnym momencie dość wojen. Cezar miał jednak większy wpływ na swoich żołnierzy i potrafił dawać sobie radę z ich nastrojami. W przypadku Napoleona to „zmęczenie materiału” było jedną z przyczyn ostatecznej jego klęski, w przypadku Cezara – nie.

„Młode wojsko” Pompejusza było zdrowe i wypoczęte, dobrze odżywione i zupełnie niezłe wyćwiczone. Trzeba przyznać, że Pompejusz bardzo dbał o szkolenie swej armii. Appian pisze w swej *Historii rzymskiej*, że nieustannie organizował ćwiczenia „biorąc osobiście udział w biegach i ćwiczeniach konnych, nie uchylając się przed żadnym trudem ponad swój wiek nawet. Stąd jednał sobie szybko życzliwość”.

Ale szkolenie nie zastąpi udziału w bitwach, a życzliwość, a nawet podziw zdobyty na manewrach to nie to samo, co więź zdobyta na polach bitew, utrwalona wspólnie przeżyтыми niebezpieczeństwami, klęskami i euforią zwycięstw. Nic nie potrafi zastąpić wspólnoty z wodzem, która rodzi się w czasie nocy wspólnie spędzonych w marszu lub przespanych na gołej ziemi i głodu, który jednakowo dokuczał wszystkim – żołnierzom, oficerom i ich wodzowi. Jego żołnierze pamiętali też doskonale, że w najtrudniejszych chwilach ich wódz nie chował się za ich plecy, lecz walczył wraz z nimi, w pierwszej linii.

Cezar przemawiając do swych oddziałów mógł odwołać się do tych wspomnień, w chwilach klęski mógł przypomnieć swym żołnierzom, że wspólnie przeżyli już wiele klęsk, które jednak pod jego dowództwem zamienili ostatecznie w zwycięstwo. Pompejusz do

takich wspomnień odwołać się nie mógł, dlatego też za Cezara gotowych było umierać wielu, za Pompejusza nikt.

Mimo wszelkich zastrzeżeń, należy stwierdzić, że armia Cezara przedstawiała w grudniu 49 r. i później w trakcie kampanii greckiej, wyższą wartość bojową niż armia Pompejusza. Cezar też był lepszym wodzem (o czym już wspominaliśmy), gdyż to on w trakcie całej wojny domowej narzucał przeciwnikowi swoją inicjatywę. Pompejusz jedynie się bronił. A taktyka defensywna, nawet najlepiej realizowana, rzadko kiedy prowadzi do ostatecznego sukcesu.

Po przybyciu do Brundyzjum Cezar, zdaniem wielu autorów, próbował uporać się z problemem zaopatrzenia armii, później jednak, gdy stwierdził, że jest to niewykonalne zadanie, zdecydował w przebłysku genialnej intuicji na improwizowany plan natychmiastowego przeniesienia wojny na teren Grecji i zdobycia wszystkiego, czego mu brakowało, na przeciwniku.

To chyba nie do końca prawdziwa teza. Być może Cezar po zorientowaniu się w sytuacji starał się, w miarę swych możliwości, uzupełnić jakieś podstawowe braki, musiałyby być jednak bardzo naiwnym człowiekiem (a tego w żadnym razie zarzucić mu nie można), gdyby wierzył, że uda mu się dokonać tego w ciągu kilku lub kilkunastu dni w oparciu o zasoby miasta i jego bliskich okolic. A na sprowadzenie czegokolwiek z dalszych okolic po prostu nie miał czasu, gdyż przy ówczesnych możliwościach komunikacyjnych trzeba by na to nie dni a tygodni, a nawet miesięcy.

Zwolennicy tej tezy nie próbują zresztą odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Cezar nie zadbał wcześniej o należyte zaopatrzenie swej armii? Dlaczego nie skoncentrował w Brundyzjum większej liczby legionów, a także liczniejszej konnicy? Przecież mógł wydać stosowne rozkazy jeszcze w Placencji, a nawet później, w Rzymie! Nawet zakładając wspomnianą już opieszałość w wykonywaniu rozkazów, sytuacja wyglądałaby o wiele lepiej.

Odpowiedź na to pytanie jest prosta – Cezar nie uczynił tego z powodu braku odpowiedniej liczby statków transportowych, które by to wszystko przewiozły do Grecji! W Brundyzjum, jak pamiętamy, udało się z największym trudem zgromadzić około 100 takich jednostek, na których, jak praktyka wykazała, mogło zmieścić się

jedynie 15 000 piechoty i 600 jezdnych, i to tylko dlatego, że udało się Cezarowi przekonać żołnierzy, aby prywatne bagaże pozostawili w Brundyzjum! Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa floty wojennej, gdyż statki transportowe wiozące armię mogła osłaniać jedynie eskadra 12 okrętów wojennych! Każde więc zetknięcie się z flotą przeciwnika patrolującą wybrzeże Grecji musiało skończyć się zupełną, nieodwołalną klęską.

O wszystkim więc decydowała przewaga floty Pompejusza, który zdołał w ciągu roku 49 ściągnąć i przejąć pod swoją komendę większość tego, co pływało po Morzu Śródziemnym. Aby temu zaradzić, Cezar musiałby nakazać budowę nowych jednostek pływających. A było to zadanie pracochłonne, a także czasochłonne (wątpliwym przypomnijmy, że budowa 12 okrętów, dzięki którym D. Brutus pokonał Domicjusza i marsylczyków, trwała 30 dni, i że był to swoisty rekord tamtych czasów). Było to również przedsięwzięcie bardzo kosztowne, a Cezarowi nieustannie brakowało pieniędzy.

W tej sytuacji Cezar nie mógł po prostu zabrać z sobą większej liczby wojska i niezbędnego sprzętu. Nie mógł też czekać aż minie zima i morze się uspokoi, gdyż wtedy wszelkie próby przeprawy do Grecji byłyby po prostu samobójstwem, pierwsza lepsza bowiem eskadra Bibulusa rozgromiłaby eskortę jego konwoju i bezkarnie zatopiłaby wszystkie statki transportowe (obok eskadr patrolowych Bibulus miał przy sobie, w porcie na wyspie Korcyra, w swej głównej bazie, 110 okrętów wojennych).

Plan przetransportowania armii w tych warunkach, w burzliwych dniach początku stycznia 48 r., był ryzykancki, wręcz szalony, ale na pewno nie był improwizowany. Przeciwnie, opierał się na zimnej kalkulacji. Cezar, znając swoich przeciwników, a zwłaszcza opieśzalego, pozbawionego wyobraźni Bibulusa, założył, że będą oni pewni, iż postąpi tak, jak w analogicznej sytuacji postąpiliby oni – spokojnie poczeka w Rzymie do nowego roku, obejmie uroczyście funkcję konsula, a następnie bez pośpiechu pociągnie do Brundyzjum, aby być gotowym do przeprawy w pierwszych dniach wiosny, gdy morze już się uspokoi. Dlatego też Bibulus pozwolił załogom swych okrętów zejść na ląd, a rozproszone wzdłuż wybrzeża patrole nie zachowywały zbyt wielkiej czujności, częściej przebywając

w portach niż na morzu. Dlatego też Pompejusz rozdzielił swą armię na mniejsze oddziały i umieścił ją na leżach zimowych.

Tym samym z dwóch przeciwników, którzy mogli decydować o powodzeniu operacji, pozostało tylko morze. Flota Pompejusza chwilowo się nie liczyła! A morze od czasu do czasu się uspokaja, nawet w miesiącach zimowych, zwłaszcza w tym rejonie i tym okresie, kiedy to silne południowe wiatry powodujące burze morskie przeplatane są czasem wiatrami północnymi, dzięki którym morze na krótki czas staje się spokojniejsze.

Plan natychmiastowego przetransportowania armii do Grecji miał jeszcze i ten walor, że powstrzymywał, jak słusznie zauważa Gerard Walter, autor biografii Cezara, kompletną demoralizację żołnierzy. Nie zapominajmy, że byli to w większości niedawni buntownicy z Placencji, którzy wprawdzie dali się uwieść argumentom Cezara, ale tak naprawdę nie zmienili sposobu myślenia. Nadal uważali, że dzieje im się krzywda, i mieli wszystkiego dość. Nadal byli też wśród nich niedawni przywódcy buntu (w Placencji stracono jedynie 12 spośród 120), a wśród nich być może agenci Pompejusza.

Przed wydaniem rozkazu zaokrętowania się armii Cezar jak zwykle wygłosił przemowę, w której jasno wyłuszczył żołnierzom motywy swej decyzji. Nieprzyjaciel niczego się nie spodziewa, należy więc skorzystać z tego. Zostawić na miejscu służbę, zwierzęta juczne, bagaże i ruszyć „po służbę, sprzęt i żywność naszych przeciwników, dopóki zimują pod dachami... póki Pompejusz żywi mniemanie, że i ja spoczywam na leżach zimowych albo zajęty jestem jako konsul urządzaniem pochodów uroczystych i składaniem ofiar”.

Warte uwagi jest to, że w wiele wieków później inny genialny wódz, Napoleon Bonaparte, rozpoczynając karierę naczelnego wodza prawie w identyczny sposób natchnął entuzjazmem swą armię, której również wszystkiego brakowało i która również mogła zdobyć wszystko jedynie na swym przeciwniku. Sposoby oddziaływania na ludzi i reakcje ludzkie nie zmieniają się mimo upływu wieków, a Napoleon bardzo uważnie studiował dzieje Cezara!

Po zakończeniu przemowy, przy ogólnym aplauzie żołnierzy, którzy po raz kolejny uwierzyli swemu wodzowi, oddziały weszły

z ochotą na przygotowane statki. Niestety, już po zaokrętowaniu się legionów niebo się zachmurzyło i zerwał się gwałtowny, niesprzyjający wiatr – tak silny, że statki nie mogły opuścić redy. Nikt jednak nie zszedł na ląd. Pogorszenie się pogody wyszło zresztą Cezarowi na dobre, gdyż w czasie przymusowego postoju na redzie nadeszły jeszcze dwa spóźnione legiony, które udało się umieścić (chyba wręcz „upchać”) na statkach.

W rezultacie konwój odpłynął z Brundyzjum dopiero wieczorem 4 stycznia 48 r., a do wybrzeży Grecji dotarł około południa następnego dnia. Po drodze nie napotkano ani jednego nieprzyjacielskiego okrętu wojennego. Również lądowanie na piaszczystej plaży w pobliżu Palaesta, u stóp gór Akrokeraunion odbyło się bez żadnych przeszkód, mimo że tuż obok w Orikum (obecne Oricho) stacjonowało aż 18 okrętów wojennych Bibulusa pod dowództwem Lukrecjusza Wespillo i Minucjusza Rufusa. Eskadra ta mogła przynajmniej utrudnić wyładowywanie wojska, jeśli nie zupełnie go uniemożliwić, ale w ogóle nie wyszła z portu. Być może jej dowódcy woleli nie ryzykować starcia z o wiele mniej liczną flotą Cezara. Równie jednak prawdopodobne jest, że po prostu niczego nie zauważyli i o niczym nie wiedzieli.

Ostatecznie Cezar wyładował na plaży około 15 tysięcy piechoty i około 600 konnych. Natychmiast też rozkazał całej flocie, a więc statkom transportowym i osłaniającym je okrętom wojennym, powrócić do Brundyzjum dla przetransportowania reszty wojska, gdy tylko zakończy się jego koncentracja. Rozkaz został wypełniony z opóźnieniem i nie wykorzystano z tego powodu pory nocnej. Naraziło to powracające statki na atak Bibulusa, który wreszcie wypłynął z bazy na Korcyrze. Udało mu się zdobyć i spalić, 30 statków handlowych wraz z załogami. Nie był to więc, biorąc pod uwagę dysproporcję sił, oszałamiający sukces, tym niemniej możliwości transportowe armii Cezara znacznie się zmniejszyły.

Mimo to jednak można stwierdzić, że nad wyraz ryzykowna operacja desantowa powiodła się w pełni, zupełnie bez strat, jeśli chodzi o transportowane oddziały wojska. Fakt, że ogromna flota pompejańska nie wykorzystwała sytuacji i nie zniszczyła w praktyce bezbronny konwoju Cezara, co oznaczałoby zakończenie wojny

domowej, obciąża bezpośrednio głównodowodzącego tej floty M. Bibulusa, ale przynajmniej w równej mierze odpowiedzialność za ten błąd spada na Pompejusza.

Bibulus był admirałem z przypadku, ale Pompejusz uważał siebie i był powszechnie uważany za wybitnego, niepokonanego wodza, powinien więc znać i stosować w praktyce starą jak historia wojen zasadę, że batalie wygrywa ten, kto potrafi przewidzieć postępowanie i plany przeciwnika oraz odpowiednio im przeciwdziałać. A przecież zarówno Pompejusz, jak i Bibulus znali Cezara doskonale, mogli więc bez trudu odgadnąć, że w kryzysowej sytuacji zachowa się niekonwencjonalnie i ryzykownie.

A ponadto Pompejusz jako głównodowodzący ponosił odpowiedzialność za dobór współpracowników i za ich błędy.

DYRRACHIUM

Po wylądowaniu pod Palaeste Cezar natychmiast przystąpił do realizacji zapowiedzianego żołnierzom scenariusza – ruszał mianowicie na Orikum, najbliższe miasto będące jedną z baz Pompejusza. Jego dowódcą był Maniliusz L. Torkwatus, który początkowo zamierzał bronić miasta. Zamiar był słuszny i niepozbawiony szans powodzenia, gdyż obrońcy mogli liczyć na wsparcie floty składającej się z 18 okrętów wojennych, których bazą był port Orikum. Była to poważna siła, a ponadto samo miasto było dość dobrze zabezpieczone przed atakiem. Do walki jednakże nie doszło, gdyż mieszkańcy miasta na rozkaz komendanta, aby zajęli stanowiska na murach, oświadczyli, że z konsulem rzymskim walczyć nie będą.

To wystarczyło. Obawiając się walki na dwa fronty, przeciw wojsku i mieszkańcom, Torkwatus skapitulował i udał się do obozu, aby oddać Cezarowi klucze do miasta i zaofiarować swoje usługi. Został przyjęty z otwartymi ramionami. Nie stawiała również oporu sąsiednia Apollonia, której komendant po prostu opuścił miasto i uciekł do Pompejusza.

Mając w ręku te dwa nadmorskie porty, Cezar znacznie poprawił swe możliwości operacyjne, nie mówiąc już o zaopatrzeniu, posta-

nowił więc spełnić jeszcze jedno życzenie swych żołnierzy (a także mieszkańców Rzymu, którzy żegnali go chóralnymi okrzykami „Pokój, pokój...”) i wysunął pod adresem Pompejusza kolejną propozycję zakończenia wojny. Pośrednikiem miał być tym razem Wibuliusz Rufus, który po raz trzeci już wpadł w ręce Cezara (pierwszy raz w Korfinium, a drugi w Hiszpanii) i za każdym razem był wypuszczany na wolność. Cezar polecił mu przekazać Pompejuszowi propozycję rozwiązania w ciągu trzech dni obu wojsk, a następnie zwrócić się do senatu i ludu z prośbą o rozstrzygnięcie dzielącego ich sporu i określenie warunków pokoju.

Podobnie jak i poprzednio, Cezar na swe propozycje nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Już po zakończeniu wojny dowiedział się, że Rufus spełnił jednak swe zadanie, ale Pompejusz propozycję zdecydowanie, a nawet z oburzeniem odrzucił.

To, że Pompejusz nie godził się na zawarcie pokoju, można zrozumieć, gdyż nadal mógł być uważany za stronę słabszą, de facto pokonaną, a to nie dawało mu większych szans w rokowaniach. Zastanawia natomiast jego niechęć do jakichkolwiek kontaktów z Cezarem. Przecież od rozpoczęcia rozmów do zawarcia pokoju droga zazwyczaj bywa bardzo daleka i trudna. Natomiast prowadzenie rozmów pozwala wykazać swą dobrą wolę w dążeniu do zakończenia konfliktu, co zawsze, we wszystkich wojnach, jest wysoko cenione. A poza tym można w ten sposób dążyć do odroczenia ostatecznego rozstrzygnięcia, na czym Pompejuszowi bardzo zależało, gdyż obawiał się starcia swoich niedoświadczonych żołnierzy z wiarusami Cezara i chciał ich do tego odpowiednio przygotować.

Gwoli prawdy trzeba jednak wspomnieć o tym, że raz jeden inicjatywa rozmów wyszła z obozu pompejańskiego, a konkretnie ze strony Bibulusa i Skryboniusza Libona. Miało to miejsce po zajęciu Orikum przez Cezara. Powstała wówczas swoista sytuacja patowa – flota Bibulusa zablokowała Orikum i uniemożliwiła Cezarowi jakiegokolwiek kontakt z Brundyzjum. natomiast sieć konnych posterunków lądowych wojsk Cezara uniemożliwiła flocie zaopatrywanie się w wodę pitną, drzewo i inne produkty. Starano się wprowadzić sprowadzać je z wysp i innych portów Grecji, ale dostawy były dalece niewystarczające. Po pewnym czasie sytuacja na morzu stała się

wręcz dramatyczna, Cezar w swych pamiętnikach pisze, że bywały dni kiedy marynarze i żołnierze na statkach pili rosę, która zebrana się na skórach służących do okrywania statków. Jedyńm wyjściem mógł być rozejm i w tej właśnie sprawie przybył na rozmowę Libon (Bibulus mimo wszystko nie zdecydował się na spotkanie z Cezarem), próbując dość niezręcznie maskować rzeczywisty powód rozmów inicjatywą pokojową. Tyle tylko, że każda inicjatywa, aby mogła mieć szansę na realizację, musi w jakiejś mierze służyć interesom obu stron, tymczasem w tym przypadku pompejanie chcieli, aby służyła tylko im.

Cezar na rozmowę się zgodził, sądząc, że jest to odpowiedź na jego propozycję przekazaną za pośrednictwem Rufusa. Wkrótce jednak po rozpoczęciu spotkania zorientował się, że Libonowi w rzeczywistości chodzi jedynie o rozejm, który pozwoli flocie wyjść z trudnego położenia. Wówczas oświadczył swemu rozmówcy, że może zgodzić się na rozejm i pozwolić zaopatrzyć się flocie na lądzie pod warunkiem, że Bibulus odwoła patrole morskie i pozwoli mu na komunikację z Italią. Oczywiście Libon na to nie mógł się zgodzić, wobec czego rozmowy nie przyniosły żadnych rezultatów. Notabene Bibulus swój upór w blokowaniu Orikum przypłacił życiem, gdyż z powodu zimna i trudów nieustannego przebywania na morzu, na ówczesnych, pozbawionych jakichkolwiek wygod statkach, poważnie zachorował i zmarł ²⁴.



Ruchy wojsk Cezara i Pompejusza na terenie Grecji

Po zajęciu Orikum i Apollonii Cezar postanowił zadać Pompejuszowi poważniejszy cios i zająć jego główną bazę zaopatrzeniową w Dyrrachium. Tym razem jednak przeciwnik odgadł jego zamiary i ruszył w tym samym kierunku. Odbył się dramatyczny wyścig obu wojsk, w trakcie którego Pompejusz parł do przodu „dzień z nocą łącząc”. Przebieg tego swoistego maratonu, który odbywał się w bardzo trudnych warunkach, w terenie górzystym i lesistym, nie jest do końca jasny. Chodzi zwłaszcza o trasy przemarszu wojsk. Analizując bowiem relacje autorów piszących o tym wydarzeniu (Appian, Dion, wreszcie sam Cezar) można odnieść wrażenie, że przynajmniej na niektórych odcinkach obie armie poruszały się tymi samymi trasami.

Appian z Aleksandrii przedstawia to następująco: „Ale Pompejusz, który się już o tym dowiedział, podążył tam również (do Dyrrachium – przyp. R.R.) z największym pośpiechem z Macedonii, ścinając po drodze lasy, aby utrudnić pochód Cezarowi, zrywając mosty na rzekach i paląc wszędzie znajdowane środki żywności; i on bowiem uważał za rzecz niezmiernie ważną – i słusznie – zabezpieczenie swoich zapasów. Jeśli więc jedni czy drudzy zobaczyli czasem z daleka tuman pyłu, ogień lub dym, to w przekonaniu, że jest to sprawka przeciwnika, rozpoczęli wyścig o pierwszeństwo jakby na zawodach w biegu. Nie zostawiali sobie nawet chwili czasu ani na jedzenie, ani na sen. Pośpiech był i gonitwa, rozlegały się krzyki wiodących ich przy świetle pochodni, a na skutek tego za każdym razem powstawał hałas wielki i popłoch, jak gdyby się zbliżali nieprzyjaciele”.

Z opisu tego wynika niedwuznacznie, że armia Pompejusza szła przodem, utrudniając pościg nieprzyjacielowi i stosując typową taktykę „spalonej ziemi” ²⁵.

Tym razem sukces odniósł Pompejusz, który pierwszy osiągnął wyznaczony cel, czyli dotarł w pobliże Dyrrachium. Nic dziwnego, jego żołnierze byli znacznie młodszy od cezarian, a ponadto gnał ich nie tylko rozkaz wodza, ale również strach. Łatwo sobie wyobrazić wrażenie, jakie sceneria tego pochodu musiała wyrzeć na tych

młodych i niedoświadczonych żołnierzach. Fakt, że armia Pompejusza szła przodem i wszelkimi środkami starała się utrudnić marsz cezarian, mógł spowodować (i raczej na pewno spowodował) wrażenie, że nie tyle ścigają się z nieprzyjacielem, co panicznie przed nim uciekają.

Nastrój w armii był tak zły ²⁶, że gdy wreszcie wyścig się skończył i oba wojska założyły w okolicy Dyrrachium obozy, Labienus uznał za wskazane złożenie publicznej przysięgi na wierność Pompejuszowi. W jego ślady poszedł cały korpus oficerski i podoficerski, a także zwykli żołnierze.

Obie zmęczone armie założyły ufortyfikowane obozy po obu stronach rzeki Apsus, chroniąc w ten sposób swoje bazy operacyjne – Pompejusz Dyrrachium, a Cezar Apollonię i Orikum. Przez długi czas obie armie nie podejmowały też żadnych działań zaczepnych. Cezar dlatego, że miał zbyt mało wojska i czekał na posiłki z Brundyzjum, a Pompejusz z obawy, aby mimo przewagi liczebnej jego niedoświadczona armia nie uległa w starciu z doświadczonym wojskiem Cezara.

Rzeka Apsus nie należy do szerokich arterii wodnych, nic więc dziwnego, że schodzący na jej brzeg żołnierze obu wojsk mogli swobodnie ze sobą rozmawiać. To jedna z charakterystycznych cech wojen domowych – żołnierze wrogich obozów mówią tym samym językiem, nie istnieje więc bariera językowa uniemożliwiająca porozumienie, a ponadto zawsze wśród przeciwników znajdują się dalecy krewni, znajomi lub przynajmniej znajomi znajomych, jest więc podstawa do wzajemnych kontaktów. W trakcie tych rozmów prowadzonych z obu brzegów rzeki Apsus obowiązywał, przestrzegany skrupulatnie przez obie strony, nieformalny rozejm.

Obserwując te spotkania Cezar wpadł na pomysł, aby wykorzystać je do agitacji za pokojem. Dawało mu to szanse na upolowanie dwóch kaczek za jednym strzałem; z jednej strony udawał w ten sposób swoim żołnierzom, że poważnie traktuje ich żądanie jak najszybszego zakończenia wojny, a z drugiej wprowadzał w ten sposób pewien ferment w armii Pompejusza, który, jak pamiętamy, pokoju nie chciał w żadnym wypadku zawierać, a którego żołnierze mieli na ten temat zupełnie inne zdanie...

Rolę „tuby propagandowej” powierzono legatowi P. Watyniuszowi, który rzeczywiście odznaczał się tubalnym głosem, a poza tym miał niekwestionowany dar wymowy. Watyniusz oczywiście ubolewał, że propozycje pokojowe Cezara zostały zupełnie zlekceważone, wołał: „Czy nie godzi się obywatelom do obywateli wysłać delegacji? Zwłaszcza, że idzie o to, by obywatele przestali bić się z obywatelami” ²⁷.

Początkowo na przemowy te Watyniuszowi nie odpowiadano, kiedy jednak w dowództwie armii pompejańskiej zauważono, że żołnierze słuchają jego wywodów chętnie, z sympatią i zrozumieniem, postanowiono temu przeciwdziałać. Któregoś dnia na wywody Watyniusza odpowiadało wreszcie oficjalnie, że następnego dnia na spotkanie przyjdzie Aulus Terencjusz Warron, aby w imieniu dowództwa armii pompejańskiej rozważyć sprawę wymiany parlamentariuszy.

Ku zdumieniu cezarian nazajutrz pojawił się jednak nie Warron, a Labienus. Rozpoczęła się rozmowa z Watyniuszem, początkowo prowadzona w spokojnym, przyjacielskim tonie, wkrótce jednak przerwana gradem pocisków, które padły nie wiadomo skąd.

Był to niewątpliwie akt prowokacji ze strony Pompejusza, gdyż pociski były wyraźnie wymierzone w stronę Watyniusza, który tylko dlatego uszedł z życiem, że towarzyszący mu żołnierze osłonili go tarczami. Było zresztą wśród nich kilku rannych. Na koniec Labienus wypowiedział znamienne zdanie: „Przestańcie nareszcie mówić o zgodzie, albowiem nie ma dla nas pokoju, póki nie przyniosą nam głowy Cezara”. Trudno o wyraźniejszą deklarację! Po tym incydencie obydwie strony nie podejmowały już żadnych prób nawiązania kontaktów. Przynajmniej oficjalnie.

Oba wojska tkwiły na zajętych pozycjach przez około dwa miesiące, czekając na rozwój sytuacji. Pompejusz szkolił swoje wojsko i wysyłał listy do dowódców eskadr (po śmierci Bibulusa stanowisko głównodowodzącego floty pozostało nieobsadzone), nakazując im wzmożoną czujność, a Cezar czekał na nadejście posiłków. Dla jego niecierplivej natury bierne oczekiwanie stawało się coraz trudniejsze, zwłaszcza że mijała zima i można było spodziewać się, że wraz z nadejściem wiosny morze uspokoi się i przeprawa stanie się

w praktyce niemożliwa.

Gdy więc zaczął zbliżać się koniec lutego, Cezar wysłał do Brundyzjum rozkaz podjęcia natychmiastowej próby wyjścia z portu i przedarcia się (a może raczej prześlizgnięcia się?) przez blokadę. Nie odniósł on jednak rezultatu i Cezar zaczął zadawać sobie pytania, czy to tylko opieszałość? A może zdrada? A jeśli tak, to kto zdradził – dowódcy czy żołnierze? A może i jedni, i drudzy?

Aby odzyskać wpływ na sytuację i naocznie przekonać się o tym, co dzieje się w Brundyzjum, Cezar podobno podjął iście szaleńczy plan przedostania się do Brundyzjum na małym, lekkim statku, właściwie łodzi. Na członków załogi wybrał trzech zaufanych niewolników, którzy znaleźli odpowiedni statek i najlepszego w okolicy sternika. Wytłumaczyli mu, że wieczorem przyjdzie do niego posłaniec Cezara, który pragnie przedostać się do Italii. O umówionej porze Cezar, ubrany dla niepoznaki bardzo skromnie, wsiadł do łodzi.

Pogoda była niekorzystna, wiał silny wiatr, można nawet powiedzieć, że na morzu panował sztorm. Warunki do przedostania się przez sieć patrolowych statków floty Pompejusza były więc dogodne, ale ryzyko wypłynięcia na morze dla małego, lekkiego statku z niewielką załogą bardzo duże. Sternik początkowo wahał się, wreszcie jednak za namową niewolników, zapewne też zachęcony wizją dobrego zarobku, zdecydował się podjąć próbę. Rzucił cumy i popłynął w dół rzeki w stronę morza, mimo że statek pchany wiosłami tylko trzech niewolników z trudem płynął pod wiatr. U ujścia rzeki sytuacja uległa jednak pogorszeniu, gnane wiatrem fale morskie uderzały mocno w kruchą łupinę i spychały ją z powrotem w koryto rzeki. Przerażony sternik postanowił zawrócić, wówczas skromnie odziany nieznajomy stanął przed nim i powiedział spokojnie: „Czego się obawiasz? Wieziesz Cezara!”. Przekonał sternika, który ponowił swe wysiłki i łódź pchana uderzeniami wiosł załogi popłynęła dalej. Na morzu wiatr zepchnął jednak łódkę na brzeg i sternik ponownie zaczął błagać o zgodę na powrót. Na domiar złego kończyła się już noc i niebo zaczęło szarzeć. W tej sytuacji kontynuowanie próby przedostania się przez blokadę graniczyłoby już z samobójstwem i Cezar „przeklinając los” wydał roz-

kaz powrotu do obozu.

Czy historia jest prawdziwa? Cezar w swych pamiętnikach o niej nie wspomina, natomiast szeroko relacjonują ją inni autorzy starożytni – Appian, Plutarch, Dion Kasjusz i poeta Lukan, zapewne więc wydarzenie takie miało miejsce. To zresztą mało istotne. Ważna i charakterystyczna w tej historii jest tylko reakcja Cezara na strach i wahania sternika – wiesz Cezara, nie powinieneś więc niczego się obawiać. Ileż w tym pewności siebie, wiary we własną wielkość i przeznaczenie, no i we własne szczęście! Pewności, że dopóki los się nie wypełni, jemu, Cezarowi, nic złego stać się nie może. Człowiek tak pewny swej misji nie może przegrać nawet w najtrudniejszych warunkach!

Cezar nie ponowił już próby przedostania się do Brundyzjum. Zamiast niego popłynął oficer Fulwiusz Postumus wioząc ze sobą kilka pism, do Marka Antoniusza, do Aulusa Gabinusza, a gdyby nie zdecydowali się oni wykonać zadania, miał przy sobie jeszcze pismo do Fufiusza Kalenusa, który, aczkolwiek nie był pierwszoplanowym oficerem w korpusie stacjonującym w Brundyzjum, cieszył się zaufaniem Cezara.

Na wszelki też wypadek, podejrzewając zdradę dowódców, Cezar zaopatrzył Postumusa również w posłanie adresowane bezpośrednio do żołnierzy, nakazujące im, by poszli za Postumusem, zaokrętowali się i popłynęli do Grecji.

Podejrzenia Cezara były zupełnie bezpodstawne. Zarówno dowódcy, jak i żołnierze armii w Italii pozostali mu wierni. Plutarch zamieszcza w swych *Żywotach sławnych mężów* taką oto interesującą informację. Twierdzi mianowicie, że ci sami żołnierze, którzy do Brundyzjum wlekli się noga za nogą wyrzekając na swój los, po przybyciu na miejsce, gdy już zorientowali się, że Cezar odpłynął bez nich do Grecji „klęli samych siebie, nazywając się zdrajcami swego wodza, klęli swoich dowódców, że nie przyśpieszyli marszu”²⁸. Nawet więc gdyby w Antoniuszu lub Gabiniuszu powstała myśl o zdradzie, to tak zakochane w swym wodzu wojsko nie dopuściłoby do jej realizacji.

Nic jednak nie wskazuje na to, aby taki zamiar powstał w ich głowach, natomiast odwlekali oni przeprowadzenie operacji desan-

towej, gdyż po prostu obawiali się związanych z nią trudności. Postawiona bowiem w stan pogotowia flota Pompejusza szczelnie blokowała wszystkie porty greckie.

Później sytuacja stała się jeszcze trudniejsza, prawdę mówiąc wręcz beznadziejna, gdyż Libon, dowódca jednej z eskadr, wpadł na pomysł blokady samego Brundyzjum. Dysponując flotą liczącą 50 okrętów, nieoczekiwanie pojawił się w pobliżu portu i zaskoczył kilka transportowców Antoniusza, które beztróska stały na redzie. Część z nich spalił, a jeden ze zbożem zabrał. Następnie zajął niebronioną wyspę leżącą na wprost portu w Brundyzjum i zamienił ją w swą bazę. Pozostawienie tak ważnego punktu bez załogi i umocnień nie wystawia najlepszego świadectwa dowódcom wojsk Cezara w Italii, Antoniuszowi i Gabiniuszowi.

Posiadając silną bazę Libon mógł teraz kontrolować wszystkie poczynania cezarian, a nawet dokonywać desantów na wybrzeże (Cezar wspomina o jednym, w trakcie którego łucznicy i piechota Libona zlikwidowali nadbrzeżny posterunek kawalerii Antoniusza). Doszedł więc do wniosku, że jest zupełnym panem sytuacji i wysłał ponoć list do Pompejusza, w którym z przesadną pewnością siebie oświadczył, że jest w stanie wraz ze swoją flotą uniemożliwić dotarcie posiłków dla Cezara, pozostałe eskadry mogą więc zaprzestać patrolowania wybrzeży. Poradził nawet Pompejuszowi, aby skorzystał z okazji i okręty pozostałych eskadr kazał wyciągnąć na brzeg i oddać do naprawy.

Wydaje się, że Libon, udzielając tej rady Pompejuszowi nie wziął zupełnie pod uwagę własnych doświadczeń, uzyskanych w czasie blokady wspólnie z Bibulusem portu w Orikum, kiedy to ich flota, blokując armię lądową Cezara, sama też została odcięta od lądu i znalazła się w bardzo trudnej sytuacji (tak trudnej, że, jak pamiętamy, on sam i Bibulus podjęli, nieudaną zresztą, robę zawarcia lokalnego rozejmu z Cezarem).

Pod Brundyzjum scenariusz ten powtórzył się w jeszcze bardziej dramatycznej postaci. O ile bowiem pod Orikum flota Bibulusa mogła wysyłać statki transportowe do znajdujących się w jej rękach portów greckich i na okoliczne wyspy i w ten sposób, aczkolwiek w ograniczonym rozmiarze, zaspokajać swe podstawowe potrzeby,

o tyle obecnie Antoniusz po rozstawieniu wzdłuż wybrzeża gęstej sieci konnych posterunków odciął zupełnie Libona od dostępu do wody, drewna, a wreszcie i żywności. A porty i wyspy Grecji były zbyt daleko!

Udało się również Antoniuszowi wciągnąć pewnego swych sił Libona w zasadzkę. Umieścił mianowicie w różnych punktach nadbrzeża 60 odpowiednio przygotowanych i obsadzonych silnymi załogami łodzi ze swych statków, a następnie wystawił „na wabia” na redzie dwa swoje trójrzędowce. Skuszony łatwą zdobyczą Libon wysłał przeciw nim pięć czterorzędowców z poleceniem przechwycenia wrogich okrętów, a gdyby się to nie udało, ich zniszczenia.

Na widok zbliżającej się wrogiej eskadry trójrzędowce zgodnie z rozkazem zaczęły wolno wycofywać się do portu, a przekonani o swej przewadze dowódcy okrętów Libona ruszyli za nimi. Gdy zarówno ścigani, jak i ścigający znaleźli się w porcie, na dany sygnał pojawiły się ukryte dotąd łodzie i zaatakowały nieprzyjaciela. Jeden z czterorzędowców został zdobyty, a pozostałe uciekły.

Porażka ta nie miała oczywiście większego znaczenia militarnego dla potężnej floty Libona, poderwała jednak niewątpliwie jego prestiż, a także zaufanie we własne siły i możliwości. Do tego doszły wspomniane już, coraz to bardziej dokuczliwe trudności w zaopatrzeniu, tak że ostatecznie Libon został zmuszony podjąć decyzję zaprzestania blokady Brundyzjum i opuszczenia swej bazy na wyspie. Ciekawe, czy sprawdził przed tym, czy pozostałe eskadry Pompejusza są na morzu, czy też, zgodnie z jego radą, w dokach?

Po otrzymaniu rozkazu przywiezionego przez Postumiusza obaj dowódcy wojsk Cezara w Brundyzjum postanowili wreszcie opuścić Italię i ruszyć na pomoc swemu wodzowi, tyle tylko że wybrali różne drogi. Gabiniusz po pewnym czasie ruszył ze swym oddziałem okrężną drogą lądową, zamierzając dojść na teren działań poprzez Ilirję, co zresztą skończyło się dla niego tragicznie. Natomiast Antoniusz w nocy załadował na statki cztery legiony (w tym jeden nowozaciężny) oraz 800 jeźdźców i odpłynął z Brundyzjum.

Przeprawa rozpoczęła się pomyślnie. Południowy, silny wiatr doprowadził statki w pobliże Apollonii, gdzie zostały jednak zauważone przez posterunki lądowe, które powiadomiły o tym Koponiu-

sza, dowódcę eskadry stacjonującej w Dyrrachium. Wiosłowe okręty wojenne wyszły natychmiast w morze i podjęły pogoń za flotą Antoniusza, ale były zbyt wolne, aby dogonić płynące z pełnym wiatrem żaglowe statki transportowe.

Gdy już wydawało się, że szczęście będzie sprzyjać do końca Antoniuszowi i jego legionom, nagle los uśmiechnął się do Koponiusza. Wiatr przycichł, żaglowe okręty zaczęły zwalniać, a poruszane wiosłami okręty zbliżyły się na odległość umożliwiającą atak. Antoniusz postanowił stawić opór, choć był pewien, że jego prawie unieruchomione statki handlowe zostaną rozbite ostrymi dziobami okrętów wojennych i chodziło raczej o to, by drogo sprzedać swoje życie. Jego procarze zaczęli ostrzeliwać zbliżające się okręty, których załogi odpowiedziały tym samym.

Gdy już z kolei wydawało się, że tym razem nic nie uratuje Antoniusza i jego floty, nagle nastąpiła kolejna zmiana sytuacji. Znowu powiał silny, korzystny, południowy wiatr. Statki żaglowe nabrały szybkości, odrywając się od ścigających wrogów i w pełnym pędzie minęły Dyrrachium ku wściekłości obserwującego rozwój wydarzeń Pompejusza. Ostatecznie dopłynęły do przystani w Nimfeum, na wybrzeżu dalmatyńskim, na północ od miasta Lissus.

Antoniusz zdecydował się zakotwiczyć w porcie w Nimfeum, mimo że nie był on zbyt bezpieczny, zbudowano go bowiem w ten sposób, że dawał osłonę przed wiatrem południowo-zachodnim, natomiast nie zabezpieczał stojących w niej statków przed podmuchami wiatru południowego. Antoniusz słusznie jednak wybrał mniejsze zło i wolał narazić się na ataki wiatru niż nieprzyjacielskiej floty.

Nieoczekiwanie jednak Posejdon i bogowie wiatrów znowu zmienili zdanie i ostatecznie postanowili pomóc Cezarowi (nic dziwnego, ostatecznie pełnił on funkcję naczelnego kapłana w Rzymie), a przy okazji też Antoniuszowi, ledwo bowiem jego statki znalazły się w przystani, wiatr, który od kilku dni wiał z południa, zmienił nieoczekiwanie kierunek i zaczął bardzo silnie wiać z kierunku południowo-zachodniego. Tym samym więc port w Nimfeum stał się bezpieczny dla stojących w nim statków.

Igraszki bogów morza i wiatrów skończyły się natomiast tragicznie dla eskadry rodyjskiej Koponiusza, którą silny, niekorzystny wiatr rzucił na nadbrzeżne skały i doszczętnie rozbił. Część załóg zatonała, część wyłowili żołnierze Cezara, który, wierny przyjętej od początku wojny domowej zasadzie łagodności, odesłał je do domu.

Ostatecznie więc dzień zakończył się klęską Pompejusza, która w poważnym stopniu zaciążyła na dalszym przebiegu wojny. Jego flota dała się ponownie wyprowadzić w pole i przepuściła kolejny transport wrogiej armii na wybrzeże greckie, sama ponosząc przy tym dotkliwe straty. Natomiast Antoniusz nie poniósł w trakcie tej operacji w zasadzie żadnych strat, gdyż komendant miasta Lissus zdołał ująć wprawdzie dwa jego spóźnione statki, ale załoga jednego z nich przedarła się ostatecznie nocą do swoich.

Teraz stosunek sił obu walczących armii zmienił się wyraźnie na korzyść Cezara. Dysponował on obecnie jedenastoma legionami, a więc około 25 000 piechoty, oczywiście jeśli przyjmiemy, że legiony Antoniusza miały podobne, niepełne stany jak te, które w styczniu przybyły do Grecji z Cezarem. Poważnie wzmocniona została też jego jazda, która obecnie liczyła około 1300 kawalerzystów.

Pompejusz próbował jeszcze zmienić sytuację na swoją korzyść i zniszczyć armię Antoniusza, zanim dojdzie do połączenia z Cezarem. Gdy więc dowiedział się po dwóch, trzech dniach, w którym miejscu wybrzeża wylądował Antoniusz, wyszedł w nocy po kryjomu z obozu, aby przeciąć mu drogę i wciągnąć w zasadzkę.

Również Cezar opuścił swój obóz, pragnąc z kolei uprzedzić Pompejusza i wcześniej połączyć się z Antoniuszem. Obie armie rozpoczęły znów wyścig, w którym nagrodą mogło być ostateczne zwycięstwo w wojnie. Jednakże Pompejusz miał znów łatwiejszą sytuację, gdyż musiał przebyć znacznie krótszą drogę, bez trudu więc wyprzedził współzawodnika, zajął dogodną pozycję i nie pozwalając palić ognisk, aby nie zdradzić swej obecności, czekał aż nadejdzie Antoniusz.

Jeśli jednak zaczajonego Pompejusza można porównać do pajaka, to Antoniusz w żadnym wypadku nie chciał być muchą. Od

swych zwiadowców dowiedział się o zasadzce, wstrzymał więc marsz i powiadomił o wszystkim Cezara. Z tą chwilą plan Pompejusza spalił na panewce, a gdy pojawiła się na horyzoncie armia Cezara, to z kolei on znalazł się w opałach, gdyż mógł zostać wzięty w kleszcze przez dwie armie i ostatecznie pokonany. Aby tego uniknąć, pośpiesznie wycofał się i zajął pozycję w okolicy miasta Asparagium.

Po połączeniu się z Antoniuszem, a przed przybyciem pod Asparagium Cezar podjął kontrowersyjną decyzję przerwania części swych legionów do dalszych prowincji. Do Tesalii wysłany został Kasjusz Longinus z XXVII legionem i 200 jeźdźcami. Do Etolii z kolei ruszył Kalwisjusz Sabin na czele pięciu kohort piechoty i niewielkiego oddziału jazdy. Natomiast Domicjusz Kalwin na czele dwóch legionów – XI i XII oraz sporego (jak na możliwości Cezara), bo liczącego 500 jeźdźców oddziału konnicy wysłany został do Macedonii w celu powstrzymania nadciągających z Syrii legionów Scypiona. W konsekwencji, zakładając obóz pod Asparagium w bezpośredniej bliskości Pompejusza, Cezar znów miał przy sobie niecałe siedem legionów i jazdę liczącą nie więcej jak 700 kawalerzystów.

Cezar tłumaczy swe decyzje przede wszystkim koniecznością poszerzenia bazy operacyjnej o nowe prowincje (Tesalia, Etolia i Macedonia), z których przybyły poselstwa ofiarowując mu sojusz, jak również koniecznością poprawy zaopatrzenia swej głównej armii. Oba argumenty, jak się wydaje, jedynie częściowo można uznać za słuszne. To prawda, że zaopatrzenie wojsk Cezara nie przedstawiało się najlepiej, ale też nie groził im głód, albowiem wojsko miało pod dostatkiem mięsa i jarzyn, brakowało natomiast zboża na chleb, ale starano się temu zapobiec, wypiekając jego namiastkę ze zmielonego korzenia chara zmieszanego z mlekiem²⁹. Zresztą wysłanie tych oddziałów tylko w niewielkim stopniu poprawiło zaopatrzenie głównej armii.

Nie do końca również przekonuje argument dotyczący konieczności zajęcia dalszych prowincji. To prawda, że rozszerzenie podstawy działań ma zazwyczaj ważne znaczenie, gdyż czyni ją mniej wrażliwą na uderzenia przeciwnika, w tym jednak konkretnym przy-

padku, przy wyraźnie defensywnej taktyce Pompejusza, również i ten argument nie w pełni uzasadnia tak poważne osłabienie głównej armii.

A może był to ze strony Cezara swoisty blef? Może liczył on na to, że Pompejusz, zachęcony poważną przewagą liczebną swej armii, wyjdzie z za szańców obozowych i zdecyduje się na stoczenie walnej bitwy w polu?

To oczywiście tylko spekulacje, tak czy inaczej jednak, biorąc pod uwagę dalszy rozwój wydarzeń, należy przyznać rację Napoleonowi, który analizując manewry Cezara w tej fazie kampanii greckiej stwierdził, że „ruchy i działania J. Cezara były niezwykle nieostrożne, za co zresztą został on ukarany”. No, ale z kolei Napoleon był mistrzem koncentracji wszystkich sił w wybranym miejscu i zadawania dzięki temu druzgocących uderzeń, nie mógł więc akceptować tak niefrasobliwego i nieusprawiedliwionego koniecznością rozdrabniania sił. W starożytności natomiast obowiązywały nieco inne zasady sztuki wojennej!

Po założeniu obozu pod Asparagium Cezar wyprowadził swe wojska i ustawił je w szyku bojowym, wyzywając Pompejusza do stoczenia walnej bitwy (potwierdza to, być może, w pewnym stopniu, wyrażone powyżej przypuszczenia). Ale Pompejusz nie dał się sprowokować i bitwy nie przyjął, wobec czego Cezar zdecydował się na inne rozwiązanie, a mianowicie przejście spod Asparagium wąską i bardzo niewygodną górską drogą pod Dyrrachium. Dzięki tej operacji zamierzał odciąć Pompejusza od miasta, w którym zgromadził on wszystkie zapasy żywności i cały sprzęt wojenny, lub też zmusić go do zajęcia pozycji w niedogodnym miejscu, ograniczając dzięki temu jego pole manewru.

Początkowo Pompejusz dał się oszukać, gdyż armia Cezara wyruszyła w odwrotnym do Dyrrachium kierunku, w związku z czym pozostał na starym miejscu, czekając na dalszy rozwój wypadków. Dopiero dowiedziawszy się od zwiadowców o faktycznym kierunku marszu cezarian, w wielkim pośpiechu zwinął obóz i również pomaszerował do Dyrrachium (być może Afraniusz, który w podobny sposób dał się oszukać pod Herdą, a obecnie przebywał w obozie Pompejusza, miał w tym momencie uczucie *dejà vu*).

Nastąpił kolejny w tej kampanii wielki wyścig wojsk, w którym znów Pompejusz był w o tyle lepszej sytuacji, że jego armia miała do pokonania krótszy dystans. No i nie zapominajmy, że jego żołnierze byli młodszy i choćby z tego powodu zapewne sprawniejsi fizycznie od steranych wiekiem i trudami poprzednich kampanii weteranów Cezara.

Ale młodość i siła nie zawsze wygrywa w takich zapasach. Ważna jest również determinacja i świadomość celu, jaki się chce osiągnąć. Cezar, dowiedziawszy się, że Pompejusz wyruszył wreszcie z obozu i podąża w tym samym kierunku co on, zaapelował do swych żołnierzy o wykrzesanie z siebie resztek energii i maszerując praktycznie całą noc, zdążył pod Dyrrachium przed Pompejuszem. Gdy jego armia rozłożyła się już opodal murów miasta, przednie straże Pompejusza pojawiły się dopiero na horyzoncie.

Zawiedziony w swych nadziejach i pokonany w wyścigu Pompejusz cofnął się na nadmorską wyżynę Petra i tam założył mocno umocniony obóz. Nie mogąc liczyć na zapasy zgromadzone w magazynach Dyrrachium, polecił flocie, aby przejęła na siebie obowiązek zaopatrywania go drogą morską. Panując niepodważalnie na morzu i mając do dyspozycji zasoby prowincji znajdujących się pod swoją władzą, był więc ciągle w lepszej sytuacji, jeśli chodzi o zaopatrzenie niż Cezar. Nadal jednak obawiał się stoczenia bitwy i chronił swe oddziały za wałami.

Można sądzić, że Pompejusz początkowo liczył na to, że znów obie armie przez dłuższy lub krótszy czas będą obozować obok siebie, pozostając w stałym, zbrojnym pogotowiu, a potem Cezar, zmuszony trudnościami w zaopatrzeniu, odejdzie z tego terenu, dzięki czemu będzie mógł swobodnie korzystać z zapasów zgromadzonych w twierdzy Dyrrachium.

Trudno zapewne doszukiwać się w dotychczasowych działaniach Pompejusza i w sposobie prowadzenia przez niego wojny znamion wielkości, było to raczej zachowanie bardzo ostrożne, bardzo zachowawcze. Nie było ono jednak tak całkiem bez sensu. Bezpośrednie zaplecze obozu Cezara pozbawione było jakichkolwiek zapasów zboża, na dostawy morskie nie mógł liczyć, a konwoje z dalszych okolic mogła skutecznie blokować jazda Pompejusza, górująca zde-

cydowanie, przynajmniej pod względem liczbowym, nad szczupłym oddziałem konnicy Cezara.

W tym miejscu warto wspomnieć, że w działaniach morskich w tych dniach Cezarowi przestało sprzyjać szczęście. Jego niewielka flota wojenna zakotwiczona w porcie Orikum została zaatakowana przez eskadrę statków egipskich dowodzoną przez syna Pompejusza, również Gnejusza. Dowodzący garnizonem miasta (3 kohorty) legat Cezara Manliusz Acyliusz wprowadził okręty na wewnętrzną redę i przycumował je do nadbrzeża, a u wejścia do portu zatopił jeden statek transportowy, do którego przytwierdził drugi. Następnie polecił zbudować na nim wieżę i obsadził ją silnym posterunkiem piechoty. Powstał w ten sposób pływający fort, który miał chronić zakotwiczone w głębi okręty.

Przyznać trzeba, że młodszy Pompejusz wykazał się w tej operacji dużą pomysłowością i energią. Podjął mianowicie udaną próbę odholowania zatopionego statku przy pomocy holownika (ciekawe, dlaczego nie przeciwdziałali temu żołnierze stanowiący załogę pływającego fortu). Dlaczego też, widząc rozwijający się atak floty młodego Pompejusza, nie wzmocniono sił broniących wejścia do portu?

Drugi statek, ten, na którym zbudowano wieżę, został otoczony egipskimi okrętami, na których zbudowano również wieże. Rozpoczął się silny atak na fort, w trakcie którego pozostałe okręty Pompejusza podpłynęły pod mury miasta i zaczęły je ostrzeliwać z katalpult, grożąc przeprowadzeniem bezpośredniego szturm od strony morza. Zasypani gradem pocisków żołnierze Acyliusza broniący wejścia do portu, obawiając się dodatkowo, że zostaną odcięci od miasta, opuścili na łodziach fort i uciekli.

Wprawdzie droga do portu stała się w tym momencie otwarta, Pompejusz jednak nie poprzestał na tym i rozkazał również wyciągnąć na ląd dwa dwurzędowe okręty, umieścił je następnie na walcach i w ten sposób przeciągnął je groblą do wewnętrznej redy. Zaatakowane z dwóch stron, przymocowane do nadbrzeża i opuszczone przez załogi okręty wojenne Cezara zostały zdobyte. Większość z nich spalono, a cztery wcielił do swojej floty zwycięzca.

Kilka dni później G. Pompejusz odniósł kolejny sukces, gdyż

spalił pozostawioną w porcie Lissus flotę transportową Cezara, tę, która przywiozła legiony Antoniusza. Samego miasta nie udało mu się wprawdzie zdobyć, ale klęski, jakie zadał siłom morskim Cezara, były bardzo dotkliwe, jego armia lądowa została bowiem zupełnie odcięta od pozostałych prowincji i pozbawiona jakiegokolwiek wsparcia z zewnątrz (korpus Gabiniusza, jak wiemy, ugrzązł w Iliirii).

Oblężenie Pompejusza

Nadzieje Pompejusza nie spełniły się, gdyż Cezar nie miał zamiaru beczynnie czekać na rozwój wypadków i pozwolić Pompejuszowi na spokojne korzystanie z jego pozycji i sytuacji. Widząc wyraźną niechęć Pompejusza do stoczenia walnej bitwy i zdając sobie sprawę z niedogodności pozycji, na jakiej sam się znalazł, podjął decyzję, która zdumiewała już współczesnych, a i dziś ma wielu krytyków – zdecydował się bowiem na oblężenie Pompejusza w jego obozie w Petrze.

Aby zrozumieć krytyczne stanowisko komentatorów decyzji Cezara, wystarczy dokonać analizy sytuacji, w jakiej znaleźli się obaj przeciwnicy. Pompejusz górował nad swym przeciwnikiem liczbą piechoty (9 legionów o pełnych lub prawie pełnych stanach przeciw 7 o bardzo niskich stanach) i jazdy. Jego armia nie doznała w dotychczasowych działaniach żadnej klęski, żadnego większego niepowodzenia, niczego, co by w poważniejszym stopniu mogło ją osłabić. W dodatku obóz Pompejusza znajdował się w doskonale wybranym miejscu i był znakomicie ufortyfikowany, łatwo było więc go bronić. Dysponował też doskonałym sprzętem bojowym i dużą, a przynajmniej wystarczającą ilością amunicji. Pompejusz miał też zapewniony kontakt ze światem zewnętrznym, gdyż to jego flota panowała niepodzielnie na morzu i mogła zapewnić mu stałe dostawy żywności, nie tylko z odleglejszych portów i wysp, ale również z magazynów w Dyrrachium. Mógł też w sprzyjających warunkach dokonywać operacji lądowo-desantowych.

Tego wszystkiego brakowało Cezarowi. Nie miał prawie wcale

sprzętu niezbędnego w oblężeniu – katapult, wyrzutni ciężkich pocisków, materiału do budowy ramp, ruchomych wież itp. Jego armia miała niekończące się problemy z zaopatrzeniem. Nie mógł też w praktyce liczyć na żadne wsparcie z zewnątrz.

Dokonując porównania sił obu armii nie można oczywiście pominąć tak istotnego elementu, jak wyszkolenie żołnierzy i ich doświadczenie bojowe. Pod tym względem zdecydowanie górowali żołnierze Cezara, przed którymi ciągle jeszcze mało doświadczeni żołnierze Pompejusza odczuwali, może nie strach, ale na pewno spory respekt. Mogło to mieć jednak decydujący wpływ na wynik bitwy w otwartym polu (dlatego Pompejusz nie dawał się wywabić zza wałów i palisad), element ten tracił jednak na znaczeniu w przypadku oblężenia, w trakcie którego nieprzyjaciel nie mógł w zasadzie dokonywać szturmów, gdyż brakowało mu na to sił i środków. Reasumując, pod Dyrrachium doszło do oblężenia armii silniejszej i lepiej zaopatrzonej przez armię słabszą, zajmującą gorszą pozycję i mającą ogromne trudności logistyczne ³⁰.

Cezar oblężenie rozpoczął od zajęcia i ufortyfikowania wszystkich wysokich i stromych wzgórz wokół obozu Pompejusza. Później przystąpił do sypania fos i szańców łączących forty na szczytach wzgórz. Powstała w ten sposób linia umocnień, wewnątrz której tkwiła wroga armia.

Pompejusz utracił swobodę manewru, nie tyle jednak z powodu linii fortyfikacyjnych przeciwnika, gdyż, przynajmniej w początkowej fazie ich budowy, mógł opuścić obóz w Petrze. Prawdę mówiąc, możliwości tej nie utracił nawet wówczas, gdy umocnienia wokół jego obozu były już w zaawansowanym stanie, gdyż mógł przerzucić swe wojska drogą morską. Tym, co naprawdę powodowało, że musiał godzić się na oblężenie swej armii, była konieczność chronienia Dyrrachium, nie mógł bowiem pozostawić tej twierdzy, która, przypominam, była jego główną bazą zaopatrzeniową, na łasce nieprzyjaciela.

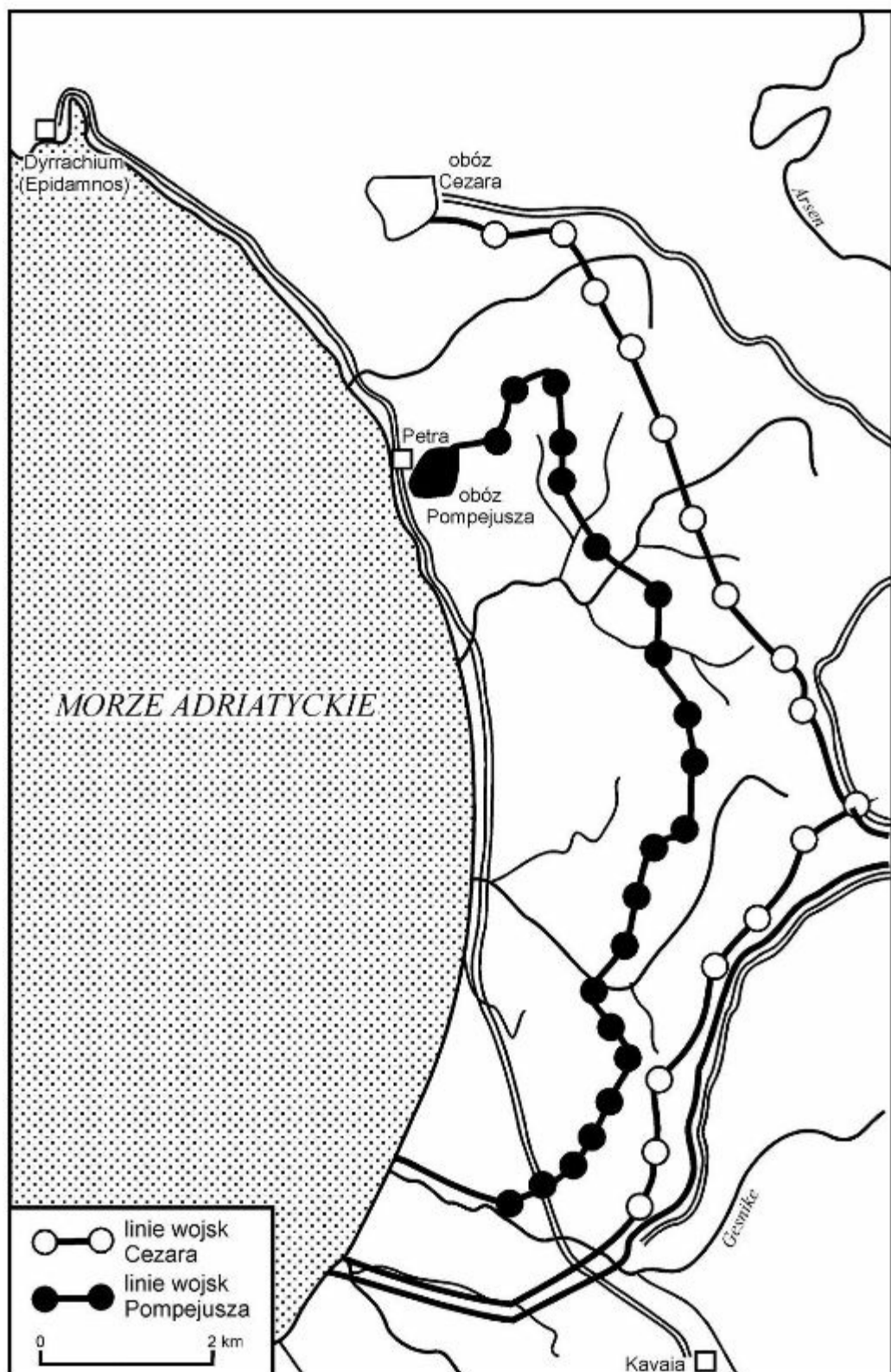
Budowa umocnień otaczających stanowiska Pompejusza trwała zresztą bardzo długo nie tylko ze względu na ich długość i problemy związane z sypaniem szańców w górzystym terenie, w stałym kontakcie z nieprzyjacielem. Tempo prac opóźniała głównie koniecz-

ność budowy umocnień zarówno od strony stanowisk nieprzyjaciela, jak i od strony własnego zaplecza, w sztabie Cezara zdawano sobie bowiem sprawę z faktu, że dysponując ogromną flotą Pompejusz w każdej chwili może przerzucić część swej armii poza obręb umocnień Cezara i zaatakować jego wojska od tyłu.

W tej sytuacji Pompejusz podjął decyzję, która wystawia mu jak najlepsze świadectwo i uzasadnia jego opinię dobrego dowódcy. Jej konsekwencją były wszystkie późniejsze wydarzenia. Nie ograniczył się bowiem do obrony w jednym miejscu, lecz nakazał zająć wszystkie wolne wzgórza i objąć swoimi fortami i szańcami jak najszerszą przestrzeń wokół głównego obozu. Zmuszał w ten sposób Cezara do ustawicznego wydłużania linii swych umocnień, a tym samym do rozrzucenia swej armii na coraz większej przestrzeni. W razie skoncentrowanego ataku większych oddziałów pompejan tak zawadiacko rozrzucone kohorty cezarian miałyby ogromne problemy z obroną wydłużonych linii umocnień, które z tego powodu stawały się stosunkowo łatwe do rozerwania. Wraz ze wzrostem liczby fortów i odległości między nimi mogły też pojawić się trudności w przerzucaniu oddziałów z jednego zagrożonego odcinka na drugi.

Możemy więc stwierdzić, że pod Dyrrachium Pompejusz na pewno dorównał pomysłowością swemu wielkiemu przeciwnikowi i skutecznie utrudnił mu i bez tego bardzo trudne zadanie. Zresztą sam Cezar oddał Pompejuszowi sprawiedliwość, stwierdzając, że „był to nowy i niezwykły sposób prowadzenia wojny”. Inna sprawa, że cała kampania grecka prowadzona była przez obu wodzów w sposób dość niekonwencjonalny i przez większość czasu sprowadzała się do czekania przerywanego gorączkowymi wyścigami obu armii!

Ostatecznie armia Cezara zbudowała dwadzieścia cztery forty połączone systemem wałów i fos długości około 25 kilometrów. Gigantyczne, jak na owe czasy, prace trwały prawie trzy miesiące, od końca kwietnia do pierwszych dni lipca według ówczesnego kalendarza, i prawdę mówiąc, nigdy nie zostały w pełni zakończone.



Pompejusz i Cezar pod Dyrrachium

W trakcie prac fortyfikacyjnych często dochodziło do starć, w których Pompejusz wykorzystywał swych łuczników i procarzy, obsadzając nimi sąsiednie wzgórza. Obrzucali oni gradem pocisków pracujących żołnierzy przeciwnika, powodując wiele strat i utrudniając prowadzenie robót. Czasem do walki przystępowały również oddziały lekkobrojnej piechoty pompejan i katapulty, zmuszając cezarian do przerywania prac, a w niektórych przypadkach nawet do opuszczenia zajmowanej właśnie przez nich placówki, choć trzeba przyznać, że z reguły sukces w tych starciach odnosili żołnierze Cezara.

W jednym z takich wydarzeń brał udział legion IX Cezara pod dowództwem Antoniusza. Zajął on jedno z kolejnych wzgórz i przystąpił do sypania wałów. Pompejusz z kolei obsadził swymi łucznikami, procarzami i lekkobrojnymi wzgórze sąsiednie. Pod gradem pocisków żołnierze IX legionu najpierw przerwali prace, a potem zaczęli się wycofywać, atakowani przez lekkobrojnnych. W pewnym momencie zaczęło zanosić się na to, że odwrót zmieni się w paniczną ucieczkę.

Widząc to Cezar wydał legionowi IX rozkaz zatrzymania się i nakazał zagrozić skraj wzgórza od strony nieprzyjaciela faszynami oraz wykopać fosę, którą obsadzili procarze. Dopiero gdy te roboty zostały zakończone, wydano legionowi rozkaz kontynuowania odwrotu. Zabezpieczenia okazały się jednak niewystarczające i pompejanie kontynuowali natarcie, a po dojściu do linii obronnej rozrzucili faszyny i zaczęli forsować fosę. Zorganizowany odwrót znów zaczął zamieniać się w ucieczkę.

Wówczas Cezar nakazał Antoniuszowi zatrzymać uciekających i przejść do kontrnatarcia. Rozkaz został wykonany z precyzją, odwagą i sprawnością godną tej najlepszej wówczas na świecie piechoty. Żołnierze zatrzymali się, odwrócili się w kierunku goniących, a następnie równo i celnie rzucili swoje pila. Atakujący, zaskoczeni taką nieoczekiwaną zmianą sytuacji, zatrzymali się. Moment wahania wykorzystali żołnierze IX legionu i przeszli do zdecydowanego kontrataku. Po krótkiej walce na miecze pompejanie zostali poko-

nani i zmuszeni do ucieczki, ponosząc przy tym znaczne straty.

Oblężenie obfitowało też w różne sytuacje, czasem przypominające przygody bohaterów książek Karola Maya. Dość często na przykład łucznicy i procarze Pompejusza podkradali się do ognisk, które rozpały kohorty pilnujące umocnień i ostrzeliwali siedzących w ich pobliżu nieprzyjaciół, powodując wśród nich wcale niemałe straty. Po pewnym czasie jednak, nauczeni przykrym doświadczeniem cezarianie zaczęli zajmować stanowiska w pewnym oddaleniu od rozpalanych ognisk. Teraz z kolei oni znajdowali się w korzystniejszym położeniu i sami mogli zapolować na dotychczasowych myśliwych.

Cezar podjął również próbę pokonania przeciwnika zdradą. Dion Kasjusz i Appian opisują próbę przekupienia byłego konsula Korneliusza Lentulusa Krusa, który wprawdzie przebywał w obozie Pompejusza, zaliczał się jednak do jego przeciwników. Przeprowadzenie rozmów z nim Cezar zlecił swemu oficerowi, młodemu Korneliuszowi Balbusowi, który w tym celu przekradł się do obozu Pompejusza i nawiązał kontakt z Krasem. Do porozumienia jednak nie doszło, gdyż konsul zażądał chyba zbyt wygórowanej ceny za swoje usługi.

Lepiej udało się Balbusowi z żołnierzami strzegącymi bram Dyrachium, kilku z nich zgodziło się bowiem otworzyć jedną z nich i wpuścić oddział cezarian do miasta. Sprawa była ważna i mogła mieć istotny wpływ na dalszy przebieg działań, dlatego Cezar osobiście stanął na czele oddziału mającego zająć miasto. Jednakże na wąskiej ścieżce prowadzącej do miasta między morzem a trzęsawiskami oddział nieoczekiwanie został zaatakowany przez żołnierzy Pompejusza. „Niewiele brakowało, aby sam zginął”, pisze Dion Kasjusz. Ostatecznie jednak Cezarowi udało się wyjść cało z zasadki, ale kilku jego żołnierzy zginęło.

Plan nie powiódł się zapewne z tego powodu, że żołnierze, z którymi Balbus nawiązał kontakt, okazali się, jakbyśmy dziś powiedzieli, podwójnymi agentami. Po tym przykrym doświadczeniu Cezar już nigdy takich prób nie ponawiał i pogodził się z myślą o długotrwałym oblężeniu. Zwłaszcza że powoli mijał już czas niedostatku jego armii. Zboża zaczęły dojrzewać, zbliżał się czas żniw

i nadzieja na poprawę zaopatrzenia zaczęła dodawać sił jego żołnierzom.

Pogorszyła się natomiast, i to znacznie, sytuacja w obozie Pompejusza. Przede wszystkim pompejanom zaczął doskwierać fatalny stan higieny spowodowany zatruciem terenu odchodami ludzi i zwierząt, a także rozkładającymi się zwłokami. To stały problem wszystkich wojsk obozujących przez dłuższy czas na ograniczonym obszarze.

W przypadku Pompejusza sytuację dodatkowo utrudniał katastrofalny brak wody spowodowany pracami irygacyjnymi Cezara. Na jego rozkaz bowiem odwrócono bieg wielu rzeczek i strumieni płynących do morza poprzez obszar zajęty przez pompejan, a te, których nie dało się skierować w inne strony, zostały zatrzymane systemem tam i grobli budowanych zazwyczaj z pali obsypanych ziemią. Pompejanie musieli więc albo budować studnie, często w odległych miejscach, które jednak szybko wysychały z powodu suszy, albo też używać wody z terenów nizinnych i bagnistych, a więc raczej niezdrowej. Dla Rzymian, o których mówi się, że wykorzystywali w ciągu roku więcej wody niż Europa średnio-wieczna w ciągu wieku, musiała być to sytuacja wręcz katastrofalna.

Brak wody w połączeniu z zatruciem środowiska spowodował pojawienie się licznych chorób. Nie przybierały one wprawdzie jeszcze postaci epidemii, ale powodowały wiele zgonów, zwłaszcza że trudy częstych marszów i gigantycznych prac fortyfikacyjnych nadwładliły znacznie siły tych w większości młodych, niezahartowanych i nieprzyzwyczajonych do takich wysiłków mężczyzn.

Trudności z wodą i brak wystarczającej ilości świeżej paszy spowodowały też ogromne straty wśród towarzyszących armii zwierząt, tak że wkrótce przy życiu pozostały tylko konie, wszystkie inne juczne zwierzęta albo wyginęły, albo zostały zabite, gdyż nie było czym ich karmić.

Pod tym względem znacznie lepiej przedstawiała się sytuacja w armii Cezara, która z wyjątkiem zboża miała wystarczającą ilość wyżywienia, no i przede wszystkim zdrową wodę i paszę dla zwierząt, jego konnica mogła bowiem działać bez przeszkód na całym zapleczu obozu, gdyż zamknięta w obrębie umocnień konnica Pom-

pejusza utraciła swobodę ruchu.

Wobec tych problemów Pompejusz nie pozostawał oczywiście bezczynny. Cezar opisuje w swych pamiętnikach dzień, w którym stoczono aż sześć poważnych starć – trzy pod Dyrrachium i trzy wokół szaniec i fortów obozowych. Przebieg tych starć, a zwłaszcza ich początek, nie do końca jest jasny z powodu luk w tekście. Analizując jednak zachowane relacje można dojść do wniosku, że Pompejusz podjął próbę przerzucenia drogą morską części swych wojsk, zwłaszcza konnicy do miasta. Może była to odpowiedź na próbę zdobycia miasta zdradą? W każdym razie walki wokół umocnień odbyły się pod nieobecność Cezara w obozie, którym w tym czasie dowodził legat P. Sulla.

Szczególnie silny atak pompejanie przeprowadzili na fort broniony przez nieliczną załogę, chyba jedynie przez jedną kohortę. W jej składzie znajdował się centurion Scewa (o którym mieliśmy już okazję wspomnieć analizując stosunek żołnierzy do Cezara). Widząc, że obrona zaczyna się załamywać i pompejanie bliscy są zdobycia umocnień, postanowił wprowadzić w błąd nieprzyjaciela, udając, że chce przejść na stronę Pompejusza. Wystąpił naprzód i dał znak ręką, że chce mówić, a gdy przerwano walkę i zaległo milczenie, zwrócił się do jednego z centurionów Pompejusza z prośbą o ratunek i przysłanie ludzi, którzy by odprowadzili go na drugą stronę, gdyż jest ranny (co było prawdą) i ma dość walki.

Dla pompejan musiała być to interesująca propozycja, gdyż dezercje wśród cezarian, a zwłaszcza wśród korpusu oficerskiego i podoficerskiego, zdarzały się raczej rzadko, do rzekomego zbiega wysłano więc dwóch żołnierzy. Gdy znaleźli się w pobliżu, wówczas Scewa, poważnie raniony w oko, jednego ze „zbawców” zabił, a drugiemu odciął ramię. Appian wyjaśnia, że Scewa postąpił tak dlatego, iż „stracił nadzieję ocalenia siebie i utrzymania warowni”. No cóż, na wojnie i w miłości wszelkie podstępny są dozwolone... Jego czyn miał zbawienny wpływ na załogę fortu, która na nowo podjęła obronę umocnień i utrzymała je do chwili nadejścia odsieczy. Ostatecznie fort ocaliło przeciwnatarcie P. Sulli na czele dwóch legionów. Odparto napastników i zmuszono ich do ucieczki, która mogła podobno, zdaniem wielu obserwatorów, zakończyć się nawet

ostateczną klęską wojsk Pompejusza. gdyby Sulla zdecydował się kontynuować pogoń i doprowadził do rozstrzygającego starcia.

Być może mieli rację, tego już się zapewne nie dowiemy. Trudno nawet zająć w tej sprawie jednoznaczne stanowisko, gdyż nie znamy przebiegu tego starcia. Interesująca natomiast i warta przytoczenia jest obrona Sulli przed tymi zarzutami, a konkretnie argumenty, jakie na jego korzyść powołuje Cezar. Stwierdza on mianowicie, że decyzja Sulli o odwołaniu pogoni nie zasługuje na nagane, gdyż: „Inna jest rola legata (w tym przypadku Sulli – przyp. R.R.), a inna wodza naczelnego: ów ma działać według rozkazu, ten zaś układa własny plan, ogarniając całość. Sulla, któremu Cezar oddał dowództwo obozu, poprzestał na uwolnieniu swoich z opresji i aby się nie wydało, że bierze na siebie rolę naczelnego wodza, nie chciał staczać bitwy, która przecież mogła mieć wynik niepomysłny”.

Argumentacja ta wskazuje jednoznacznie na to, jak Cezar pojmował rolę wodza naczelnego i jaki zakres swobody i samodzielności przyznawał nawet wyższym, zastępującym go w danej chwili oficerom. Okazuje się, że w armii Cezara żaden z dowódców nie miałby szans na otrzymanie Krzyża Komandorskiego *Virtuti Militari* przyznawanego, zgodnie z ustawą, dowódcy armii lub innemu wyższemu dowódcy „za śmiałe i pełne inicjatywy prowadzenie operacji wojennej, mającej duże znaczenie dla przebiegu wojny”.

Wszystkie starcia, przeprowadzone w tym dniu na obu frontach, pod Dyrrachium i wokół fortów zakończyły się pomyślnie dla Cezara. Wszystkie pozycje zostały utrzymane, a straty nieprzyjaciela wyniosły podobno ogółem dwa tysiące żołnierzy, w tym wielu oficerów i podoficerów. Cezarianie zdobyli też sześć sztandarów nieprzyjaciela (co było szczególnie cenne ze względu na wagę, jaką przywiązywano w armii rzymskiej do legionowych znaków), natomiast ich straty własne, według relacji Cezara, były zaskakująco niskie —jedyne około dwudziestu ludzi, zakładając, że są to dane prawdziwe, niestety, nie mamy możliwości ich weryfikacji. Wielu natomiast było rannych, zwłaszcza w forcie, w którym znajdował się Scewa i wokół którego toczyły się, jak wynika z relacji, najbardziej zacięte walki. Tam podobno ranni byli wszyscy żołnierze.

Scewa za swą postawę otrzymał w nagrodę 200 000 sesterców i został awansowany z centuriona ósmego stopnia na stopień pierwszy. Nic dziwnego, w jego tarczy przyniesionej po walce Cezarowi było podobno aż 120 dziur po pociskach. Pozostałym żołnierzom kohorty broniącej fortu, na który łącznie podobno spadło aż 30 000 strzał (ciekawe, kto zadał sobie trud policzenia ich i czy w ogóle było to możliwe?), Cezar polecił wypłacić podwójny żołd i przyznał im wiele nagród i odznaczeń.

Przeprowadzenie operacji przerzucenia konnicy pod Dyrrachium spowodowane zostało zapewne dwiema głównymi przyczynami. Pierwsza z nich wiązała się z możliwością działania jazdy. Zamykając armię Pompejusza fortami i szańcami Cezar praktycznie unieruchomił jego kawalerię. Utraciła ona w praktyce swój główny atut – ruchliwość i możliwość dokonywania dalekich zagonów.

Przerzucając ją pod Dyrrachium Pompejusz miał nadzieję, że odzyska ona swobodę ruchu. Zwłaszcza że Cezar nie miał żadnych możliwości, aby się temu przeciwstawić. Jego konnica pod względem liczbowym była znacznie słabsza (stosunek sił 7000 : 700–800 na korzyść Pompejusza).

Działając w oparciu o silną twierdzę, jaką było Dyrrachium, konnica Pompejusza uzyskiwała szanse nie tylko atakowania konwojów i oddziałów furazerów, ale również możliwość osaczenia wrogiej armii i dokonywania w praktyce bezkarnych ataków od tyłu na kohorty pracujące przy szańcach. W sprzyjających okolicznościach i przy umiejętnym dowodzeniu konnica mogła więc stać się czynnikiem decydującym o ostatecznym zwycięstwie Pompejusza.

O przyczynie drugiej już wspominaliśmy, chodziło mianowicie o problemy z zaopatrzeniem w paszę. Odzyskując ruchliwość i możliwości manewru, konnica mogła wreszcie sama zadbać o własne potrzeby.

Obydwa cele nie zostały jednak osiągnięte (a jeśli tak, to na niewielką skalę i w bardzo krótkim, początkowym okresie). Cezar bowiem wykorzystał umiejętnie położenie miasta, a zwłaszcza fakt, że prowadziły do niego tylko dwie drogi odpowiednie dla konnicy, obie biegnące wąwozami, i ponownie unieruchomił jazdę nieprzyjaciela, budując u wylotów wąwozów silne forty. Nie spełniły się rów-

niez nadzieje na poprawę zaopatrzenia w paszę. Po kilku dniach konnica została więc przetransportowana drogą morską z powrotem na teren obozu, ale nie rozwiązało to problemu braku paszy.

Flota starała się oczywiście jakoś temu zaradzić, sprowadzając paszę z Korcyry i Akernanii, dostawy były jednak utrudnione z powodu odległości i daleko niewystarczające. Konie karmiono więc głównie liśćmi drzew i tłuczonymi korzeniami trzciny, dodając do tego jęczmień. Po pewnym jednak czasie zaczęło brakować nie tylko jęczmienia, ale nawet liści na drzewach i konie zaczęły masowo padać po prostu z głodu.

Jak widzimy, Pompejuszowi nie udało się zadowolająco rozwiązać żadnego z głównych problemów trapiących jego armię. Nie mógł też, a raczej nie chciał, zdecydować się na stoczenie walnej bitwy w otwartym polu, mimo że Cezar wielokrotnie prowokował go, wyprowadzając swą armię i ustawiając ją w szyku bojowym możliwie najbliżej umocnień nieprzyjacielskiego obozu, tak że pierwszy szereg jego armii znajdował się prawie w zasięgu pocisków z katapult nieprzyjaciela.

Oblężenie trwało więc nadal, a aktywność obu wojsk ograniczała się do kontynuowania prac fortyfikacyjnych i drobnych utarczek. W pierwszych dniach lipca doszło jednak do wydarzenia, które skłoniło Pompejusza do podjęcia zakrojonej na wielką skalę operacji, której celem było zepchnięcie legionów Cezara z zajmowanych przez nie pozycji, przerwanie umocnień i zakończenie bardzo już uciążliwego dla jego armii (a także osobistego prestiżu) oblężenia.

Klęska Cezara pod Dyrrachium

Historia wojen zna wiele przypadków, w których drobne z pozoru wydarzenia wywołują skutki o niewyobrażalnych wręcz rozmiarach. W tym przypadku zaczęło się wszystko od wykrycia nadużyć panujących wśród oddziałów konnicy Cezara. Negatywnymi bohaterami byli dwaj bracia, synowie Adbucilla, naczelnika galijskiego plemienia Allobrogów, a więc członkowie najwyższej galijskiej arystokracji, a przy tym ulubieńcy i faworyci Cezara – Roucillus i Egus. Pra-

wie od początku wojen galijskich znajdowali się oni w obozie Cezara, pozostali mu wierni nawet w czasie powstania Wercyngetoryksa, kiedy to odstąpili go prawie wszyscy galijscy sojusznicy.

Cezar cenił ich za inteligencję, odwagę i oczywiście za wierność, nic więc dziwnego, że obsypywał swych ulubieńców nagrodami i powierzał im ważne stanowiska. Na jego polecenie zostali wybrani poza kolejnością do senatu Allobrogów. Nadal im też w Galii liczne ziemie, a w swej armii uczynił, jak wynika z relacji, wyższymi oficerami jazdy, dowódcami większych oddziałów. Nie skąpił im też nagród, pochwał i odznaczeń za udział w walkach, w których istotnie wyróżniali się odwagą i zdolnościami wojskowymi. Wydawało się więc, że bracia powinni być zadowoleni ze swego losu i spokojnie oczekiwać na dalsze awanse.

Niestety, Galowie odpłacili się swemu dobroczyńcy i protektorowi czarną niewdzięcznością i jak pisze Cezar „nadęci głupią, barbarzyńską pychą” postanowili zbyt szybko się wzbogacić, oszukując zarówno współtowarzyszy, jak i samego Cezara. A możliwości mieli wiele. Na przykład zawyżając w kwesturze armii liczbę żołnierzy w swych oddziałach i zagarniając nieprawnie pobrany żołd do kieszeni. Okradali również swych podwładnych, w większości zresztą Galów, przywłaszczając sobie część należnego podwładnym żołdu, a także zagarniając większą część łupów.

Mechanizm dokonywanych przez nich oszustw jest zresztą w tym przypadku mniej istotny. Ważne jest jedynie to, że rozgoryczeni żołnierze zdobyli się wreszcie na odwagę i donieśli o wszystkim Cezarowi, który znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji. Nie mógł sprawców ukarać tak surowo, jak na to zasługiwali, gdyż uznał, że nie jest to pora na srogość.

Nie mógł też zupełnie sprawy pominąć milczeniem. Wybrał więc rozwiązanie, jak się później okazało, najgorsze z możliwych, mianowicie przeprowadził z braćmi rozmowę ostrzegawczą bez świadków, „w sześć oczu”, w trakcie której nakazał im zaprzestanie dotychczasowych praktyk, być może nawet polecił wypłacenie poszkodowanym jakichś rekompensat. Ale zakończenie rozmowy było już zaskakujące łagodne, oświadczył im bowiem, by na przyszłość „na nic więcej nie liczyli jak na jego przyjaźń i z dawniej

doznanych łask spodziewali się dalszych”.

Jeśli więc wierzyć relacji Cezara (a nie ma podstaw, aby poddawać ją w wątpliwość) rozmowa była w gruncie rzeczy bardzo łagodna i przebiegała w atmosferze wręcz ojcowskiego napomnienia. Dawała braciom nadzieję na pełne przebaczenie, a nawet na dalsze łaski. Gdyby jednak Cezar mógł przewidzieć, jakie będą jej następstwa, to zapewne zrezygnowałby z niej w ogóle lub, jeszcze lepiej, postąpiłby z pełną surowością, polecając sprawców ująć i uwięzić.

Jak się bowiem okazało, bracia byli zdolni nie tylko do defraudacji, ale również do zdrady i po tej rozmowie podjęli decyzję przejścia na stronę Pompejusza. Cezar twierdzi, że postąpili tak, gdyż nie mogli znieść pogardy i niechęci ze strony żołnierzy. Być może. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że chyba nie do końca uwierzyli w łaskawość swego dotychczasowego dobrodzieja i podejrzewali, że postanowił on jedynie odroczyć wymierzenie kary „do sposobniejszego czasu”.

Decyzja o „zmianie barw” wiązała się oczywiście z pewnym trikiem, bo bracia byli zbyt znani i Pompejusz, wiedząc o nich wiele, zwłaszcza o więzach łączących ich z Cezarem, mógł podejrzewać, że cała sprawa została ukartowana, a bracia w rzeczywistości mają pełnić rolę wrogich agentów w jego armii. Dlatego, aby usunąć wszelkie podejrzenia, zdrajcy usiłowali podobno przed przejściem na stronę wroga zabić prefekta konnicy Cezara G. Wolusena. Mord ten miał ostatecznie przekonać Pompejusza i jego sztab, że zerwali wszelkie więzy z Cezarem i będą wierni nowemu panu.

Zabójstwo Wolusena okazało się jednak zbyt trudnym zadaniem, wobec tego wybrali rozwiązanie łatwiejsze. Pożyczyli mianowicie, pod pretekstem chęci wypłacenia odszkodowania pokrzywdzonym, ze skarbu armii spore sumy pieniędzy, kupili za nie konie i wraz z nimi oraz przyjaciółmi i klientami opuścili obóz Cezara. Konie miały być darem, dzięki któremu mieli nadzieję zaskarbić sobie życzliwość nowego protektora. No cóż, Galowie słynęli ze swej miłości do koni, bracia mogli więc wierzyć, że taki dar szczególnie ujmie Pompejusza.

Ten oczywiście przyjąłby obu galijskich arystokratów z otwar-

tymi ramionami, nawet gdyby przyszli z zupełnie pustymi rękami, gdyż dezercja wyższych oficerów Cezara tak bardzo dla niego zasłużonych i tak mocno z nim związanych, prawie przyjaciół, była zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Nic dziwnego też, że dezercerzy natychmiast zostali przedstawieni wszystkim oficerom armii Pompejusza i oprowadzeni po całym terenie umocnień. Chodziło głównie o to, by poprzez pokazanie „nowego nabytku” poprawić nastroje w armii. Dezercja Galów miała bowiem przekonać żołnierzy, że w obozie nieprzyjaciela musi dziać się bardzo źle, jeśli nawet tak blisko związani z Cezarem ludzie stamtąd uciekają.

Było to oczywiście ważne, rzeczywiste znaczenie miało jednak to, co bracia przekazywali sztabowi Pompejusza później, w trakcie wielokrotnych rozmów.

A mieli do przekazania mnóstwo informacji. Rucyllus i Egus należeli do bezpośredniego otoczenia Cezara, byli wyższymi oficerami i wiedzieli dużo, bardzo dużo. Przede wszystkim znali dokładnie plan systemu wałów i szańców otaczających obóz Pompejusza, odległości między poszczególnymi fortami, liczebność i wartość bojową kohort pełniących straż w fortach i w szczególnie newralgicznych punktach systemu umocnień. Mogli też przedstawić charakterystykę ich dowódców. Doskonale wiedzieli też, które odcinki fortyfikacji są słabsze, gorzej umocnione i bronione lub wręcz jeszcze nieukończone. Własną wiedzę na ten temat przewidująco uzupełnili zresztą informacjami uzyskanymi od oficerów wojsk inżynierskich Cezara. To, że pytali o różne sprawy, nikogo zapewne nie dziwiło, nikt ich przecież o zdradę nie podejrzewał. Bardzo prawdopodobne jest i to, że wiedzę swą zapisali nie tylko w głowie, w pamięci, która, jak wiadomo, jest zawodna, ale również w formie notatek, szkiców i planów.

Wśród wielu uzyskanych tą drogą przez Pompejusza wiadomości najcenniejsza okazała się informacja o tym, że najdalszy (w stosunku do głównego obozu Cezara) fragment fortyfikacji jest jeszcze niewykończony i może być stosunkowo łatwo zdobyty.

Chodziło o lewe skrzydło linii oblężniczej, w którym szańce dochodziły prawie do morza. Wał wewnętrzny na tym odcinku był już skończony. Jego wysokość wynosiła około 2,5 do 3 metrów.

Zabezpieczała go fosa głęboka na około 4 metry i zapewne palisada. Gorzej przedstawiała się sprawa, jeśli chodzi o wał zewnętrzny zbudowany w odległości około 156 metrów od wału wewnętrznego.

Jak pamiętamy, Cezar obawiał się, aby Pompejusz nie wykorzystał swej floty do przeprowadzenia desantu i zaatakowania jego pozycji od tyłu, dlatego budował dwie linie szańców – wewnętrzną, od strony pozycji Pompejusza, oraz zewnętrzną, która miała chronić tę pierwszą. Otóż właśnie ta druga, zewnętrzna linia szańców na tym odcinku była jeszcze niewykończona, niższa od wewnętrznej, a w dodatku nieumocniona palisadą. Od strony pozycji Pompejusza nie można było tego zauważyć, gdyż widok zasłaniał wyższy wał wewnętrzny. O tym, że jest to odcinek stosunkowo łatwy do zdobycia, Pompejusz dowiedział się więc dopiero od Galów.

Od nich również dowiedział się, że nie zbudowano jeszcze wału poprzecznego, który miał łączyć wał wewnętrzny z zewnętrznym i chronić stacjonujące w tym miejscu kohorty od bezpośrednich ataków od strony morza. Istniała więc luka, przez którą oddział szturmowy mógł łatwo wejść i uderzyć z tyłu na obrońców. Mogło to bardzo ułatwić zdobycie szańców, zwłaszcza że załogę tego słabego, nieukończonego odcinka fortyfikacji stanowiły jedynie dwie kohorty.

Winę za nieukończenie budowy szańców trzeba przypisać bezpośrednio dowódcy IX legionu, który bronił tego skrzydła, ale pośrednio obciąża ona również Cezara. Zdając sobie z tego sprawę, tłumaczy on swoje zaniedbanie trudnościami, jakie pojawiły się przy budowie tak rozległej i długiej linii szańców.

To oczywiście prawda. Budowa długiej, liczącej około 25 kilometrów linii fortyfikacji była przedsięwzięciem jak na owe czasy ogromnym, wręcz bez precedensu, na wiele prac mogło więc po prostu zabraknąć czasu i sił, ale tak newralgiczny, łatwy do zaatakowania aż z trzech stron fragment szańców powinien być zbudowany szczególnie starannie i wcześniej od innych.

A jeśli nie zrobiono tego poprzednio, to należało o to zadbać natychmiast po dezercji obu Galów, gdyż można było się spodziewać, że nie omieszkają oni poinformować o tym swego nowego wodza!

Wydaje się jednak, że Cezar lekceważył przeciwnika i nie spodziewał się z jego strony żadnej bardziej energicznej i zdecydowanej, zakrojonej na szerszą skalę, akcji. Nie tylko więc nie dokończono budowy, ale również nie wzmocniono załogi broniącej szan-ców.

Nie doceniając przeciwnika Cezar popełnił poważny błąd, który mógł spowodować jego zupełną klęskę. Pompejusz bowiem, zmuszony trudną sytuacją swej armii, postanowił jednak przejść do ofensywy właśnie na tym słabo bronionym odcinku. Jego plan, zbudowany na podstawie uzyskanych od dezertarów informacji, zakładał sformowanie trzech oddziałów szturmowych. Pierwszy, złożony z lekkobroej piechoty i łuczników, przetransportowany drogą morską na tyły pozycji Cezara, miał zaatakować wał zewnętrzny (niższy, gorzej ufortyfikowany). Drugi, liczący aż 60 kohort legio-nowych, pod osobistym dowództwem Pompejusza, miał zdobyć trudniejszy, lepiej skonstruowany i ufortyfikowany wał wewnętrzny. Natomiast trzeci, zapewne najmniej liczny, miał być w odpowiednim momencie wysadzony z okrętów i zaatakować od strony nie-ukończonego wału poprzecznego.

Plan Pompejusza zakładał więc przeprowadzenie skomplikowanej operacji lądowo-desantowej, która wymagała wydania precyzyjnych, bardzo szczegółowych rozkazów, gdyż od chwili jej rozpoczęcia, a więc zaokrętowania oddziałów desantowych, dowódcy poszczególnych grup w praktyce tracili możliwości utrzymania jakiegokolwiek łączności zarówno między sobą, jak i z głównodowodzącym. Zakładał również bardzo precyzyjne ich wykonanie. Chodziło zwłaszcza o zajęcie w odpowiednim czasie stanowisk wyjściowych i wejście do akcji w przewidzianym czasie i odpowiedniej kolejności.

Pompejusz musiał też zakładać, że w razie zajścia niedających się przewidzieć zdarzeń, dowódcy grup wykażą się inwencją, pamiętając równocześnie o głównych założeniach operacji; zepchnięciu cezarian z pozycji, zdobyciu umocnień i przerwaniu oblężenia.

Wiedząc od Allobrogów, że przeciwnik nie ma do dyspozycji żadnych pocisków poza kamieniami, polecił Pompejusz swoim żołnierzom porobić osłony z wikliny na hełmy. Miały one chronić ich

twarze i szyje. Nakazano im poza tym zabrać dużą ilość faszyny w celu zasypiania fos oraz drabiny, po których mieli wspinać się na wały.

Grupa desantowa, której zadaniem było zaatakowanie Pozycji cezarian od tyłu, została przewieziona łodziami i barkami nocą z piątego na szóstego lipca i jeszcze przed świtem zajęła pozycje do ataku. Grupa lądowa wyszła z obozu również przed świtem. Nie wiemy, jakie panowały wówczas warunki atmosferyczne, czy noc była ciemna, czy jasna. W każdym razie Pompejusz poprowadził swoją kolumnę okrężnymi drogami, tak aby nie została zauważona przez obserwatorów Cezara.

Atak nastąpił o świcie (Pompejusz zdecydowanie unikał walk nocnych) 6 lipca 48 r. Pierwsze do walki weszły, zgodnie z planem, oddziały lekkobrojnnych. Ich atak osłaniali łucznicy zasypujący obrońców gradem strzał. Jak wspomnieliśmy, cezarianie nie posiadali żadnej ówczesnej artylerii, żadnego sprzętu, nawet łuków i strzał, mogli więc rzeczywiście jedynie ciskać w nacierających kamieniami, które jednak nie czyniły im żadnych szkód, ześlizgując się po osłonach z wikliny.

W tych warunkach lekkobrojni praktycznie bez większych strat doszli do fosy, zasypali ją faszyną i zaczęli wdzierać się na szaniec. Kohorta broniąca wału stawiała wprawdzie zacięty opór, miała jednak trudności z odparciem ataku, gdyż szaniec, jak pamiętamy, był niewystarczająco ufortyfikowany.

Gdy atak lekkobrojnnych rozwinął się, do akcji weszła główna siła uderzeniowa licząca sześć legionów, wsparta również silnymi oddziałami łuczników i ówczesną artylerią. Posterunki obserwacyjne Cezara, ustawione na pobliskich wzgórzach, zgodnie z przewidywaniami Pompejusza, zbyt późno zauważyły jego zbliżanie się i nie zdołały przesłać sygnałów ostrzegawczych do dalszych fortów (w armii Cezara oblegającej Pompejusza istniał system sygnałów dymnych przekazywanych z fortu do fortu, ostrzegających o niebezpieczeństwie).

Legioniści Pompejusza rozwinęli swe szyki u stóp wału i na broniących się cezarian spadł znów grad pocisków, tym razem z machin miotających i proc oraz strzał wypuszczanych przez łuczników. Po

tym „przygotowaniu artyleryjskim” do ataku ruszyła piechota legionowa, której hełmy również chroniły osłony z wikliny, po których ześlizgiwały się kamienie ciskane przez obrońców. Atakujący doszli do fosy, zasypali ją, podobnie jak lekkobrojni, wiązkami faszyny i po drabinach zaczęli wdzierać się na wał.

W chwili, gdy ofensywa pompejan osiągnęła punkt kulminacyjny i obie kohorty cezarian broniące tego odcinka z ogromnym trudem i dużymi stratami odpierały równoczesne ataki na wał wewnętrzny i zewnętrzny, flota Pompejusza podpłynęła do brzegu i wysadziła kolejny oddział desantowy, który rozpoczął atak z trzeciej strony, od morza, na wał poprzeczny, którego budowa, jak pamiętamy, była dopiero w stadium początkowym.

Jak już wspominaliśmy, oddział ten nie był zapewne zbyt liczny, ale też nie miał praktycznie żadnych umocnień do sforsowania. Pompejanie bez trudu i strat własnych weszli w lukę między wałami i uderzyli na zaskoczonych obrońców od tyłu. Tego ataku szczupła załoga odcinka wytrzymać już nie mogła i zaczęła w popłochu wycofywać się, a nazywając rzecz po imieniu, po prostu uciekać przejściem między wałami w stronę głównego obozu swego legionu.

Załogę lewego skrzydła fortyfikacji, do której należał zaatakowany i ostatecznie zdobyty przez pompejan odcinek, stanowił, jak pamiętamy, legion IX pod dowództwem Lentulusa Marcellina, którego zastępcą był Fulwiusz Postum. Jego główny obóz znajdował się w odległości zapewne dwóch, może trzech kilometrów od miejsca walki.

Wydaje się, że Marcellin nie był dowódcą wyróżniającym się energią i zdecydowaniem, a zwłaszcza inicjatywą. W każdym razie w tym przypadku zareagował on zbyt opieszale i zbyt późno posłał wsparcie swym walczącym żołnierzom. Gdy więc wreszcie nadeszły świeże kohorty IX legionu, walka na zagrożonym odcinku już się w praktyce skończyła i obie strażnicze kohorty w panice uciekały przed tryumfującymi pompejanami, tłocząc się w wąskim przejściu między wałami i ponosząc przy tym duże straty.

Pomoc okazała się więc w sumie i spóźniona, i zbyt szczupła; nie uratowała sytuacji, wręcz przeciwnie, pogłębiła jedynie panujący chaos, gdyż nadchodzący dali się porwać fali uciekających i zaczęli

również uciekać.

Wydaje się zresztą, że dowódca IX legionu popełnił jeszcze jeden błąd, gdyż nie pojawił się na polu walki osobiście, przynajmniej tak wynika z relacji o tej fazie walk w dniu 6 lipca. Powinien on zebrać wszystkie kohorty, jakimi w danym momencie dysponował, i maszerując na ich czele, zająć pozycje na koronie wałów. Uniknąłby dzięki temu zderzenia odsieczy z uciekającymi kohortami.

W konsekwencji błędów swego dowódcy ogarnięte paniką, stłoczone w wąskich przejściach kohorty IX legionu przestały stawiać zorganizowany opór i były bezlitośnie wycinane przez tryumfujących pompejan.

Nie wiemy, ilu cezarian zginęło w trakcie tego odwrotu, ale musiała być to niemała liczba, gdyż w swej relacji Cezar pisze, że „pompejanie czyniąc wielką rzeź wśród naszych podchodzili pod obóz Marcellina”. Między innymi zginęli wówczas prawie wszyscy centurionowie pierwszej kohorty, a ciężko ranny, umierający chorąży legionu przekazał orła legionowego któremuś z jeźdźców Cezara, prosząc go, aby uratował znak przed wrogami i odniósł „tak jak jest, nietknięty, Cezarowi”.

Fakt uratowania orła legionowego potwierdzają również inni autorzy starożytni, przedstawiając swoje wersje zdarzenia. Appian na przykład pisze, że chorąży zdołał jeszcze przed śmiercią przerzucić go przez palisadę do wnętrza obozu Marcellina (a więc walka musiała przenieść się już pod same szanice obozowe).

W obecnych czasach uratowanie godła oddziału może się wydawać stosunkowo mało istotnym fragmentem walk, jednak nie zapomnijmy, że orzeł legionowy był dla Rzymian rzeczą najświętszą, mającą również charakter sakralny. Jego utrata oznaczała ogromną hańbę nie tylko dla chorążego, ale dla wszystkich żołnierzy legionu.

Przed ostateczną klęską legion Marcellina uratował Marek Antoniusz, którego obóz znajdował się w odległości około pięciu kilometrów od stanowisk IX legionu. Natychmiast, gdy tylko otrzymał wiadomość o toczącej się walce, zebrał 12 kohort i pośpieszył na zagrożony odcinek. Jego pojawienie się na stoku pobliskiego wzgórza powstrzymało atakujących, co z kolei pozwoliło ochłonać żołnie-

rzom IX legionu i sformować na nowo szyki obronne.

Na polu walki pojawił się również Cezar, wezwany sygnałami dymnymi. Zebrał po drodze kilka kohort z innych legionów i najszybciej jak tylko mógł przybył na zagrożony odcinek, aby objąć dowództwo.

Ogólna sytuacja została więc opanowana, atak pompejan powstrzymany i dalszym odcinkom i fortom nic już nie groziło. Nic jednak również nie mogło już odwrócić klęski poniesionej na lewym, skrajnym skrzydle. Pompejusz zdobył szanice i wyrwał się „na wolność”. Oznaczało to, że cały plan Cezara utrzymania armii przeciwnika w oblężeniu runął w gruzy, a wielotygodniowe, gigantyczne prace przy budowie fortów i szaniców wokół pozycji Pompejusza poszły na marne.

Nie można również nie docenić wpływu tego zwycięstwa na postawę żołnierzy obu armii, zwłaszcza pompejan, po raz pierwszy bowiem udało się im pokonać w tak poważnym starciu cezarian, przed którymi dotąd czuli zawsze ogromny respekt.

Przerywając linie oblężnicze i wychodząc poza szanice wroga, Pompejusz zrealizował podstawowy cel całej zaplanowanej na ten dzień operacji. Sprawą otwartą pozostaje jednak kwestia, czy nie należało wykorzystać osiągniętego tak łatwo powodzenia i kontynuować natarcia? Przecież pomoc przyprowadzona przez Antoniusza, a później Cezara, była stosunkowo nieliczna, a na rozbity i zdemoralizowany klęską legion IX nie można było zbyt liczyć. Można więc chyba było kontynuować natarcie na obóz Marcellina i zmusić Cezara do stoczenia bitwy w bardzo dla niego niekorzystnym miejscu i sytuacji.

Wydaje się jednak, że Pompejusz był zbyt ostrożny, zbyt mało elastyczny i zbyt mocno przywiązany do z góry założonych planów i zamierzeń, aby podjąć taką decyzję. Dlatego nie wykorzystał okazji i zadowolił się tym, co już osiągnął. Wycofał się z walki, pozwolił przeciwnikowi ochłonąć, a sam skoncentrował swe wojska w pobliżu morza i założył tam nowy obóz, w miejscu dogodnym, zarówno jeśli chodzi o możliwości zdobycia paszy, jak i kontakty z własną flotą.

Oceniając trzeźwo zaistniałą sytuację, również Cezar postanowił

pogodzić się z klęską. Ściągnął większość swych oddziałów z dotychczasowych pozycji, skoncentrował je w pobliżu armii Pompejusza i rozkazał rozpocząć budowę nowego obozu.

Gdyby w tym momencie bitwa w dniu 6 lipca zakończyła się definitywnie, to wszystko zapewne zaczęłoby się od nowa, w nieco jednak gorszych dla Cezara warunkach. Obie armie nadal stacjonowałyby w pobliżu siebie, utrudniając sobie w miarę możliwości życie. Pompejusz zapewne nadal by ćwiczył swych żołnierzy, a Cezar, po odbudowaniu morale swych żołnierzy poprzez kolejne błyskotliwe przemówienie, nadal prowokował przeciwnika do stoczenia walnej bitwy. Być może też podjąłby kolejną próbę kontynuowania oblężenia. Jednakże przypadek, ten najlepszy scenarzysta wszelkich wydarzeń, spowodował diametralną zmianę sytuacji.

Wszystko zaczęło się od tego, że wywiadowcy Cezara obserwujący teren wokół umocnień zauważyli kolumnę pompejan liczącą około 10 kohort, zbliżającą się do starego, opuszczonego obozu położonego pod lasem obok rzeki.

Miał on swoją długą i dość interesującą historię. Zbudował go ongi IX legion Cezara jako swój główny punkt oporu. Po pewnym czasie opuścił go jednak i przeniósł swą siedzibę nieco dalej, nie niszcząc jednak wzniesionych umocnień. Następnie zajął go Pompejusz i postanowił poszerzyć tak, aby mógł pomieścić w nim kilka legionów. On również jednak nie zlikwidował umocnień zbudowanych ongi przez cezarian. które zostały obecnie otoczone przez nowe, obszerniejsze wały. Tym samym powstał szczególnie warowny bastion, w którym okopy zewnętrzne chroniły dodatkowo fort wewnętrzny. Usypano też wał prowadzący do płynącej w pobliżu rzeki, tak aby zapewnić stacjonującym w nim żołnierzom bezpieczny dostęp do wody.

Później jednak, z nieznanym nam przyczyn, również Pompejusz nakazał swym oddziałom opuścić obóz, tak że przez dłuższy czas stał on pusty, pozbawiony jakiegokolwiek załogi, ale umocnienia zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne pozostały nienaruszone, w doskonałym stanie.

Trudno dociec, z jakiego powodu Pompejusz postanowił po rozbiciu lewego skrzydła linii Cezara wysłać do niego całkiem silną

załogę. Może przewidywał, że Cezar ponownie podejmie jakieś próby oblężenia go na nowej pozycji i zawczasu postanowił utrudnić mu to, poszerzając, tak jak poprzednio, zajęty przez siebie teren? A może chciał zmusić go w ten sposób do odejścia, grożąc atakiem na nowy obóz cezarian z dwóch stron? Oba rozwiązania są możliwe do przyjęcia, gdyż stary obóz od nowego (chodzi oczywiście o obóz Pompejusza) dzieliła niewielka odległość, zapewne około dwóch, może trzech kilometrów.

Dociekanie przyczyn decyzji Pompejusza ma zresztą niewielkie znaczenie, gdyż nie miało to wpływu na rozwój wypadków w tym dniu. Ważne jest jedynie to, że Cezar po otrzymaniu informacji o zajęciu bastionu przez legion wojsk Pompejusza, potwierdzonej następnie przez obserwatorów z wyżej położonych fortów, podjął natychmiastową decyzję zaatakowania go i zniszczenia wprowadzonej tam załogi.

Była to spontaniczna decyzja, bardzo charakterystyczna dla Cezara, miała jednak realne szanse na powodzenie, bowiem podejmując ją dysponował w tym momencie silnym zgrupowaniem piechoty liczącym aż 35 kohort oraz całą jazdą. Była to siła, która mogła zapewnić sukces w starciu z dziesięcioma kohortami pompejan.

W skali operacyjnej sukces ten nie miałby większego znaczenia, mógł jednak wpłynąć na poprawę atmosfery w armii. A nie była ona zapewne najlepsza. Przedpołudniowa porażka i wyjście Pompejusza z oblężenia spowodowało na pewno pogorszenie nastrojów wśród cezarian. Nie tylko dlatego, że oznaczało to zaprzepaszczenie ich wielotygodniowej, ciężkiej pracy, ale również dlatego, że jej konsekwencją mogło być przedłużenie wojny, której, jak wiemy, wszyscy od dawna mieli już serdecznie dość.

Jak zwykle u Cezara, droga od pomysłu do jego realizacji była bardzo krótka. Nie tracąc czasu na dalsze rozmyślenia wyprowadził z obozu 33 kohorty. Dwie kohorty pozostały na miejscu, aby pozorować prowadzenie dalszych prac przy umocnieniach. Chodziło oczywiście o to, aby wprowadzić w błąd obserwatorów nieprzyjaciela.

Podstęp się udał i kohorty prowadzone przez Cezara dotarły do

celu, zanim ktokolwiek w obozie Pompejusza zorientował się w sytuacji. Znając zwyczaje oficerów Pompejusza i towarzyszących mu rzymskich polityków, można zresztą być prawie pewnym, że świętowano tam już poranny sukces i nie zwracano baczniejszej uwagi na poczynania nieprzyjaciela.

Cezar ustawił swe oddziały u podnóża wału w dwie linie i rozpoczął atak lewym skrzydłem, którym dowodził osobiście. Kto dowodził skrzydłem prawym, tego nie wiemy. Cezarianie dość szybko wdarli się na wał, wyrąbali mimo oporu przeciwnika pobliską bramę i zdobyli obszar większego obozu.

Potem, idąc rozperdem, zaatakowali wały mniejszego, wewnętrznego fortu, za który schroniły się rozbite kohorty pompejan. Po krótkim oporze zostały one również sforsowane i rozpoczęła się walka wewnątrz szanców, w której pompejanie, liczebnie znacznie słabsi, nie mieli żadnych szans.

Lewe skrzydło odniosło więc błyskawiczny sukces, zdobywając wały obu obozów i zadając spore straty nieprzyjacielowi przy raczej minimalnych stratach własnych, gdyż zaskoczeni pompejanie, przytłoczeni przewagą atakujących i pozbawieni wsparcia w postaci machin miotających pociski i łuczników, stosunkowo szybko opuścili wały. Walka w obozie zdawała się więc zbliżać do zwycięskiego dla Cezara końca.

Gorzej sytuacja wyglądała na skrzydle prawym, które pogubiło się zupełnie. Nieznający terenu cezarianie wzięli wał prowadzący do rzeki za szanę obozu i idąc wzdłuż niego, szukali bramy. Gdy wreszcie zorientowali się w pomyłce, przekopali się przez wał i przeszli na drugą stronę. Za nimi ruszyła cała konnica Cezara.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy prawe skrzydło cezarian odnalazło wreszcie drogę do okopów obozu, a w małym, wewnętrznym forcie trwała jeszcze walka, w oddali pojawiła się wreszcie konnica nieprzyjaciela i pięć legionów piechoty prowadzonych (prawdopodobnie osobiście) przez Pompejusza.

Nadchodzącą odsiecz zobaczyły równocześnie obie strony i nagle sytuacja uległa pełnemu odwróceniu, a wydarzenia zaczęły toczyć się z szybkością lawiny. Konnica Cezara, widząc zbliżających się jeźdźców Pompejusza, zaczęła wycofywać się szczytem

wału, a wreszcie bojąc się, że zostanie zaatakowana w niewygodnej dla niej sytuacji przez przeważającą liczebnie jazdę nieprzyjaciela, rzuciła się do ucieczki.

W ślad za nią poszła piechota prawego skrzydła, która, wciśnięta w kąt utworzony przez szańce obozu i wał prowadzący do wody, znalazła się w bardzo niewygodnej pozycji, na której mogła zostać otoczona i zniszczona przez nadchodzących pompejan.

Początkowo kohorty zapewne zachowując pewien ład wycofywały się tą samą drogą, którą przeszły na drugą stronę, a więc przez rozkopany fragment wału. Później jednak w tym Wąskim miejscu powstał ścisk i chaos, nad którym nie umieli zapanować dowódcy legionów i kohort. Uciekający tratowali się nawzajem, a to jeszcze dodatkowo pogłębiało panujące rozprężenie i panikę.

Wielu żołnierzy, widząc rejteradę własnej konnicy, bojąc się, że utkną w ścisku i nie zdążą uciec na drugą stronę, zaczęło po prostu skakać z nasypu wysokiego na około 2,5–3 metry do fosy. Skok z takiej wysokości raczej nie mógł skończyć się pomyślnie, zwłaszcza że na tych, co znaleźli się na dole, spadali następni; „pierwszych zdeptano, następni po ich ciałach zdobywali sobie drogę do ocalenia” – tak Cezar w swoim stylu, sucho i pozornie bez osobistego zaangażowania, relacjonuje to, co stało się z żołnierzami jego prawego skrzydła. Czytając te słowa można sobie jednak wyobrazić tę pełną dramatyzmu, wstrząsająco tragiczną scenę zagłady ogarniętych panicznym strachem ludzi. Wiemy zresztą z innych relacji, że później w fosie tej znaleziono stosy trupów, podobnie zresztą jak i nad brzegiem rzeki.

Trudno jednak zrozumieć, dlaczego tych doświadczonych żołnierzy, tworzących najlepszą na świecie piechotę, opanowała tak wszechogarniająca, zaślepiająca i odbierająca rozum panika. Bo, prawdę mówiąc, nic groźnego dla nich, jak na razie przynajmniej, się nie działo. Legiony Pompejusza były jeszcze stosunkowo daleko i wcale nie kwapiły się z atakiem. Nawet jego jazda postępowała naprzód raczej ostrożnie i powoli. Ale, jak wiemy, reakcji tłumu przewidzieć ani racjonalnie wytłumaczyć się po prostu nie da, a w tym momencie prawe skrzydło grupy Cezara przestało być już zorganizowanym oddziałem wojskowym, podległym dyscyplinie

i słuchającym rozkazów dowódców, a stało się po prostu ogarniętym paniką tłumem. Zapewne duża w tym wina tychże dowódców, którzy utracili kontrolę nad żołnierzami i nie próbowali jej odzyskać nawet poprzez zastosowanie najbardziej rygorystycznych środków.

Nie lepiej zresztą działo się również z żołnierzami na lewym skrzydle, którymi dowodził osobiście Cezar. Tam również zauważono maszerujące legiony Pompejusza, żołnierze zaczęli więc obawiać się, aby nie zablokowały im one drogi odwrotu. W dodatku nadchodząca odsiecz natchnęła odwagą resztki legionu, który bronił się w wewnętrznym forcie. Sformowany obecnie na nowo przez swych dowódców, przeszedł do zdecydowanego kontrataku i zaczął wypierać cezarian z wewnętrznego fortu.

Postawieni w bardzo trudnej sytuacji, bojąc się, że zostaną zmuszeni do walki na dwa fronty z przeważającą liczbą wroga i widząc równocześnie, co dzieje się z prawym skrzydłem, żołnierze tych kohort również ulegli zupełnej panice i zaczęli uciekać na oślep, traktując się nawzajem. Cezar próbował ich zatrzymać, tłumaczył, że legionieści Pompejusza są jeszcze daleko, odwoływał się do ich odwagi, honoru, poczucia obowiązku wobec niego i wobec znaków legionowych. Wszystko na nic. Nikt go nie słuchał, odtrącano go, popychano, łżono. Nawet chorążowie, stanowiący przecież elitę wojska, nie potrafili opanować się i porzucali powierzone im sztandary, gdyż przeszkadzały im w ucieczce (tylko chorążym jednej kohorty wyniósł z tego zupełnego chaosu swój sztandar).

Praktycznie w tym momencie trzon armii Cezara przestał istnieć. Żołnierze przestali być żołnierzami, a stali się bezładnie uciekającym tłumem, którego demoralizacja posunęła się tak daleko, że jeden z uciekających podniósł nawet broń na próbującego go zatrzymać Cezara i pewnie byłby go zabił, wyręczając Pompejusza i kończąc tym samym wojnę domową, gdyby nie uprzedził go żołnierz ze straży przybocznej Cezara i nie odciął mu ciosem miecza ramienia. Jak widać, przynajmniej ta elitarna jednostka zachowała jednak spokój i rozsądek, a jej żołnierze pamiętali o swych podstawowych obowiązkach.

Bezładna ucieczka zakończyła się dość szybko, gdyż droga do własnych szańców nie była daleka i bezładny tłum, praktycznie

przez nikogo nie atakowany, wpadł wreszcie do własnego obozu. Nie oznacza to jednak, że znalazłszy się pod osłoną szańców ludzie ci uspokoili się i na powrót stali się karnymi żołnierzami. Bynajmniej! Część z nich, chwytając co się dało ze swego dobytku, chciała uciekać dalej, część zaś stała bezczynnie, nie słuchając zupełnie rozkazów Cezara i pozostałych dowódców. Nikt nie chciał stanąć na wałach, nikt nie chciał bronić obozu. Po prostu nikt nie chciał walczyć. Wszystko nadal pozostawało w zupełnym chaosie i rozprężeniu.

Gdyby w tym momencie Pompejusz, który miał przecież przy sobie pięć legionów, zdecydował się na atak, wówczas bez żadnego trudu, bez żadnych strat zdobyłby niebronione fortyfikacje, wziął do niewoli lub wyciął znajdujący się wewnątrz tłum i tym jednym uderzeniem definitywnie zakończyłby całą wojnę domową.

Pompejusz tego jednak nie uczynił. Ściągnął wszystkie legiony z pola i powrócił do swego obozu. Appian twierdzi w swej *Historii rzymskiej*, że skłonił go do tego „przez boga chyba zaślepiony Labienus”, który obawiał się ponoć zasadzki. Jeśli to prawda, to ten nieżyczliwy Labienusowi bóg odebrał przy okazji również wzrok i rozum Pompejuszowi.

O jakiej bowiem zasadzce mogła w tej sytuacji być mowa? Czyż znajdujący się w niewielkiej odległości pompejanie nie widzieli uciekającego na oślep tłumy? Nie widzieli porzuconych sztandarów? Nie widzieli stosów stratowanych na śmierć ludzi? Przecież żołnierze i centurionowie legionu, broniący zajętego fortu, obserwowali osobiście dramat i zagładę prawego skrzydła zgrupowania Cezara. Nikt przy jako tako zdrowych zmysłach nie mógł mieć żadnych wątpliwości i złudzeń co do sytuacji, jaka zaistniała w armii Cezara. Kto więc w tej sytuacji miał założyć pułapkę i na czym miała ona polegać???

Nikomu do tej pory nie udało się znaleźć odpowiednio i zadowalająco umotywowanej odpowiedzi na pytanie, dlaczego Pompejusz nie wykorzystał tej sytuacji. Przecież ostateczne, definitywnie kończące wojnę domową zwycięstwo miał dosłownie i w przenośni na odległość wyciągniętej ręki. Nie starajmy się znaleźć odpowiedzi i my, gdyż byłyby to jedynie puste, nic niewnoszące spekulacje.

Wzorem Appiana zadowolmy się więc stwierdzeniem, że wszystkiemu winny był jakiś niezycliwy pompejanom, a sprzyjający Cezarowi bóg.

Ostatecznie jednak dzień 6 lipca zakończył się dla Cezara i jego armii dotkliwą klęską. Łącznie w obu bitwach zginęło około 990 jego żołnierzy, w tym 32 centurionów i aż 4 trybunów wojskowych. Utracono 32 sztandary, a uratował się, jak pamiętamy, tylko jeden. Większość strat spowodowana była jednak nie przez pompejan w trakcie walk, lecz w wyniku bezładnej ucieczki i stratowania przez towarzyszy.

Pompejusz po tym dniu został obwołany przez swoją armię imperatorem. Był też bardzo chwalony zarówno przez współczesnych i późniejszych, również dzisiejszych autorów. Na przykład polski autor biografii Cezara Aleksander Krawczuk pisze, że „w dniu 6 lipca Pompejusz dowiódł, że jego sława wielkiego wodza była zasłużona” ³¹.

Można się z tym zgodzić jedynie częściowo. Jak wiemy, w dniu 6 lipca pod Dyrrachium stoczono dwie w praktyce odrębne bitwy. Pierwsza odbyła się w godzinach przedpołudniowych i przyniosła Pompejuszowi, twórcy planu, w pełni zasłużony sukces, choć oczywiście część zasług należy przypisać jego realizatorom, czyli dowódcom dwóch działających w oddaleniu, a więc w pełni samodzielnych grup uderzeniowych, którzy zrealizowali go z godną podziwu precyzją, a co najważniejsze, skutecznie.

Nie umniejsza zasługi Pompejusza nawet to, że stworzenie tego planu było możliwe tylko dzięki informacjom przekazanym przez obu dezertersów z wojska Cezara. Pompejusz potrafił bowiem docenić wagę uzyskanej informacji i twórczo ją wykorzystać, budując w oparciu o nią inteligentny, precyzyjny, a co najważniejsze, skuteczny plan, jemu więc przypada cała zasługa. Obniża natomiast jego ocenę jako głównodowodzącego to, że nie starał się rozwinąć osiągniętego tak łatwo powodzenia. W drugiej natomiast bitwie, stoczony w godzinach popołudniowych, zasług Pompejusza nie ma wiele. Wszczęta została ona z inicjatywy Cezara, w wyniku uzyskania przez niego przypadkowej informacji i z powodu jego niecierpliwej, nieznoszącej czekania natury. To bowiem ta przysłowiowa już

niecierpliwość Cezara kazała mu wykorzystać nadarzącą się okazję, aby jak najszybciej zatrzeć w swych żołnierzach złe wrażenie, jakie wywołała przedpołudniowa klęska.

Bitwę tę Cezar przegrał z kretelem w wyniku kilku popełnionych błędów, no i przede wszystkim z powodu nieoczekiwanej, niczym, prawdę mówiąc, nieuzasadnionej paniki, jaka ogarnęła wszystkich jego żołnierzy. Klęska ta obciążyła więc konto Cezara.

Podstawowym błędem Cezara było przede wszystkim to, że nie wystawił ubezpieczenia od strony nieprzyjacielskiego obozu, zaniebdanie o tyle dziwne i istotne równocześnie, że jak wiemy, główne siły pompejan znajdowały się w bardzo niedalekiej odległości, należało się więc liczyć z reakcją Pompejusza. Cezar nie może się w tym wypadku tłumaczyć brakiem sił, gdyż akurat w tej bitwie dysponował zdecydowaną przewagą (33 kohorty przeciw 10), mógł więc wyłączyć ich część i ustawić w miejscu, w którym szachowałyby nadciągającą odsiecz i opóźniły jej wejście do akcji, tak aby dać czas kohortom szturmującym obóz na zmianę frontu. Zwłaszcza że można było wzmocnić oddział osłonowy konnicą, która była zupełnie nieprzydatna przy zdobywaniu umocnień obozowych i tak naprawdę nie wiadomo, po co towarzyszyła prawemu skrzydłu. Z tego powodu znalazła się ona w miejscu wybitnie dla siebie niekorzystnym i odegrała bardzo negatywną rolę w bitwie, gdyż to jej ucieczka natychmiast po ukazaniu się konnicy wroga wywołała, na zasadzie efektu domina, panikę wśród piechoty najpierw prawego, a potem lewego skrzydła.

Cezara obciążyła również i to, że dopuścił do utraty łączności między lewym i prawym skrzydłem swego ugrupowania i zajęty zdobywaniem obozu przestał się interesować tym, co dzieje się z pozostałymi kohortami, niebiorącymi bezpośredniego udziału w walce.

Trudno oprzeć się również wrażeniu, że zawiedli pozostali dowódcy, oficerowie i podoficerowi różnych szczebli, którzy widząc chaos wkradający się do oddziałów i narastającą panikę, nie potrafili odpowiednio wcześnie i odpowiednio zdecydowanie temu przeciwdziałać.

Cezar poniósł za to wszystko karę. Jego armia również. Ale używając języka sprawozdawców sądowych, była to kara w możliwie

najniższym wymiarze, gdyż w tym dniu mógł ponieść druzgocącą klęskę, wojna mogła zostać zakończona, a on sam albo by zginął, albo, zawleczony do Rzymu, zostałby postawiony przed sąd i skazany na śmierć.

Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Wyraził to zresztą najdobitniej sam Cezar po powrocie do obozu, kiedy to powiedział: „Nieprzyjaciele byliby dzisiaj wojnę skończyli, gdyby mieli kogoś, kto umie zwycięstwo wykorzystać”.

Tym kimś nie był jednak na pewno Pompejusz, który z niewiadomych i zupełnie niezrozumiałych przyczyn nie podjął decyzji ataku na obóz Cezara. Złamał w tym momencie podstawową i starą jak historia wojen zasadę, że pokonanego przeciwnika należy w miarę możliwości rozbić zupełnie, tak aby wyeliminować go z walki raz na zawsze. Zasadzie tej hołdowali wszyscy wielcy wodzowie – Aleksander Macedoński, Hannibal, Karol Wielki, Napoleon, wreszcie sam Cezar. Dlatego to on przeszedł do panteonu historii jako wielki wódz, a nie Pompejusz. Prawdę mówiąc, decyzja przerwania walki i wycofania się do własnego obozu dyskwalifikuje zupełnie Pompejusza jako głównodowodzącego armią.

Reasumując i oceniając wydarzenia dnia 6 lipca można więc uznać, że Pompejusz sprawdził się na stanowisku, używając dzisiejszej nomenklatury, szefa sztabu (wcześniej również głównego kwartermistrza), ale zupełnie i beznadziejnie zawiódł jako wódz naczelny, i to zarówno w pierwszej, jak i drugiej bitwie. Do kompetencji szefa sztabu należy bowiem opracowywanie inteligentnych i skutecznych planów. On również przygotowuje ich realizację poprzez sformułowanie odpowiednio jasnych i precyzyjnych rozkazów dla oficerów mających dowodzić oddziałami biorącymi udział w planowanej operacji. Rola głównodowodzącego jest inna. Do niego należy podejmowanie decyzji w trakcie toczącej się już walki. Obserwując rozwój wydarzeń musi umieć podejmować decyzje „na gorąco”. Musi wiedzieć, kiedy należy operację przerwać, a kiedy rzucić wszystkie rezerwy i dążyć do osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa, nawet jeśli wiąże się to z mniejszym lub większym ryzykiem. Musi wyczuwać momenty przełomowe w bitwie i odpowiednio na nie reagować. Mówiąc po prostu, musi „czuć” bitwę. Przypo-

mnijmy sobie zresztą, co na ten temat mówił sam Cezar, oceniając postępowanie jednego ze swych legatów dowodzących w zastępstwie obozem cezarian w jednym z fragmentów walk pod Dyrrachium.

W związku z tym, że w armiach starożytności nie wykształcił się jeszcze taki podział ról, ówczesni wodzowie musieli posiadać równocześnie umiejętności i szefów sztabów, i głównych kwatermistrzów, no i wreszcie głównodowodzących, kierujących bezpośrednio bitwami. Niewielu z nich posiadało te trzy umiejętności równocześnie w odpowiednio wysokim stopniu, dlatego też niewielu zasłużyło na sławę wielkich wodzów. Pompejusz na pewno do nich nie należał!

Z tych mankamentów Pompejusza nie zdawał sobie zapewne sprawy w dniu 6 lipca i w dniach następnych ani on sam, ani też jego otoczenie. Wręcz przeciwnie, panowała tam niczym niezmaczona radość, wręcz euforia i pewność zwycięstwa, ostatecznego zwycięstwa. Cezarem i jego armią prawdę mówiąc przestano w ogóle się interesować (chyba że zastanawiano się nad rodzajem zemsty, jaką należy na nim wyrzucić).

Rozesłano za to tryumfalne listy do królów, wodzów i sprzymierzonych miast, a także do namiestników własnych prowincji, informując w nich o klęsce Cezara, no i wieszcząc bliski koniec wojny, zwycięski oczywiście dla Pompejusza.

Na naradach wojennych nie zastanawiano się nad wojną. lecz głównie radzono nad podziałem stanowisk po zakończeniu wojny, nad karami, jakie winny spaść na zwolenników Cezara, nad tym, jakie nazwiska należy umieścić na listach proskrypcyjnych itd.

Strojący się w togi obrońców praw i ładu społecznego pompejanie posunęli się nawet do zbrodni. Oto bowiem Labienus w zamian z swe usługi (ciekawe, czy zaliczał do nich również radę, aby nie atakować obozu Cezara?) „wytargował” od Pompejusza wszystkich jeńców, jakich wzięto w obu bitwach w dniu 6 lipca. Wyprowadził ich przed front wojska, wyszydził i zelżył, a następnie kazał ich wszystkich stracić.

Była to zbrodnia tym okrutniejsza, że popełniona na dawnych towarzyszach broni i podwładnych Labienusa, którymi dowodził

przez wiele lat w czasie wojny galijskiej. Była to również zbrodnia zupełnie bezsensowna, niczym nieuzasadniona, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że w sztabie Pompejusza liczone na to, że „wojsko Cezara przejdzie zaraz na jego (tj. Pompejusza – przyp. R.R.) stronę ze względu na dokuczający mu głód i upadek ducha spowodowany klęską”. Czyżby chciano cezarian zachęcić do tego, wysydzając i mordując ich kolegów?

FARSALOS

Odwrót spod Dyrrachium

Po klęsce poniesionej w dniu 6 lipca Cezar znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Plutarch twierdzi nawet, że pierwsza noc po klęsce była najstraszniejsza ze wszystkich, jakie przeżył w swym życiu.

Bezsenne godziny spędzone na rozmyślaniach w namiocie nie były jednak czasem straconym. Analizując sytuację i przyczyny klęski Cezar doszedł bowiem do słusznego wniosku, że wszystkiemu winna była podjęta przed około dwoma miesiącami błędna decyzja o oblężeniu Pompejusza. Podejmując ją nie wziął pod uwagę faktu, że wszystkie atuty miał w ręku jego przeciwnik; dysponował liczniejszą armią, zajmował korzystniejszą pozycję i w każdej chwili mógł liczyć na wsparcie floty niepodzielnie panującej na morzu.

Sytuacja dojrzała więc do natychmiastowej zmiany dotychczasowej taktyki, dlatego też w trakcie tej „nocy prawdy” powstał nowy plan. Zakładał on jak najszybsze opuszczenie Dyrrachium i odwrót w głąb Grecji, do Tesalii i Macedonii. Były to prowincje niezbyt jeszcze zniszczone wojną, zasobne w żywność, a co najważniejsze, przychylne Cezarowi. Taki przynajmniej wniosek mógł on wysnuć z faktu, że w poprzednich tygodniach odwiedziło jego obóz wiele poselstw wysłanych przez miasta Tesalii i Macedonii, które oferowały mu pomoc i sojusz.

Był jeszcze jeden argument przemawiający za przeniesieniem działań na teren Macedonii. Chodziło oczywiście o koncentrację sił.

Jak pamiętamy, Cezar trochę lekkomyślnie wysłał na teren Macedonii dwa legiony pod dowództwem Domicjusza Kalwinusa. Później na tym terenie pojawił się Mettelus Scypion, teść Pompejusza, który przyprowadził tzw. syryjskie legiony.

Obydwie armie działały na tym terenie już od dłuższego czasu, a powodzenie przechylało się raz na jedną, raz na drugą stronę, ostatecznie jednak Kalwinus odniósł sukces w starciu z Scypionem i był na dobrej drodze, aby wyprzeć go z Macedonii.

Cezar zamierzał więc jak najszybciej połączyć się z Kalwinusem i wspólnie ostatecznie pokonać Scypiona. Przewidywał jednak, jak się okazało słusznie, że Pompejusz nie pozostawi swego teścia na łasce przeciwników i pomaszeruje mu na pomoc. Było to również rozwiązanie korzystne dla Cezara, gdyż w takim wypadku nieprzyjaciel odsuwał się zarówno od swej bazy zaopatrzeniowej w Dyrrachium, jak i od floty. Można więc było mieć nadzieję, że pozbawiony zapasów i zagrożony głodem będzie wreszcie zmuszony stanąć do otwartej walki.

Aby jednak zrealizować te nowe, dalekosiężne plany, trzeba było przede wszystkim przewyciężyć nastrój załamania i klęski w armii. Cezar w trakcie tej zapewne bezsennej nocy zbyt dobrze pamiętał, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Na pewno miał przed oczami blade, wykrzywione przerażeniem twarze uciekających ludzi, i zdawał sobie sprawę, że musi spowodować, aby to stado tchórzy stało się na powrót wojskiem, armią podlegającą dyscyplinie i posłuszną swemu wodzowi.

Aby to osiągnąć, Cezar musiał jeszcze raz zaufać swej elokwencji i magicznemu wpływowi, jaki zawsze wywierał na swych żołnierzy. Gdy więc minęła już wreszcie ta koszmarna noc i zaczął się nowy dzień, ściągnięto wszystkie posterunki, zebrano całe wojsko i Cezar wygłosił przemówienie, w którym tradycyjnie już przypominał wszystkie odniesione wspólnie zwycięstwa i apelował, aby również i teraz nie upadali na duchu, gdyż jedna klęska nie przekreśliła jeszcze ich szans. To właśnie w trakcie tej mowy wygłosił wspomnianą już wcześniej maksymę: „Jeśli nie wszystko wypada pomyślnie, trzeba szczęściu dopomóc własnym wysiłkiem”.

Nie ma oczywiście potrzeby przytaczania całej mowy Cezara.

Wystarczy, jak sądzę, stwierdzić, że była ona, ku zaskoczeniu żołnierzy spodziewających się raczej gromów i kar, bardzo łagodna. Oczywiście Cezar odsunął od siebie jakąkolwiek winę za to, co się stało, ale niezbyt również ostro potępił swych słuchaczy, choć oczywiście wypomniał im wywołane przez nich zamieszanie i chaos. Ale, zdaniem Cezara, zawinił głównie przypadek i los. To on sprowadził na armię wszystkie nieszczęścia, chaos, panikę, a w konsekwencji tak bolesne straty.

Bardzo zręcznie natomiast mówca pominął zupełnym milczeniem zachowanie żołnierzy wobec niego. Nie wspomniał ani słowem o obelgach, wyzwiskach, odtrącaniu go przez uciekających, a nawet o próbie zabójstwa. Na te wydarzenia spuszczone po prostu zasłonę milczenia. Również kary, jakie Cezar wymierzył wojsku, były niezwykle łagodne; jedynie kilku chorążych zostało napiętnowanych i usuniętych ze stanowisk.

Cezarowi kolejny raz udało się oczarować swych słuchaczy i przywrócić dawną więź łączącą go z nimi. Żołnierze poczuli skruczę, ogarnął ich wstyd tak wielki, że podobno sami zażądali, aby wódz zastosował starodawne rzymskie prawo i skazał ich na dziesiątkowanie.

Wstyd ogarnął również dowódców (jak najbardziej słusznie, bo znaczna część winy za klęskę ich właśnie obarcza). Niektórzy z nich podobno sami prosili o karę degradacji. Ale Cezar nie zgodził się na żadną z tych propozycji zaostrzenia kar.

Odmówił również prośbie, aby pozostać na miejscu i wydać Pompejuszowi bitwę, mimo że wszystkie oddziały samorzutnie złożyły przysięgę, że „nie wycofają się z walki inaczej niż jako zwycięzcy”. Z taką decyzją wolał poczekać, aż armia otrząśnie się z przeżytych emocji po poniesionych ostatnio klęskach. Dlatego też pozostał przy powziętym w nocy planie odwrotu spod Dyrrachium.

W ciągu dnia opatrzone rannych i pochowano zabitych. Przygotowano również w tajemnicy do wymarszu tabory, które wyszły z obozu wczesnym wieczorem, gdy tylko zapadły ciemności, pod osłoną jednego legionu, i pociągnęły w kierunku Apollonii. Kilka godzin później, w środku nocy, w tym samym kierunku, wymaszerował trzon armii. Na miejscu pozostały jedynie dwa legiony straży

tylnej pod osobistym dowództwem Cezara.

Odwrót odbywał się głębokiej ciszy i bardzo sprawnie, tak że posterunki pompejan niczego nie zauważyły. Aby uniknąć jakiegokolwiek tłoku i zamieszania, wychodzące legiony korzystały z wszystkich bram obozu i dopiero poza obozem połączyły się w jedną kolumnę i pomaszerowały w tym samym kierunku, co i tabory.

Tuż przed świtem Cezar kazał dać sygnał zwyczajowo informujący o zwijaniu obozu i na czele dwóch legionów straży tylnej wyruszył za swoimi taborami i armią do Apollonii.

Mimo zupełnego zaskoczenia, Pompejusz stosunkowo szybko wyprowadził swe oddziały z obozu i ruszył w pościg, który jednakże okazał się początkowo mało skuteczny, gdyż nieobciążone taborami wojsko Cezara maszerowało bardzo szybko. Na miejscu, w Dyrrachium, pozostała silna załoga licząca 15 kohort. Jej dowódcą mianowany został Marek Katon, któremu powierzono również opiekę nad kasą wojskową.

Dopiero przy przeprawie przez mającą wysokie i urwiste brzegi rzekę Genusus, konnica Pompejusza dogoniła tylną straż cezarian. Doszło do starcia, w którym jazda Cezara wzmocniona przez czterystu przedchorągiewnych, owych „komandosów” jego armii, odparła atak, zadając przeciwnikowi ciężkie straty.

Nie był to jakiś wielki, znaczący w skali operacyjnej sukces, ale niewątpliwie było to bardzo ważne zwycięstwo. Przede wszystkim pozwoliło ono spokojnie i bez strat dokonać trudnej przeprawy przez rzekę o niewygodnych brzegach. Ponadto pozwoliło cezarianom odzyskać, chociaż częściowo, wiarę we własne siły.

Po przeprowadzeniu się przez Genusus obie armie zajęły swe dawne obozy w pobliżu Asparagium. Jednakże Cezar znów oszukał Pompejusza, gdyż ukrywszy piechotę w szańcach wysłał demonstracyjnie konne oddziały furazerów. Pompejanie, przekonani, że zamierza on dłużej tam pozostać, przygotowali się do spędzenia nocy w obozie. Część oddziałów wyruszyła po drzewo i furaz. Sporo też żołnierzy wyruszyło podobno w drogę do obozu pod Dyrrachium, po pozostawione tam bagaże. Zapewne jest to prawda, gdyż pompejanie, zaskoczeni odwrotem Cezara, byli nieprzygoto-

wani do wymarszu i ruszyli za nim w pościg, pozostawiając na starym miejscu znaczną część taborów.

Tymczasem jazda Cezara natychmiast po wyjściu powróciła do obozu tylną, niewidoczną dla przeciwników bramą. W przeciwieństwie do Pompejusza Cezar miał więc gotowe do wymarszu wojsko i w południe, bez przeszkód, jego armia ruszyła w dalszy pochód.

Mając rozproszoną armię, Pompejusz musiał pozostać na miejscu i czekać na powrót żołnierzy. Dzięki temu Cezarowi udało się oderwać od goniącego go przeciwnika na sporą odległość. Wprawdzie w następnych dniach Pompejusz próbował odrobić tę stratę, jednak bez powodzenia i ostatecznie zaprzestał pościgu. W armii pompejan jednak nie przejmowano się tym nadmiernie, nadal bowiem panowało tam przekonanie, że wojna jest już właściwie wygrana. Na jednej z porad wojennych Afraniusz (pokonany, jak pamiętamy, przez Cezara pod Herdą niefortunny wódz hiszpańskich legionów), wysunął nawet projekt, aby pozostawić Cezara w Grecji swemu losowi i korzystając z dobrej pogody przeprowadzić całe wojsko do Italii, w której właściwie nie było żadnych sił mogących stawić opór.

Plan Afraniusza zakładał następnie przejście do Galii i Hiszpanii i rozgromienie znajdujących się tam legionów Cezara. W tym czasie poczynania Cezara w Grecji powinna obserwować flota, która „miała trapić tułającego się i cierpiącego braki przeciwnika”³². Po odzyskaniu wszystkich prowincji, a zwłaszcza Rzymu i Italii, wzmocniona pod względem liczbowym armia Pompejusza miała powrócić do Grecji i tu ostatecznie rozgromić resztki oddziałów Cezara.

Pompejusz plan ten odrzucił, według Diona Kasjusza na skutek rady Labienusa, który uważał podobno, że właściwie wojna jest już zakończona, a zwycięstwo pewne, hańbą byłoby więc wycofywanie się z Grecji.

W konsekwencji obie armie nadal maszerowały w kierunku Macedonii, a obaj wodzowie mieli w zasadzie podobny cel – połączyć się z działającymi na tym terenie własnymi oddziałami – Pompejusz z syryjskimi legionami teścia, a Cezar z legionami Domicjusza Kalwinusa.

Pompejusz miał jednak łatwiejszą, a raczej krótszą drogę, gdyż bez żadnych przeszkód mógł maszerować na wprost, przez Kandawię, do Macedonii, natomiast Cezar musiał zboczyć do Apollonii, aby pozostawić tam rannych. Zamierzał również nałożyć kontrybucję na miasta tego rejonu, aby zdobyć środki finansowe na wypłatę żołdu.

Wydawało się również, że do Pompejusza zaczęło się wreszcie uśmiechać jego przysłowiowe już szczęście, gdyż legat Cezara, Kalwinus, z powodu braku żywności opuścił swój obóz leżący obok Scypiona i nic nie wiedząc o marszu Pompejusza ruszył w kierunku Heraklei leżącej obok... Kandawii. Szedł więc, jeśli można się tak wyrazić, wprost w paszczę lwa.

O kierunku marszu swego legata nie wiedział również Cezar, gdyż wysłannicy i jego, i Domicjusza mieli ogromne trudności z poruszaniem się po tym terenie, można sądzić, że po prostu byli zatrzymywani przez miasta lub wsie leżące na ich trasie. Do mieszkańców tych okolic dotarły już tryumfalne listy wysłane spod Dyrrachium przez Pompejusza, w których informował on Greków, że pobity Cezar ucieka po stracie prawie całej armii. Pod ich wpływem władze wielu miast zmieniły swe nastawienie i zaczęły zdecydowanie przechylać się na stronę domniemanego, ostatecznego zwycięzcy. A że poprzednio deklarowali się po stronie Cezara, to obecnie tym gorliwiej manifestowali swoją do niego wrogość!

Uśmiech losu bywa jednakże czasami fałszywy, a szczęście ostatecznie pozostało wierne Cezarowi. Oto bowiem Domicjusz, nie mogąc się skontaktować z Cezarem, o całej sytuacji został poinformowany przez... wrogów. Któryś z jego oddziałów zwiadowczych dość nieoczekiwanie spotkał się z Galami z otoczenia Roucillususa i Egusa (był to albo podjazd zwiadowczy, albo oddział furazerów). Dawni towarzysze broni z czasów wojny galijskiej przeprowadzili towarzyską rozmowę, w trakcie której Galowie opowiedzieli im o tym, co stało się pod Dyrrachium, a także o tym, że obie armie maszerują w kierunku Macedonii, a Pompejusz zbliża się właśnie do Kandawii.

To rzeczywiście dość niecodzienna sytuacja i trudno zrozumieć, co skłoniło Allobrogów do udzielenia przeciwnikom tak ważnej

informacji. Trudno przecież podejrzewać, że nie zdawali sobie sprawy z jej wagi.

Jakkolwiek by nie było, niedyskrecja Galów lub też ich poczucie więzi z dawnymi towarzyszami broni uratowała Domicjusza, który natychmiast zmienił kierunek marszu i w dniu 24 lipca 48 r. spotkał się z Cezarem w okolicy miasta Eginium.

Połączone wojska pomaszerowały w kierunku Gomphi³³, pierwszego od strony Epiru miasta Tesalii, które ongi, jak wiele innych miast, ofiarowało Cezarowi przez swoich posłów przyjaźń, sojusz i oczywiście wszystkie swoje zasoby.

Cezar miał więc prawo spodziewać się życzliwego przyjęcia i zaopatrzenia jego zmęczonego i wygłodzonego, a także trapionego przez niezidentyfikowaną zakaźną chorobę wojska w żywność i wszelkie inne zapasy³⁴.

Jednak wspomniane listy Pompejusza dotarły również do Gomphi i spowodowały diametralną zmianę w nastawieniu i władz, i ludności miasta. Gdy więc cezarianie stanęli pod murami, miasto zamknęło swe bramy, a do Pompejusza i Scypiona pomknęli posłowie z prośbą o natychmiastową pomoc.

Władze miasta popełniły jednak podstawowy błąd, nie biorąc pod uwagę faktu, że Pompejusz jest jeszcze zbyt daleko od Tesalii i w danej chwili nie można się od niego spodziewać pomocy. Rozczarowany Cezar nie zamierzał natomiast ani czekać, ani pertraktować z nikim, ani też kierować się w swym postępowaniu tak często podkreślaną łaskawością i wyrozumiałością. Ostatecznie to byli tylko Grecy, a nie Rzymianie...

Po przybyciu w godzinach porannych pod Gomphi, Cezar wydał rozkaz rozpoczęcia natychmiastowego przygotowania sprzętu oblężniczego, a następnie wygłosił do żołnierzy przemowę, w której oświadczył im, że jeśli zdobędą miasto przed nadejściem posiłków, to wszystko, co posiadają jego mieszkańcy, stanie się ich własnością. A że miasto jest zasobne w żywność i wszelkie bogactwa, więc wraz z jego zdobyciem skończą się ich dotychczasowe kłopoty.

Można sobie wyobrazić, z jakim entuzjazmem żołnierze przyjęli te słowa! Wizja niczym nieograniczonego rabunku, możliwości najedzenia się wreszcie do syta, a także innych rozkoszy, jakie cze-

kały ich za murami, tak bardzo dodała im sił, że wcale mocno ufortyfikowane miasto zostało zdobyte w kilka godzin, jeszcze przed zachodem słońca. Potem zaczęła się nieokiełznana grabież i gargantuiczne żarcie. A że miasto było obficie zaopatrzone w wino, wszystko skończyło się równie gigantycznym pijaństwem, tańcami, pochodami, jednym słowem klasycznymi bachanaliami. Gdyby więc Pompejusz kontynuował pościg i nadszedł w porę, to zapewne miałby następną szansę na pokonanie wroga. Ale Pompejusz zupełnie lekceważył Cezara, pozostawił więc Gomphi swemu losowi.

Pijaństwo wyszło, o dziwo, na zdrowie cezarianom, gdyż, jak informuje nas Plutarch, „położyło kres ich chorobie; dolegliwości fizyczne zupełnie ustąpiły i zdrowie ich wróciło do pierwotnego stanu”. Rację, jak widać, mają ci, którzy twierdzą, że wino jest dobre na wszystko.

Spod Gomphi Cezar ruszył na Metropolis, które również otrzymało pisma Pompejusza i również zamierzało bronić swych murów. Jednak relacje jeńców z Gomphi, których Cezar przyprowadził ze sobą i którym pozwolił opowiedzieć pobratymcom o losie swego miasta i swoim własnym, diametralnie zmieniły stanowisko mieszkańców. Bramy miasta zostały gościnnie otwarte i cezarianie weszli w jego mury bez żadnych przeszkód. W rewanżu Cezar narzucił swemu wojsku ostrą dyscyplinę, obyło się więc bez jakichkolwiek incydentów.

Wieści o losie Gomphi i o zachowaniu się Cezara wobec uległego Metropolis przekreśliły propagandowe znaczenie listów Pompejusza. Mieszkańcy Tesalii zrozumieli, że mimo klęski pod Dyrrachium Cezar nadal stanowi groźną siłę, a na Pompejusza i Scypiona nie ma co liczyć. Nic więc dziwnego, że wszystkie miasta tej prowincji przypomniały sobie o dawnych poselstwach i zapewnieniach o przyjaźni i otworzyły przed cezarianami gościnnie swe bramy, dzięki czemu uniknęli losów Gomphi.

Być może żołnierze Cezara byli nieco zawiedzeni w nadziejach na nowe okazje do bachanalii, ale ze względów taktyczno-operacyjnych było to rozwiązanie wręcz doskonałe, znakomicie bowiem poprawiło sytuację zaopatrzeniową armii.

Wobec tych wydarzeń w Tesalii Pompejusz zachował zupełny

spokój. Jego wojsku niczego nie brakowało, gdyż, jak pisze Appian, dowożono mu żywność ze wszystkich stron. Z relacji tej wynika, że już poprzednio, przed przybyciem Cezara do Grecji, przygotowano bardzo sprawny system dostaw zarówno z magazynów lądowych, jak i z portów. Talenty kwatermistrzowskie Pompejusza były, jak widać, wysokiej próby.

Na terenie Tesalii połączyły się też wreszcie dwie armie – Pompejusza i jego teścia Scypiona. Z tą chwilą nastrój tryumfu w obozie optymatów osiągnął apogeum. Na naradach w sztabie układano na wiele lat naprzód listy konsulów. Kłócono się o majątki stronników Cezara. Nasiliły się również spory o przyszłe stanowiska. Do szczególnie ostrej kłótni doszło np. między Domicjuszem, Scypionem i Lentulusem Spintherem o godność arcykapłańską Cezara ³⁵.

Dalszym prowadzeniem wojny zajmowano się jedynie o tyle, że naciskano na Pompejusza, aby kończył ją jak najszybciej. Zarzucano mu wprost, że rozkoszuje się władzą, że bardzo pragnie naśladować Agamemnona, „króla królów” i mieć pod swą władzą senatorów, byłych konsulów i udzielnych władców sprzymierzonych państw. Mało znającym się na wojnie politykom było po prostu spieszo do Rzymu, do swoich willi i majątków (jeden z nich, Fawoniusz, szydł wykrzykiwał, że z powodu opieszałości Pompejusza znów tego roku nie będzie mógł jeść fig ze swych plantacji w Tuskulum).

Pompejusz przez kilka dni opierał się tym naciskom, uważał bowiem, częściowo zresztą słusznie, że skoro jego dotychczasowa taktyka przyniosła mu sukcesy, nie należy jej zmieniać. Uważał więc, że należy unikać starć, nadal odcinać Cezara od morza i źródeł zaopatrzenia i czekać spokojnie aż jego wygłodzona i zmarniała armia ulegnie bez walki.

W swym rozumowaniu Pompejusz nie brał jednak pod uwagę faktu, że na polach Tesalii zaczęły już dojrzewać zboża i problemy zaopatrzeniowe Cezara lada moment powinny się skończyć, a przynajmniej znacznie się zmniejszyć. Być może Pompejusz nie chciał tego zauważyć, gdyż po prostu obawiał się stoczenia walnej bitwy z Cezarem i jego weteranami, do której popychała go większość osób z otoczenia?

W miarę upływu czasu nacisk wzrastał, a nie zapominajmy

o tym, że w obozie Pompejusza znajdowała się większość rzymskich senatorów przynajmniej teoretycznie równych mu stanowiskiem, wielu wybitnych ekwitów, członków finansjery, a także mnóstwo królów i władców udzielnych. Ten „dwór” od początku pętał mu ręce i utrudniał podejmowanie samodzielnych decyzji, a obecnie pchał go do decydującej rozprawy z Cezarem.

Gwoli sprawiedliwości należy również wspomnieć, że w otoczeniu wodza było kilka osób, które były przeciwne staczeniu bitwy. Należał do nich między innymi M. Katon, który bolał nad stratami, jakie spowoduje ona wśród obywateli rzymskich. Zwolennikiem unikania starć był również Marek Tulliusz Cynceron, słynny pisarz, polityk i konsul wsławiony rozbiciem spisku Katyliny.

Początkowo, jeszcze w Italii, Cynceron namawiał obie strony konfliktu, Pompejusza i Cezara, do podjęcia rokowań, jego wysiłki okazały się jednak bezskuteczne wobec zdecydowanego sprzeciwu Pompejusza. Później jednak, gdy wizja pokojowego zakończenia wojny rozwiązała się ostatecznie, stał się on z kolei gorącym zwolennikiem unikania bitew i gnębienia Cezara podjazdami, odcinania go od źródeł zaopatrzenia itp. Podobnie jak Pompejusz, Cynceron bał się starcia z Cezarem i jego armią. Nie miał bowiem żadnych wątpliwości, że pompejanie są gorszymi żołnierzami od wiarusów Cezara. W miarę obserwowania toczącej się wojny zaczęło też w nim narastać rozczarowanie w stosunku do samego Pompejusza.

Lektura listów Cyncerona, adresowanych do różnych przyjaciół, zwłaszcza do Attyka, pozwala prześledzić interesującą ewolucję poglądów tego wybitnego polityka i myśliciela na temat zarówno Pompejusza, jak i kolegów ze stronnictwa optymatów. Początkowo uważał Pompejusza za najwybitniejszego wodza swoich czasów i szczerego obrońcę republikańskiego ustroju państwa. Później jednak pojawiły się wątpliwości wywołane przegraną wojną o Italię i beczynnością w czasie wojny hiszpańskiej.

Większość jednak osób znajdujących się w otoczeniu wodza należała do „jastrzębi”. Zresztą również Pompejusz nie był konsekwentny w swych planach. Na ogół starał się wprowadzić postępować ostrożnie, ale sukces pod Dyrrachium spowodował przypływ wiary we własne siły, w związku z czym wahał się między jedną

koncepcją a drugą.

Był to zresztą człowiek zbyt słaby psychicznie, aby mógł długo trwać przy swoim zdaniu wbrew opinii większości. Być może też bolała go podrażniona ambicja, gdy publicznie zarzucano mu opieszałość i kunktatorstwo? Z tych lub innych powodów Pompeusz w końcu uległ naciskom i ruszył w ślad za Cezarem w głąb Tesalii. Na początku sierpnia obie armie spotkały się na równinie pod Farsalos, wśród pól dojrzewającego zboża, które niewątpliwie cieszyły oczy żołnierzy Cezara.

Decydujące starcie

Tesalia jest ziemią położoną między górami Pindos na zachodzie a masywami Olimp, Ossa i Pelion na wschodzie. Już w starożytności miała ona charakter rolniczy, toteż zaopatrzenie się w żywność nawet tak dużych armii jak Cezara i Pompejusza nie stanowiło w Tesalii poważniejszego problemu. Uprawiano tam przede wszystkim pszenicę i jęczmień, a także winorośl, oliwki i drzewa cytrusowe. Słynęła również z hodowli, zwłaszcza koni (nic więc dziwnego, że w historii wojen greckich zapisała się szczególnie słynna jazda tesalska), bydła i owiec. Był to podobno również raj dla myśliwych.

Farsalos (obecnie Farsala), miasto położone nad rzeką Enipeus, stanowiło w starożytności ważny punkt strategiczny przy głównym przejściu do Grecji Środkowej. Na początku sierpnia w pobliże tego miasta dotarł Cezar ze swą armią i założył obóz u stóp jednego ze wzgórz opodal wspomnianej rzeki Enipeus. Kilka dni później pojawiła się pod Farsalos armia Pompejusza i założyła swój główny obóz w odległości około 5 km od pozycji Cezara.

Od dnia klęski pod Dyrrachium minął już prawie miesiąc i Cezar doszedł do wniosku, że jego żołnierze otrząsnęli się już z szoku wywołanego ówczesnymi wydarzeniami. Postanowił więc sprawdzić zamierzenia Pompejusza, a konkretnie jego gotowość do stoczenia walnej bitwy. Nie będąc jednak do końca pewnym nastrojów swej armii, postępował ostrożniej niż poprzednio, powoli oswajając

swych żołnierzy z myślą o konieczności stoczenia generalnej bitwy.

Zgodnie z tą nową taktyką pierwszego dnia ustawił swe szyki stosunkowo blisko własnego obozu, a w sporej odległości od obozu pompejan. Przeciwnik postąpił jeszcze ostrożniej, ustawiając swe oddziały dosłownie u stóp wałów obozowych. Pozycje zajęte przez obie armie uniemożliwiały w praktyce stoczenie bitwy, dlatego po kilku godzinach legiony wycofały się do swych obozów, nie podejmując żadnych działań.

W następnych dniach Cezar ustawiał swą armię coraz dalej od własnych szańców, wypróbowując odwagę swych żołnierzy i zachęcając przeciwnika do starcia. Jednak Pompejusz, zgodnie ze swą stałą taktyką unikania bitew w otwartym polu, nie dawał się sprowokować i wprawdzie również codziennie wyprowadzał swe oddziały poza obóz, ale ustawiał je niezmiennie w tym samym miejscu, pod osłoną obozowych umocnień i własnej artylerii, uniemożliwiając tym samym stoczenie bitwy.

Postawa Pompejusza w gruncie rzeczy była na rękę Cezarowi, gdyż widok tchórzliwie trzymającego się własnych umocnień nieprzyjaciela zdecydowanie poprawiał nastroje wśród jego żołnierzy. Dion Kasjusz twierdzi, że piechota Cezara na tyle w tych dniach odzyskała pewność siebie, że sama zaczęła domagać się walki, twierdząc, że woli „dzielnie to wszystko zakończyć niż dać się umorzyć głodem”. Widać problemy zaopatrzenia w żywność były niezależne od pory roku i pojawiały się nawet w „mlekiem i miodem płynącej” Tesalii.

Otwarte równiny wokół Farsalos stanowiły doskonały teren dla działań jazdy, toteż Cezar wykorzystał okazję, aby ćwiczyć, a raczej doskonalić współdziałanie tej formacji z piechotą. Utworzono w tym celu specjalny kilkusetosobowy oddział złożony z przedchorągiewnych, ludzi młodych i sprawnych, wyposażonych w broń lekko-zbrojnej piechoty (a więc bez ciężkiej zbroi piechoty legionowej, dzięki czemu mieli oni większą swobodę ruchu), których zadaniem było wspomaganie własnej jazdy.

Ten sposób walki Cezar podpatrzył u Germanów, z którymi jak wiemy zetknął się w trakcie podboju Galii, i z powodzeniem zastosował na polach pod Farsalos. Pozwoliło mu to w znacznym stopniu

zniwelować przewagę liczebną jazdy Pompejusza i odnieść sukces w stoczonej w tych dniach bitwie kawaleryjskiej, w której jazda Cezara współdziałając z „komandosami” odniosła sukces. Nie wiemy wprawdzie, jakie siły zostały zaangażowane po obu stronach, tym niemniej było to wydarzenie ważne, gdyż potwierdziło słuszność koncepcji Cezara i dodało pewności jego kawalerzystom. W starciu tym zginął jeden z braci, którzy swą dezercją i zdradą przyczynili się do sukcesu Pompejusza pod Dyrrachium. Niestety, nie wiemy który.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę, że Rzymianie na ogół nie przywiązywali większej wagi do swojej jazdy i mimo smutnych doświadczeń (choćby klęska Krassusa pod Karrhe czy też uprzednio w bitwie pod Kannami, a nawet ostatnio, Kuriona w Afryce w starciu z jazdą króla Numidii) traktowali ją jedynie jako siłę pomocniczą. Niezmiernie rzadko pojawiali się wśród nich dowódcy, którzy doceniali jej rolę, dzięki czemu odnosili zwycięstwa, jak chociażby Scypion pod Zamą. Cezar, który w trakcie wojny galijskiej zetknął się ze sposobem wojowania Galów i Germanów, dla których jazda była ważną bronią, należał do nielicznych dowódców zaczynających doceniać rolę jazdy, stąd próby jej wzmocnienia.

Po kilku dniach pobytu obu armii pod Farsalos, w trakcie których nie dochodziło do większych starć, w obozie cezarian znów zaczęło brakować żywności. Widocznie, mimo że był to początek sierpnia i żniwa w toku, zjedzono już całe zboże z pobliskiej okolicy, a sprowadzanie żywności z dalszych okolic natrafiało na trudności. Niewątpliwie cezarianie mieli gorszy system zaopatrzenia niż pompejanie. W tej sytuacji Cezar postanowił zwinąć obóz i odejść w dalsze okolice Tesalii w kierunku miasta Skotuzi. Wymarsz, zgodnie z wydanymi rozkazami, miał nastąpić w godzinach rannych 8 sierpnia 48 r. p.n.e.

W tym samym być może czasie, gdy cezarianie rozpoczęli przygotowania do likwidacji obozu, w namiocie Pompejusza odbyła się narada wojenna, w trakcie której poinformował on swój sztab i towarzyszących mu polityków o zamiarze wydania w dniu następnym Cezarowi walnej bitwy. Pompejusz nie ukrywał, że robi to na prośbę, wręcz żądanie towarzyszących mu oficerów i polityków,

a także pewnych oddziałów (jazda) i dlatego żąda od wszystkich w dniu następnym wyjątkowej dzielności i ofiarności.

Zapoznał też zebranych z planem bitwy. Zakładał on, że piechota prawego skrzydła, opartego o dość strome brzegi rzeki Enipeus, oraz centrum, wytrzymają pierwsze uderzenie legionów Cezara, natomiast bitwę rozstrzygnie uderzenie lewego skrzydła, na którym obok dwóch najbardziej doświadczonych legionów postanowił skoncentrować całą jazdę. To jej miała przypaść główna rola w odniesieniu zwycięstwa, gdyż to ona miała na samym początku bitwy wykonać potężne uderzenie na prawe skrzydło nieprzyjaciela i po przełamaniu jazdy przeciwnika wyjść na tyły wojsk Cezara. Pompejusz zakładał, że tego uderzenia piechota Cezara nie wytrzyma i pójdzie w rozsypkę, być może więc przeciwuderzenie własnej piechoty okaże się już zbędne. Po wodzu naczelnym głos zabrał Labienus, który wręcz entuzjastycznie chwalił zamiary wodza. W relacjach autorów, zwłaszcza współczesnych, wyczuwa się delikatną uszczypliwość, lekko zaznaczoną sugestią, że zachwyty Labienusa były, być może, w pewnym stopniu podyktowane chęcią przypodobania się dowódcy. To chyba niezupełnie słuszne podejrzenia, gdyż plan Pompejusza był rzeczywiście dobry (choć nie do końca wolny od wad, o czym za chwilę), gdyż zaproponowane przez niego ugrupowanie armii odpowiadało konfiguracji terenu i zmierzało do wykorzystania jego walorów. Wysoko też należy ocenić ideę manewru, który miał przynieść ostateczny sukces. Był on wzorowany na działaniach Aleksandra Macedońskiego (bitwy stoczone przez Macedończyka były w starożytności dokładnie studiowane i Pompejusz znał je niewątpliwie bardzo dobrze) i zakładał wykonanie decydującego uderzenia przez niewątpliwie najsilniejszą formację, w której pompejanie mieli zdecydowaną przewagę nad nieprzyjacielem.

Pamiętajmy, że jazda Pompejusza była zdecydowanie liczniejsza od jazdy Cezara (7000 do 1000). Była to również formacja elitarna, w której służył kwiat młodych arystokratów i ekwitów, dobrze wyposażona i nieźle wyćwiczona, choć niewątpliwie brakowało jej doświadczenia. Plutarch pisze wprost, że byli to jeźdźcy „wspaniale wyćwiczeni, przybrani w błyszczące zbroje, zaopatrzeni w pięknie utrzymane konie, dumni ze swego wspaniałego wyglądu i ze swej

liczby”³⁶.

Wprawdzie w ostatnich tygodniach wspaniała ta jazda poniosła kilka porażek (choćby w trakcie przeprawy przez Genusus, a także ostatnio na polach pod Farsalos) w starciu z mniej liczną, ale bardzo sprawną, doświadczoną, a w dodatku wspartą „komandosami” jazdą Cezara, nie wpłynęło to jednak na obniżenie morale kawalerzystów. Nadal przejawiali oni ogromną ochotę do walki i wprost naciskali na Pompejusza, aby zerwał z dotychczasową ostrożną taktyką unikania walk i „zagładzania” przeciwnika.

Wadą planu Pompejusza, która obniża ocenę, była jego jednowariantowość. Prezentując go Pompejusz nie wspominał np. o zadaniach, jakie zamierza powierzyć trzeciej, rezerwowej linii piechoty. Wynika z tego, że nie brał pod uwagę możliwości niepowodzenia i nie przewidział żadnych rozwiązań alternatywnych. Powinien był mu na to zwrócić uwagę Labienus lub któryś z pozostałych uczestników narady, zwłaszcza że byli to ludzie doświadczeni w sprawach wojennych, uczestnicy wielu kampanii, sprawujący niejednokrotnie samodzielne dowództwo. Czyżby nie zwrócili na to uwagi? Być może. Niewykluczone jednak, że po zwycięstwie pod Dyrrachium tak bardzo lekceważyli Cezara i, podobnie jak ich wódz naczelny, tak byli pewni sukcesu, że po prostu nie zastanawiali się nad tym problemem.

Rano, gdy w obozie cezarian zakończono prace związane z likwidacją obozu i zaczęto wyprawiać pachołków oraz zwierzęta juczne, a pierwsze oddziały piechoty ustawiały się już w kolumnach marszowych, zwiad doniósł Cezarowi, że oddziały Pompejusza wyszły z obozu i zajęły pozycje w większej niż zwykle odległości od wałów. Oznaczało to, że Pompejusz zdecydował się na stoczenie bitwy.

Reakcja Cezara była natychmiastowa; wstrzymał wymarsz swej armii, a sam udał się na rekonesans, którego wynik potwierdził informację zwiadu – nieprzyjaciel zajął pozycje umożliwiające stoczenie walki.

Szyk bojowy Pompejusza przedstawiał się następująco: na lewym skrzydle stanęły dwa legiony, które ongi Cezar oddał (po zaskarbieniu sobie ich wdzięczności nagrodami) na polecenie

senatu, aby po klęsce Krassusa wzmocnić obronę Syrii. Jak pamiętamy, Pompejusz zatrzymał je w Italii i wraz z nimi przeprowił się następnie do Grecji. Były to niewątpliwie najbardziej doświadczone legiony w armii Pompejusza, ale, jak pamiętamy z korespondencji Cyncerona, Pompejusz niezbyt im ufał. Być może jednak pozbył się już swych podejrzeń, a ponadto, zgodnie z jego planem, główną siłę tego skrzydła stanowiła jazda, a nie piechota. Dowodził nim, według Plutarcha, Lucjusz Domicjusz Ahenobarbus, ongi niefortunny dowódca załogi w Korfinium i sprzymierzeniec Marsylii. Natomiast dowództwo jazdy zgrupowanej na tym skrzydle Pompejusz powierzył T. Labienusowi. Biorąc pod uwagę ważność zadania, jakie miała spełnić ta formacja, można by wnioskować, że mimo wszystko Pompejusz uważał go nadal za swego najzdolniejszego i najbardziej doświadczonego oficera. Na skrzydle lewym znajdowało się również, zdaniem Cezara, stanowisko obserwacyjne Pompejusza. W centrum frontu stanęły tzw. legiony syryjskie przyproawdzone przez teścia Pompejusza, Scypiona, który też był nadal ich dowódcą. Natomiast na prawym skrzydle Pompejusz ustawił legion cylicyjski i kohorty hiszpańskie, przyproawdzone po klęsce w Hiszpanii przez Afraniusza. Dowodził nim były konsul Lucjusz Korneliusz Lentulus. Jak pamiętamy, skrzydło to opierało się o trudno dostępne brzegi rzeki Enipeus, która uniemożliwiała dokonanie manewru obejścia i zaatakowania z boku lub z tyłu. Pozostałe kohorty zostały ustawione w odstępach między skrzydłami a centrum. Szyk bojowy armii składał się z trzech linii. Każda z nich liczyła 10 szeregów, tym samym więc łączna głębokość szyku wynosiła 30 szeregów.

Niestety, nie możemy dokładnie ustalić liczby żołnierzy w armii Pompejusza pod Farsalos. Cezar twierdzi, że bezpośrednio w bitwie wzięło udział 110 kohort pompejan liczących łącznie 45 000 żołnierzy. Natomiast w obozie pozostała załoga pod wodzą Afraniusza licząca 4000 żołnierzy. Wynika z tego, że pod Farsalos Pompejusz dysponował armią złożoną z około 49 000 piechoty i 7000 jazdy. Liczby te w zasadzie znajdują potwierdzenie także w innych źródłach, a różnice dotyczą jedynie liczby piechoty i są niewielkie, rzędu 2–3 tysięcy (np. według Appiana Pompejusz miał w oddzia-

łach liniowych 44 000 żołnierzy piechoty legionowej, natomiast załogę obozu i fortów stanowiło 4000 legionistów). Appian wspomina jednak o dostępnych mu źródłach, z których wynikało, że na polach pod Farsalos starły się gigantyczne armie, liczące łącznie około 400 000 żołnierzy, z tego w armii Pompejusza aż 300 000. Są to jednak liczby zupełnie nieprawdopodobne.

Sprawa komplikuje się jednak, gdy chodzi o liczbę żołnierzy w oddziałach pomocniczych, towarzyszących legionom Pompejusza. Appian ich udział kwituje następującym zdaniem: „Po stronie Pompejusza stały natomiast w wielkiej liczbie wszystkie ludy wschodnie, jedni konno, inni pieszo, nadto z Grecji Lakończycy... i inni Peloponezyjczycy, a z nimi Beotowie”. W innym natomiast miejscu wymienia szereg innych narodów, których żołnierze stali pod Farsalos u boku Pompejusza (między innymi Trakowie, Bitynowie, Hebrajczycy, Cypryjczycy i inni). Nie brakło również podobno Ateńczyków, którzy początkowo wprawdzie zamierzali zachować neutralność, później jednak zdecydowali się wysłać chyba niezbyt liczny oddział, gdyż „pociągnęła ich sława, jako że walczyć będą w obronie rzymskiego imperium”. Niestety, Appian (podobnie jak i inni autorzy) nie wymienia liczby żołnierzy w oddziałach sprzymierzeńców, chyba dlatego, że – jego zdaniem – oddziały te nie odegrały w bitwie większej roli. Twierdzi nawet, że wojska sprzymierzone zostały ustawione „oddzielnie, jakby na widowisko”³⁷.

Po rozejrzeniu się w sytuacji Cezar powrócił do obozu, kazał podać sobie purpurowy płaszcz wodza rzymskiego i stanął na praetorium, co zgodnie z tradycjami rzymskimi było sygnałem do rozpoczęcia bitwy. Według Plutarcha żołnierze przyjęli tę zapowiedź z ogromną radością i natychmiast pobiegli po broń. Trudno się dziwić ich początkowemu entuzjazmowi, zwłaszcza jeśli pamięta się o tym, co pisał Dion Kasjusz, a mianowicie, że mieli dość ciężkich prac obozowych i pragnęli bitwy, która by wreszcie zakończyła tę wojnę.

Cezar pod Farsalos dysponował armią składającą się z około 22 000 piechoty legionowej (niektórzy autorzy twierdzą, że było jej nieco więcej, około 30 000) w osiemdziesięciu kohortach oraz 1000 kawalerzystów. Podobnie jak w przypadku Pompejusza nie jesteśmy

jednak w stanie podać liczby żołnierzy w oddziałach pomocniczych jego armii, choć było ich niewątpliwie znacznie mniej niż w armii Pompejusza. Dostępne źródła mówią o oddziale Galów z podbitej przez Cezara Galii Zaalpejskiej oraz o Grekach, Dolopach, Akarnanach i Etolach. W większości były to jednak zapewne oddziały najemne, a nie pomocnicze, np. w jeździe służyli przede wszystkim Galowie i Germanie.

Szyk bojowy armii Cezara przedstawiał się następująco: na prawym skrzydle stanął najlepszy niewątpliwie legion X oraz cała jazda wzmocniona „komandosami”, czyli przedchorągiewnymi z różnych legionów. Dowodził nim Publiusz Korneliusz Sulla, ale tu również znajdowało się stanowisko Cezara dowodzącego całością.

Lewe skrzydło frontu, oparte o brzeg rzeki Enipeus, tworzyły dwa legiony – XI i VIII. W związku z tym, że legion XI poniósł pod Dyrrachium znaczne straty, Cezar polecił, aby oba legiony stanęły bardzo blisko siebie, tworząc prawie jedną całość, i w trakcie bitwy ściśle z sobą współdziałały. Skrzydłem tym dowodził M. Antoniusz. Centrum natomiast utworzyły pozostałe legiony pod dowództwem Gnejusza Domicjusza Kalwinusa.

Podobnie jak Pompejusz, Cezar ustawił swe wojsko w trzy rzędy, traktując, jak zwykle w armiach rzymskich, rząd trzeci jako odwód ogólny armii, wykorzystywany najczęściej do wykonania w wybranym momencie decydującego uderzenia frontowego lub czasem oskrzydłającego.

Obserwując jednak ustawienie przeciwnika i starając się odgadnąć jego zamierzenia, Cezar zauważył, że na lewym skrzydle armii Pompejusza zgrupowano całą jazdę, obok której ustawiły się oddziały łuczników i procarzy.

To, że w tym momencie Cezar odgadł i odczytał plan przeciwnika, pozwala wystawić wysoką ocenę jego inteligencji. Tym jednakże, co po dzień dzisiejszy zdumiewa i budzi podziw teoretyków wojen, była reakcja Cezara – wycofanie z trzeciej linii po jednej kohorcie i stworzenie w ten sposób drugiego, specjalnego odwodu liczącego około 3000 żołnierzy. Ustawił ich za swym prawym skrzydłem, prawie prostopadle do linii frontu, tworząc w ten sposób dodatkowe zabezpieczenie dla zagrożonego odcinka frontu.

Żołnierzom tego odvodu Cezar polecił przygotować się do odparcia ataku jazdy, ostrzegając równocześnie, że od ich dzielności zależy wynik bitwy. Appian twierdzi, że poradził im atakować jeźdźców włóczniami w twarz, a nie w nogi, „bo młodzi i niedoświadczeni ludzie, dbający jeszcze o piękny wygląd, nie zniosą niebezpieczeństwa ciosów godzących w ich twarze”.

Pozostałym w trzeciej linii kohortom, a więc odwodowi ogólnemu, Cezar wydał rozkaz pozostania w miejscu i nie angażowania się w walkę aż do chwili, gdy we właściwym czasie da im wyraźny rozkaz.

Po ustawieniu się oddziałów na wyznaczonych miejscach Cezar tradycyjnym zwyczajem, przestrzegany pilnie w rzymskich armiach, wygłosił mowę. Appian twierdzi, że nakazał w niej żołnierzom nie troszczyć się o sprzymierzeńców Pompejusza (czyli wojska pomocnicze – przyp. R.R.), gdyż „są to niewolnicy z Syrii, Frygii i Lidii, zawsze gotowi do ucieczki z niewoli... Miejcie więc baczenie tylko na Italów, choćby sprzymierzeńcy niczym psy uganiaли się wokół nas i hałasowali”.

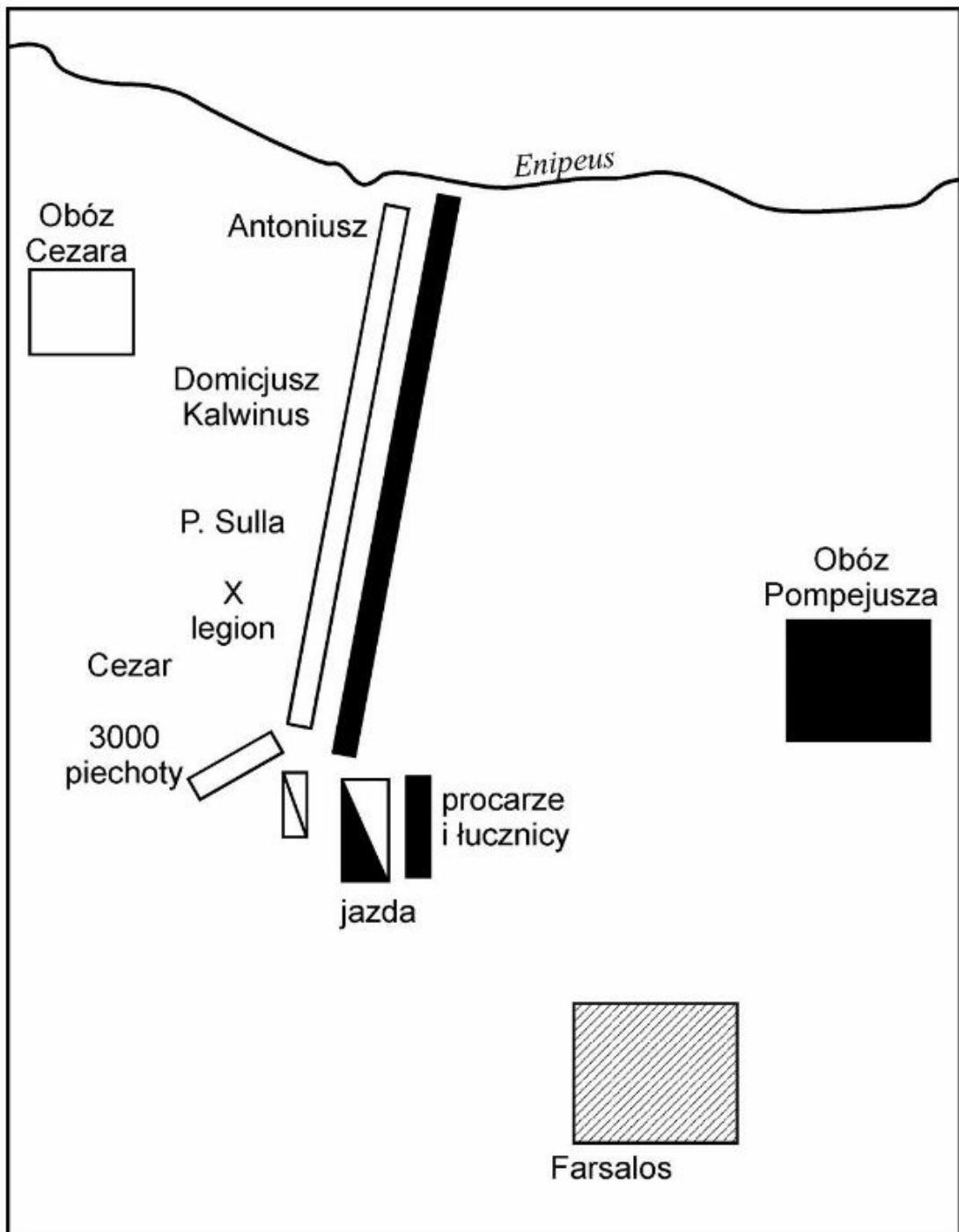
Sądzę, że ta wypowiedź rzuca pewne światło na problem, o którym wspominaliśmy już poprzednio, a mianowicie na liczbę żołnierzy w oddziałach pomocniczych Pompejusza. Z tego, że Cezar poświęca im tyle uwagi, można wnioskować, że budziły one respekt swoją liczebnością i Cezar pragnął w ten sposób, wyrażając swoje lekceważenie, uspokoić żołnierzy i dodać im otuchy.

W tym miejscu warto wspomnieć o pewnym charakterystycznym geście wykonanym przez cezarian przed opuszczeniem obozu. Mianowicie Cezar, przemawiając po raz pierwszy tego dnia, jeszcze przed wymarszem wojsk w pole przypomniał swym żołnierzom, że po klęsce pod Dyrrachium obiecali mu i obietnicę potwierdzili przysięgą, że zejść z pola walki jedynie jako zwycięzcy. Obecnie nadszedł czas realizacji tej obietnicy i dlatego nakazał im, zanim ruszą do boju, zniszczenie obwarowania obozu i zasypanie rowów, „abyśmy nie mieli dokąd się schronić, jeśli byśmy nie odnieśli zwycięstwa; niech nieprzyjaciele zobaczą, że nie mamy obozu i zrozumieją, że w ich obozie zmuszeni jesteśmy się rozłożyć”.

W obozie przeciwników zauważono ten gest i wielu wyższych

oficerów sądziło, że cezarianie przygotowują się do ucieczki. Pompeusz jednakże pojął jego symbolikę i ponoć zaczął żałować tego, że dał się nakłonić do bitwy, jednakże raz rozpoczętych przygotowań nie mógł już cofnąć. Podobnie jak ongi nad Rubikonem, raz rzucone kości potoczyły się dalej.

Wahania i rozterkę można zresztą wyczuć w przemówieniu, jakie również Pompeusz wygłosił do swych żołnierzy, zaczął bowiem od przypomnienia im, że to oni zmusili go do zgody na stoczenie bitwy zamiast kontynuowania dotychczasowej taktyki, która przynosiła same sukcesy. Powinni więc pokazać teraz wszystko, co potrafią i na co ich stać, zwłaszcza że mają znaczną przewagę liczbową nad przeciwnikiem. Dlatego „pogardzajcie nimi, jak pogardzają zwycięzcy pokonanymi, młodzi starcami i wypoczęci wyczerpanymi... Ruszajcie więc, jak tego sami żądacie, z dobrą otuchą do walki, mając przed oczyma ucieczkę ich spod Dyrrachium i te znaki bojowe, któreśmy w zwycięskim boju w jednym dniu na nich zdobyli”. Wydaje się, że słów tych nie trzeba komentować, mówią same za siebie!



Bitwa pod Farsalos. Plan wg Appiana z Aleksandrii

Przygotowania do bitwy, przemówienia, składanie ofiar itp. zakończyły się zapewne późnym przedpołudniem, jednakże obaj wodzowie zwlekali z daniem sygnału do walki, gdyż w armiach

początkowy nastrój radosnego podniecenia i żądzy walki minął zupełnie. Żołnierzy ogarnęła apatia, a nawet strach przed tym, co miało nastąpić, strach przed bratobójczą walką. Nawet gdy wreszcie odezwały się trąby bojowe (podobno pierwszy kazał dać sygnał Pompejusz), żołnierze po obu stronach linii frontu stali posepni, przygnębieni i, jak pisze Dion Kasjusz: „Wiele było trzeba, by serca ponownie podtrzymać na duchu”.

W armii Cezara dokonał tego wysłużony żołnierz, były setnik w X legionie Gajus Krastinus. Słyszając dźwięki trąb bojowych wyszedł przed szereg i krzyknął: „Za mną towarzysze, którzyście służyli w moim manipule. Spełnijcie powinność wobec wodza. Pozostaje tylko ta jedna bitwa; jemu zwróci ona cześć, a nam wolność”. Następnie, zwracając się bezpośrednio do Cezara, powiedział: „Dzisiaj, imperatorze, zasłużę na twoją wdzięczność – żywy albo umarły”. Po wygłoszeniu tych słów pobiegł w kierunku frontu armii nieprzyjacielskiej.

Można zaryzykować twierdzenie, że Krastinus zasłużył sobie na dozoną wdzięczność wodza już w tym momencie, nawet jeśli niczego więcej by w tej bitwie nie dokonał, gdyż to bardzo emocjonalne wystąpienie, wygłoszone przez prostego żołnierza, przełamało impas. Za Krastinusem ruszył oddział 120 ochotników (odpowiednik naszej dzisiejszej kompanii szturmowej), a za nimi całe prawe skrzydło i reszta armii.

Zdaniem Plutarcha, Cezar w pewnym stopniu sprowokował wystąpienie Krastinusa, gdyż przebiegając szeregi i starając się natchnąć swych żołnierzy ochotą do walki, zwrócił się do niego po imieniu i zapytał: „Gajuszu Krastiniuszu! Czego możemy się spodziewać? Jak tam z naszą odwagą?”. Wówczas zaszczycony zainteresowaniem wodza naczelnego Krastinus wygłosił cytowane słowa. Zapewne Plutarch ma rację, można też być pewnym, że szczęśliwy ten pomysł podsunęła intuicja Cezara.

Wystąpienie Krastinusa spowodowało, że jego nazwisko już na zawsze zapisało się w historii, ale dzień ten był, niestety, ostatnim dniem jego życia, gdyż w trakcie bitwy, przebijając się ze swą kompanią szturmową przez szeregi pompejan, zginął od uderzenia mieczem w usta ³⁸.

Armia Cezara ruszyła do ataku na całej długości linii, ale piechota Pompejusza pozostała bez ruchu na swych pozycjach. Stało się tak dlatego, że Pompejusz, wbrew rzymskim tradycjom, polecił legionom zrezygnować z biegu w stronę przeciwnika i pozostać na swych stanowiskach, aby w zwartych szeregach odpowiedzieć na atak nieprzyjaciela. Wprowadzając tę innowację Pompejusz spodziewał się, że cezarianie, pokonując podwójny dystans, zmęczą się i dobiegną do linii jego wojsk bez tchu (byli to przecież w większości ludzie w średnim wieku), już w szykach rozluźnionych. Pozwoli to z kolei jego młodym i mimo wszystko niedoświadczonym piechurkom wytrzymać pierwsze uderzenie wiarusów Cezara, zwłaszcza że — jak sądził — ich oszczepy (*pilum*) będą godzić z mniejszą siłą w stojących, niż wówczas, gdy obie linie biegną naprzeciw siebie. Pompejusz sądził również, że dzięki temu łatwiej będzie przejść do przeciwnatarcia, gdyż pompejanie będą atakowali w zwartych szykach rozproszonego przeciwnika.

Było to rozumowanie niewątpliwie słuszne i wskazywało na to, że i Pompejusz nie był kurczowo przywiązany do tradycji i potrafił odejść od obowiązujących reguł. Jednakże wyraźnie nie wziął pod uwagę wojennego doświadczenia cezarian. Gdy bowiem biegnący żołnierze spostrzegli, że pompejanie nie ruszają się ze swoich pozycji i czekają na nich w zwartych szykach, wówczas samorzutnie, bez rozkazów dowódców, najpierw zwolnili bieg, a następnie zatrzymali się, by po chwili odpoczynku ruszyć dalej krokiem szturmowym. Po zbliżeniu się na odpowiednią odległość rzucili w stronę wroga swe *pila* i wydobyli miecze. Pompejanie wytrzymali ten atak i w odpowiedzi również wyrzucili swe pociski, a następnie obie linie starły się w walce na miecze.

W czasie gdy legionieści zmagali się ze sobą na całej linii frontu, z lewego skrzydła ruszyła do ataku jazda Pompejusza. Zmasowana szarża dość szybko przełamała opór kawalerzystów Cezara, którzy początkowo wolno, a później coraz szybciej zaczęli cofać się, odsłaniając prawe skrzydło swej armii. Pełni euforii kawalerzyści runęli do przodu, pragnąc zgodnie z rozkazem wyjść na tyły walczącego tu legionu X.

Obserwujący przebieg bitwy Cezar, którego stanowisko dowo-

dzenia, jak pamiętamy, znajdowało się wraz z trzecią linią prawego skrzydła, wydał wówczas rozkaz wejścia do walki kohort drugiego odwołu. Ukrywały się one do tej pory za linią X legionu i pojawiły się nagle przed szarżującymi w pełnym galopie, pewnymi już sukcesu szwadronami Pompejusza.

W tym momencie dowodzący jazdą T. Labienus powinien był wydać szarżującym szwadronom rozkaz omińnięcia kohort i zaatakowania ich z boków i od tyłu. Tak się jednak nie stało, gdyż Rzymianie, lekceważący rolę jazdy na polu bitwy, nie mieli również wartościowych dowódców umiejących prawidłowo i skutecznie dowodzić szarżą kawaleryjską. Rozpędzone szwadrony kontynuowały więc atak, uderzając od czoła na kohorty piechoty używające swoich *pila* w sposób podobny do tego, w jaki obecna piechota używa bagnatów.

Cezar starcie swego drugiego odwołu z jazdą przedstawia następująco: „W lot się ruszyli i z taką siłą i zawziętością uderzyli na jeźdźców Pompejusza, że nikt nie dotrzymał pola: wszyscy, wykonawszy zwrot, nie tylko się cofnęli, ale porwani popłochem pierzchli w góry”. Nie wspomina wprawdzie o rozkazie uderzenia w twarze jeźdźców, a nie w ich nogi, ale z innych źródeł wiemy, że został on wykonany skrupulatnie i spełnił oczekiwane nadzieje. Przerażeni kawalerzyści uciekli, „zaprzepaszczając – jak pisze Plutarch – całą sprawę w sposób najbardziej sromotny”, pozostawiając na pastwę losu towarzyszące im oddziały łuczników i procarzy, a także odsłaniając lewe skrzydło piechoty Pompejusza.

W ten sposób zakończyła się pierwsza faza bitwy, decydująca o niepowodzeniu planu Pompejusza. W opinii Plutarcha, a jak wiemy z różnych przekazów, również samego Pompejusza, cała wina spada na zbyt delikatnych, wręcz tchórzliwych (Plutarch pisze, że „nie mieli odwagi posuwać się naprzód widząc żelazo przed oczami”) kawalerzystów. To chyba przesadnie krzywdząca opinia, gdyż nie tylko nieszczęśliwi kawalerzyści ponoszą winę za to, co się stało. Do kwestii tej będziemy mieli jeszcze okazję powrócić.

Druga faza bitwy rozpoczyna się od ataku kohort drugiego odwołu Cezara na łuczników i procarzy, którzy nie mieli żadnych szans w starciu z piechotą legionową, być może też wspartą jazdą,

która zapewne zdążyła już wrócić na plac boju, i po prostu wszyscy zginęli. Od tej chwili lewe skrzydło piechoty Pompejusza zostało zupełnie odsłonięte. Trudno odpowiedzieć, dlaczego w tym zwrotnym momencie bitwy Pompejusz pozostał zupełnie bierny nie wykorzystując czasu, który kohorty Cezara musiały poświęcić na walkę z łucznikami i procarzami, i nie rozkazał swej trzeciej linii wyjść na skrzydło i ruszyć do przeciwnatarcia.

W fazie trzeciej idące z pełnym impetem kohorty drugiego odvodu cezarian wspólnie z jazdą wyszły na tyły walczących dotąd w zwartych szykach pompejan i przystąpiły do ataku. Równocześnie obserwujący przebieg walki Cezar rzucił do akcji świeże, niezmućzone walką kohorty linii trzeciej, a więc pierwszego, ogólnego odvodu.

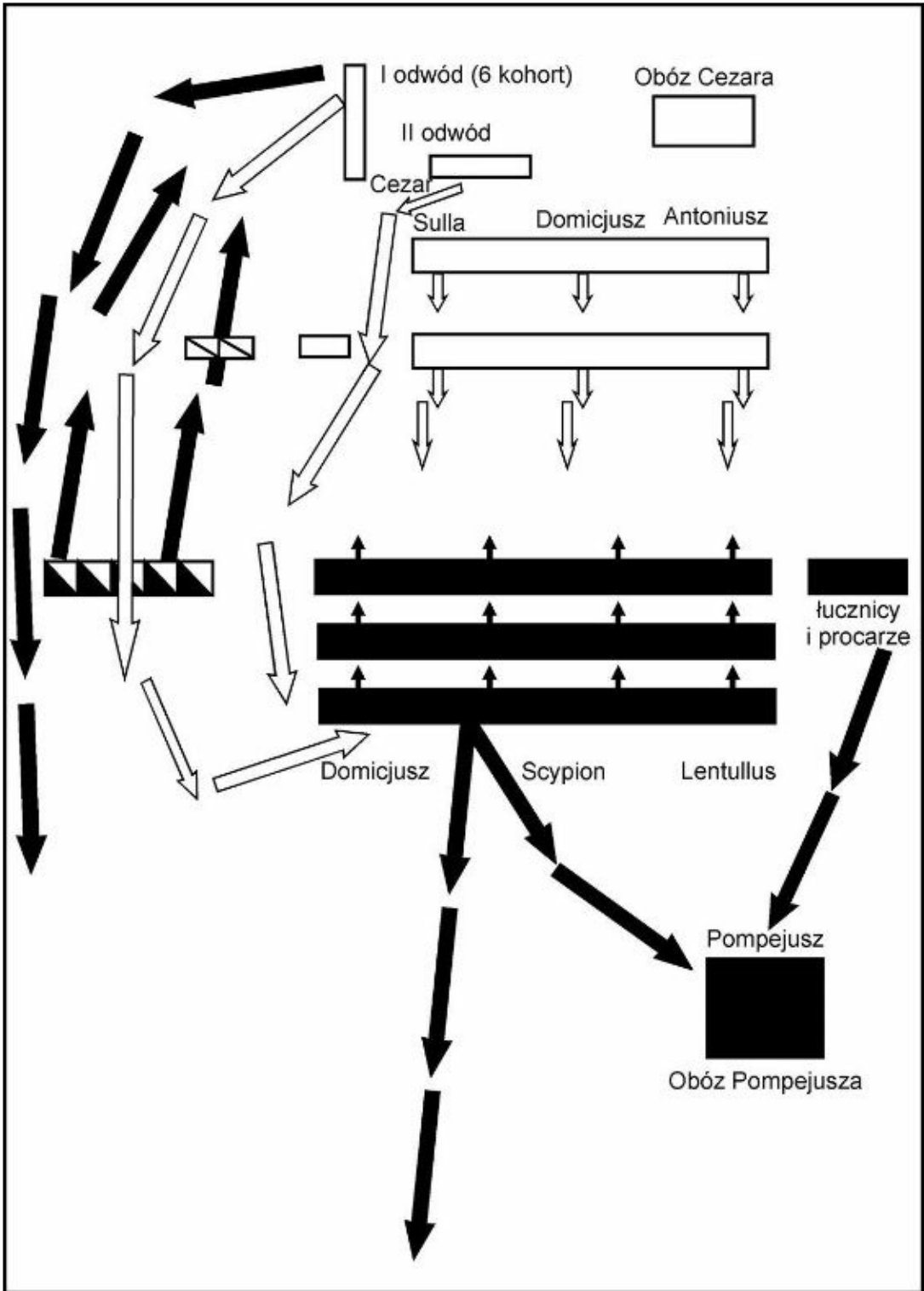
Kierunek ich natarcia nie jest do końca jasny, gdyż część autorów uważa, że odwód ten zasilił po prostu front bitwy. Innego zdania jest Appian, który twierdzi, że po sukcesie odvodu drugiego do akcji weszła trzecia linia X legionu z Cezarem (a nie zapominajmy, że zajmował on stanowisko w trzecim szeregu kohort), tak że „okrążył lewe skrzydło Pompejusza ogołocone z jazdy i stojących w miejscu ze wszystkich stron raził pociskami z boku, wreszcie uderzył gwałtownie na przerażonych i zmusił ich do ucieczki”. Szkoda, że problemu tego nie wyjaśnił sam Cezar w swych pamiętnikach, tym niemniej należy jednak — jak się wydaje — rację przyznać Appianowi. Cezar, w przeciwieństwie do Pompejusza, umiał zwyciężać i był zbyt wytrawnym dowódcą, by nie rozwinąć osiągniętego powodzenia i nie zaatakować odsłoniętego skrzydła i tyłów frontu armii Pompejusza.

Lewe skrzydło armii Pompejusza poniosło klęskę, ale centrum i prawe skrzydło stawiało jeszcze rozpaczliwy opór, bitwa na razie nie była więc przegrana. Gdyby nawet wówczas do kontrnatarcia ruszyła trzecia linia Pompejusza, to być może udałoby się, jeśli nie uniknąć klęski, to przynajmniej zmniejszyć jej rozmiary. Ostatecznie przecież obóz i chroniące go forty były niedaleko...

Jednakże, jak pamiętamy, Pompejusz przed bitwą nie wydał swemu odwodowi żadnych rozkazów. Nie zrobił tego również i w trakcie bitwy. Biernie obserwował przebieg wydarzeń, raczej jak

obserwator niż jak głównodowodzący, a w końcu, widząc klęskę swej jazdy i kohorty Cezara okrążające jego lewe skrzydło, wsiadł na konia i wzorem perskiego króla Dariusza przerażonego atakiem Aleksandra Macedońskiego, po prostu uciekł z pola walki do obozu (Plutarch przypuszcza, że wola bogów odebrała mu w tym momencie rozum).

Po przybyciu na miejsce wydał centurionom strzegącym jednej z bram rozkaz pilnowania obozu, a sam udał się do swego namiotu, gdzie siedział bez słowa, jak twierdzi Cezar, czekając na ostateczny rezultat bitwy. Takie zachowanie można rzeczywiście wyjaśnić jedynie ingerencją wyraźnie nieżyczliwych, wręcz złośliwych bóstw.



Bitwa pod Farsalos

W czasie gdy wódz naczelny medytował w swym namiocie, główny trzon jego armii stawiał jeszcze opór, coraz wyraźniej ustępując tryumfującym cezarianom, początkowo powoli, krok za krokiem, potem coraz szybciej. Panika ogarnęła jednak szeregi pompejan dopiero wówczas, gdy do ucieczki rzucili się sprzymierzeńcy krzyżąc „jesteśmy zwyciężeni”. Podobno wpadli do własnego obozu, między namioty, „jakby obce porywali i grabili, co tylko zdołali unieść ze sobą w ucieczce”.

Zdaniem Appiana Cezar kazał wówczas ogłosić heroldom, że od tej chwili nie należy atakować Rzymian, a uderzać tylko na sprzymierzeńców. Przyniosło to podobno zamierzony skutek – pompejanie zaprzestali walki i stanęli w miejscu, a cezarianie ich omijali i wycinali jedynie sprzymierzeńców.

Czy tak było rzeczywiście? Cezar o tym rozkazie nie wspomina, wręcz przeciwnie, pisze: „Uciekających pompejanów wpędzono między szançe. Cezar rozumiał, że nie powinno się dać im ani chwili na ochłonięcie z popłochu i wezwał żołnierzy, by korzystając z łaski losu brali szturmem obóz”. Również u Plutarcha brak wzmianki na ten temat...

Rozkaz dotyczący szturm na obóz jest zrozumiały i świadczy o tym, że Cezar nie zamierzał pod Farsalos powtórzyć błędu Pompejusza spod Dyrrachium, jednakże jego realizacja okazała się bardzo trudna, gdyż znużeni fizycznie żołnierze mieli dość walki (bitwa toczyła się w godzinach południowych w bardzo upalnym dniu) i marzyli jedynie o odpoczynku. Byli też początkowo głusi na wszelkie prośby, namowy, a nawet na argument, że jeśli nie zdobędzie się obozu, to cały wysiłek tego dnia pójdzie na marne, a zwycięstwo będzie jedynie jednodniowe. Impas przełamało dopiero powtórzenie gestu Krastinusa, tym razem przez samego Cezara. Widząc, że wszelkie błagania nie przynoszą skutku, sam, z wyciągniętymi rękami, pobiegł do przodu, jakby zamierzał samotnie zdobyć obóz i ostatecznie rozgromić wroga. Żołnierze, widząc przed sobą wodza, ubranego w szkarłatny płaszcz, biegnącego samotnie na szançe, wykrzesali z siebie resztki sił i ruszyli za nim.

Walka o szançe obozowe była krótka, choć, przynajmniej początkowo, dość zacięta, bowiem kohorty pozostawione jako

załoga, wsparte – o dziwo – przez sprzymierzeńców, zwłaszcza Traków (chyba jednak bijąca z relacji autorów rzymskich pogarda dla sprzymierzeńców nie do końca była uzasadniona) stawiały twardy opór. Nie mógł być on jednak skuteczny, gdyż przewaga atakujących była zbyt duża, zwłaszcza że w obronie w większości nie wzięli udziału żołnierze kohort liniowych, „przerażeni i wyczerpani, po większej części rzucili broń i sztandary i myśleli raczej o dalszej ucieczce niż o obronie obozu. A ci, co stali na szańcach, nie mogli dłużej wytrzymać śmy pocisków: okryci ranami, opuścili posterunek i nie oglądając się na nic, za przewodem setników i trybunów umknęli w wysokie góry, ciągnące się tuż koło obozu”.

Nie wziął również udziału w obronie obozu Pompejusz, który słysząc odgłosy walki przerwał wreszcie medytacje i powiedział: „A więc i do naszego obozu” (być może stanął mu wówczas przed oczami obraz cezarian rozkopujących przed walką wały swego obozu?), a następnie zrzucił zbroję, odznaki imperatora, dosiadł konia i z czterema towarzyszami umknął w stronę Larisy.

Zdobyty obóz kusił zwycięzców nieznanymi zupełnie w cezariańskim wojsku luksusami (Cezar opisuje namioty ocienione bluszczem, wyłożone świeżą murawą, mnóstwo sreber, a na nich czekające na zwycięzców – oczywiście pompejan – wytworne dania). Mimo to jednak Cezar nie pozwolił legionistom zająć się łupami, a także przygotowaną dla zwycięskich pompejan kolacją i zmusił ich do pościgu za grupą, która schroniła się w górach. Niestety, nie znamy liczby uciekinierów, musiała być jednak znaczna, gdyż Cezar wyraźnie obawiał się, że jeśli uda im się wycofać do Larisy i połączyć z Pompejuszem, to wojna rozpocznie się na nowo. To w jakimś stopniu przeczy informacjom, że pompejanie, zapewnieni przez heroldów o bezkarności cezarian, masowo poddawali się na polu bitwy.

Jakich tym razem argumentów użył Cezar w stosunku do swych zmęczonych, spragnionych i wygłodniałych żołnierzy, tego nie wiemy. Musiały być jednak skuteczne, gdyż wraz z nim w pościg ruszyły cztery legiony. Pozostałe na miejscu wojska zajęły się zdobywaniem fortów Pompejusza, a następnie część z nich wróciła do swego dawnego obozu, a reszta pozostała, jako załoga, w obozie

zdobytym.

Po kilku kilometrach oddział pościgowy dogonił wycofujących się nadal górskimi drogami pompejan. Na widok cezarian uciekinierzy zatrzymali się jednak i zaczęli umacniać na jednym ze wzgórz. Było to oczywiście na rękę Cezarowi, który natychmiast wydał rozkaz otoczenia go linią umocnień. Pompejanie nie dali się zamknąć w pułapce, porzucili rozpoczęte prace i kontynuowali marsz górami w kierunku Larisy. W tej sytuacji cezarianom nie pozostało nic innego jak również przerwać roboty i ruszyć w dalszą pogoń. Było późne popołudnie i upalny dzień już się kończył, zbliżała się noc, być może więc dlatego po przejściu około dziewięciu kilometrów pompejanie znów zatrzymali się.

Wówczas Cezar ustawił swe legiony w szyku bojowym, próbując skłonić przeciwników do zejścia z gór i stoczenia kolejnej bitwy, sam chyba jednak nie bardzo wierzył, że pompejanie odważą się na to.

Jak już wspomnieliśmy, nie znamy liczebności tej grupy, być może była liczniejsza niż oddział Cezara. Nie wiemy też, kto nią dowodził. Można być jednak pewnym, że po takiej klęsce, po panicznej ucieczce z pola walki i trudnym marszu górskimi bezdrożami, pompejanom nawet zapewne przez myśl nie przeszła możliwość kontynuowania walki. Zatrzymali się więc na kolejnym wzgórzu i rozpoczęli budowę kolejnego obozu. Ze względu na naturalną obronność miejsca byłby on zapewne trudny do zdobycia dla wyczerpanych piechurów Cezara, miał jednak jedną wadę – trudności z dostępem do wody, którą można było czerpać jedynie z małej rzeczki przepływającej obok pozycji cezarian.

Mimo że zapadła już noc, na rozkaz Cezara zmęczeni legioniści wzniesli wał między rzeką a górami, odcinając pompejan od wody. Naprawdę, można podziwiać niespożyte siły tych ludzi, a także magiczny wpływ, jaki wywierał na nich Cezar, który mimo tak ogromnego zmęczenia potrafił zmusić ich do kolejnego wysiłku.

Z analizy tekstu pamiętników Cezara wynika, że wał miał jedynie odciąć pompejan od wody. Niektórzy autorzy odczytali to jednak nieco inaczej i twierdzą, że celem prac było odwrócenie biegu rzeczki (strumyka?). To zresztą jest nieistotne. Ważne jest to, że

pompejanie zostali pozbawieni wody (po tak znojmym i upalnym dniu, po takim wysiłku!) i to spowodowało, że podjęli decyzję o kapitulacji. Z gór zeszli parlamentariusze (kilku senatorów, których nazwisk nie znamy, wykorzystało tę okazję i pod osłoną ciemności umknęło do Larisy), aby uzgodnić jej warunki. Cezar słusznie rozkazał im pozostać na wzgórzu i zejść dopiero rano. Nie wiemy jednak, czy kierując się tak wielokrotnie podkreślaną łaskawością pozwolił im zaopatrzyć się w wodę.

Wcześniej rano 10 sierpnia 48 r. resztki armii Pompejusza zeszły z gór i złożyły broń. Bitwa pod Farsalos dobiegła końca! Cezara spotkał jednak poważny zawód, gdyż wśród kapitulantów nie było żadnego znaczącego polityka czy oficera. Później, po powrocie do obozu dowiedział się, że 10 senatorów (a wśród nich jego najzacieźszy wróg Domicjusz Ahenobarbus, którego podobno zabili jeźdźcy w trakcie ucieczki, zanim zdołał dopaść zbawczych gór), zginęło w walce. Poległo również około 40 ważniejszych, zamożniejszych ekwitów. Reszta zdołała umknąć. Zwycięstwo Cezara pod Farsalos było zupełne i bezapelacyjne. Armia Pompejusza przestała istnieć. Cezar szacuje straty wroga na 15 000 zabitych i 25 000 wziętych do niewoli. Appian twierdzi wprawdzie, powołując się na Azyniusza Polliona, jednego z oficerów Cezara, że na polu walki znaleziono jedynie 6000 poległych, ale dodaje też, że, jedni podają z przesadą 25 000”. Prawda więc zapewne leżała gdzieś pośrodku.

Jeśli natomiast chodzi o straty w wojsku Cezara, to były one z kolei zaskakująco niskie. Zdaniem Cezara zginęło jedynie 200 jego żołnierzy oraz 30 centurionów. Appian sugeruje wprawdzie, że było ich więcej, bo około 1200, ale jeśli nawet przyjmiemy jego wersję, to i tak jest to zaskakująca dysproporcja. Zdobyto też na nieprzyjaciela aż 180 sztandarów i 9 legionowych orłów.

Wśród wielu współczesnych autorów utarło się przekonanie, że bitwa pod Farsalos, jedna z najważniejszych w historii, została zaimprovizowana dosłownie w ostatniej chwili. Można im przyznać rację jedynie jeśli chodzi o Cezara. Pompejusz, jak wiemy, zaplanował to starcie wcześniej, dosłownie w szczegółach. Jego plan jednak nie powiódł się i zamiast do zwycięstwa doprowadził do klęski z przyczyn, o których mieliśmy już okazję wspominać.

Bitwa pod Farsalos pokazała również, po raz kolejny zresztą, że Pompejusz nie sprawdza się w roli głównodowodzącego. O ile jednak pod Dyrrachium starał się przynajmniej kierować biegiem zdarzeń, o tyle pod Farsalos ogarnęła go zupełna, niczym nie uzasadniona apatia. Jak słusznie stwierdza Appian, zachowywał się „jakby już nie był wodzem, ale podwładnym”.

Wiemy, że w trakcie ucieczki spod Farsalos niejednokrotnie winą za klęskę obarczał swą jazdę; „nieustannie się skarżył na zawód, jaki go spotkał od ludzi, po których spodziewał się zwycięstwa, a którzy pierwsi poszli w rozsypkę – uważał ich niemal za zdrajców”, pisze Cezar. To zbyt surowa opinia. Szarża kawalerii może mieć, i w wielu bitwach miała, decydujące znaczenie, musi być jednak prawidłowo prowadzona, a T. Labienus tego nie potrafił.

Podstawowy błąd popełnił jednak, jak wiemy, sam Pompejusz. Głównodowodzący nie może bowiem zakładać, że jedno uderzenie, jeden manewr, musi bezwarunkowo zakończyć się sukcesem. Na wojnie istnieją zawsze dwa plany – własny i przeciwnika, dlatego należy zapewnić sobie swobodę działania poprzez zaplanowanie innych wariantów i zapewnienie sobie wartościowych odwodów tak, aby można było ich użyć w odpowiednim miejscu i czasie. Wprawdzie zgodnie z tradycją ustawił on swe oddziały w trzy linie, jednakże trzecia linia kohort, tworząca odwód ogólny, nie otrzymała żadnych określonych zadań. Nie użyto jej również w odpowiedni sposób, gdy załamała się szarża kawalerii. Manewrowanie odwodami wymaga jednak od wodza stałego kierowania bitwą, a tego Pompejusz nie potrafił i dlatego w gruncie rzeczy nie odegrał pod Farsalos żadnej roli.

Przyjrzyjmy się teraz działaniom Cezara. Jego plan był rzeczywiście zaimprovizowany, stworzony na podstawie oceny ustawienia wojsk przeciwnika, ale Cezar w dniu 9 sierpnia był przewidujący i konsekwentny. Dlatego odgadując zamierzenia przeciwnika podwójnie zabezpieczył swoje zagrożone skrzydło – jazdą i odwodem specjalnym stworzonym obok istniejącego zawsze w armiach rzymskich odwodu ogólnego.

W pierwszej fazie bitwy Cezar skupił główny wysiłek na zatrzymaniu szarży kawalerii Pompejusza, wprowadzając w stosownej

chwili do akcji swoje kohorty drugiego odwodu, a następnie, wykorzystując błędy Labienusa w prowadzeniu szarży, na rozgromieniu konnicy nieprzyjaciela. To był niewątpliwie moment przełomowy bitwy.

W fazie drugiej użył obydwu odwodów do ataku na lewe skrzydło i tyły ugrupowania Pompejusza, co w połączeniu z akcją piechoty własnego lewego skrzydła i centrum przyniosło mu ostateczny sukces. Prawdę mówiąc, Cezar wygrał bitwę odpowiednio manewrując odwodami. Był to zupełnie nowatorski sposób prowadzenia bitwy, który wymaga od wodza stałego czuwania nad przebiegiem walki. Dlatego też Cezar w przeciwieństwie do Pompejusza (dowodził bitwą od początku do końca), a nie ograniczył się, jak jego przeciwnik, do stworzenia planu i poinformowania o nim dowódców poszczególnych odcinków frontu wszystkie najistotniejsze decyzje – zwłaszcza decyzje dotyczące użycia odwodów i wyznaczenie kierunków ich natarcia – podejmował osobiście, w pełni kontrolując przebieg wydarzeń.

Analizując przebieg bitwy trudno doprawdy wytknąć Cezarowi istotniejsze błędy w dowodzeniu. To zasadnicza różnica w porównaniu z bitwą stoczoną pod Dyrrachium. Można odnieść wrażenie, że właśnie pod Dyrrachium wyczerpał on limit błędów!

Nic więc dziwnego, że następnego dnia, na wiecu odbytym na polu walki, gdy zgodnie z rzymską tradycją żołnierze przed dokonaniem podziału łupów mieli wskazać najdzielniejszego spośród siebie, pierwsze miejsce i pierwszą nagrodę przyznali jednomyślnie Cezarowi. Drugą nagrodę otrzymał również Cezar, tym razem jednak wspólnie z X legionem. Trzecią natomiast przyznano poległemu Gajuszowi Krastinusowi, którego Cezar uczcił honorowym pogrzebem i osobnym pomnikiem.

O znaczeniu stoczonej w dniu 9 sierpnia 48 r. p.n.e. bitwy pod Farsalos nie trzeba, jak sądzę, nikogo przekonywać. Ograniczmy się więc do powtórzenia za Gerardem Walterem, autorem biografii Cezara, że „od Maratonu po Stalingrad ludzkość zna zaledwie pół tuzina nazw i dat, które by tak silnie zaważyły na biegu historii” ³⁹. A także do przypomnienia, że konflikt między stronnictwami Cezara i Pompejusza miał charakter wojny światowej – nie zapominając

oczywiście o rozmiarach ówczesnego świata, ograniczającego się do kręgu krajów i państw śródziemnomorskich.

Przebieg tego konfliktu udowodnił, że legiony Cezara stanowiły najlepszą, najbardziej wytrzymałą piechotę starożytności, a on sam zaliczał się do najlepszych wodzów wszech czasów. Dzięki połączeniu tych walorów nigdy w starożytności (a też i w niewielu przypadkach w przyszłości) w wojnie, w której po obu stronach walczyły armie równorzędne pod względem uzbrojenia i poziomu sztuki wojennej, zwycięzcy nie zniszczyli pokonanych tak doszczętnie, ponosząc przy tym tak niewielkie straty. Dlatego też, o czym już wspominaliśmy, w legendzie ludowej przez wiele wieków Farsalos porównywano z Maratonem, twierdząc, że na polach obu tych bitew w ich rocznice powstają polegli, aby ponownie stoczyć krwawy bój.

EPILOG

Bitwa pod Farsalos nie zakończyła wojny domowej między stronnictwami Pompejusza i Cezara, choć zadecydowała o jej rezultacie. Pokonany Pompejusz umknął do Larisy. Zdążył później zabrać żonę i syna Sekstusa z Mytilene na wyspie Lesbos. Później wraz z nimi pożegłował na Cypr, skupiając wokół siebie małe grupki optymatów. W końcu towarzyszyło mu około 2000 ludzi, z którymi popłynął do Aleksandrii, a następnie do Peluzjum, również w Egipcie.

Zwycięzca ścigał go uporczywie, najpierw drogą lądową, a później morską. Nie zdołał go jednak doścignąć, gdyż w Egipcie Pompejusz został zamordowany na rozkaz króla Ptolemeusza XIII, a właściwie jego dowódcy Achillasa oraz ministrów Teodotosa i Potinosa.

Gdy Cesarowi, który przyплыł do Egiptu w ślad za swym przeciwnikiem, powiedziano o jego śmierci, nie chciał początkowo uwierzyć w tę informację i zażądał dowodu. Przyniesiono więc mu głowę Wielkiego Pompejusza i wówczas, według Diona Kasjusza, zwycięzca spod Farsalos zapłakał (według innych źródeł, miał tylko łzy w oczach).

Czy był to żal udawany? Chyba nie! Nie chodziło oczywiście o osobiste sentymenty – choć który wódz i polityk jest tak naprawdę od nich wolny? Cezar nie chciał śmierci swego przeciwnika przede wszystkim ze względów politycznych. Chciał go dogonić i zmusić do pojednania i powrotu do Rzymu, pragnąc w ten sposób zakończyć konflikt. Zdawał sobie bowiem sprawę z faktu, że siły optymatów były jeszcze ogromne – była wszak jeszcze flota, legiony afrykańskie i ogromne zasoby finansowe, które pozwalały przeprowadzić nową akcję werbunkową. Bez pojednania z wrogiem pozosta-

wało kontynuowanie walki i kolejne likwidowanie resztek tego stronnictwa. A na to brakowało mu sił, a przede wszystkim środków finansowych.

Ale, prawdę mówiąc, były to tylko złudzenia. Pokonany Pompeusz nie miał zamiaru się ugiąć i wracać do Rzymu, aby być w nim, z łaski Cezara, formalnie drugą osobą, a faktycznie – nikim. Dlatego tak uporczywie uciekał. W rzeczywistości więc Cezar powinien być wdzięczny młodocianemu królowi i jego doradcom, bo dogonienie żywego przeciwnika postawiłoby przed nim w praktyce nierozwiązywalny problem – co zrobić z pokonanym, lecz nieprzejednanym wrogiem? Chyba zdał sobie z tego wówczas sprawę, choć nigdy się do tego nie przyznał. Dlatego też nikt ze sprawców tej zbrodni nie poniósł za nią odpowiedzialności.

Potem była wojna aleksandryjska, wszczęta formalnie dlatego, że Cezar czuł się odpowiedzialny za losy Egiptu i postanowił rozstrząsać spór między jego władcami – Ptolemeuszem XIII i jego siostrą, żoną i współrządczynią Kleopatram. Tak naprawdę Cezar jednak zaangażował się w nią dlatego, że młodziutka dziewczyna urzekła go, starzejącego się mężczyznę, swą urodą, odwagą i wyrafinowaniem. Wojna ta, a raczej związek tych dwojga pozostawił historii nierozstrzygnięte pytanie – jak potoczyłyby się losy świata, gdyby Kleopatra nie wpadła na genialny pomysł przedostania się do własnego pałacu zajętego przez Cezara i obleżonego przez rozwścieżonych Aleksandryjczyków owinięta w dywan? A także, co by było, gdyby była brzydsza, miała większy nos i gdyby nie dysponowała grecką, wyrafinowaną kulturą i sztuką uwodzenia?

Wojna aleksandryjska mogła skończyć się klęską Cezara i jego śmiercią (dysponował w Egipcie jedynie dwoma legionami), a miał przeciw sobie milion mieszkańców Aleksandrii i 20-tysięczną armię Achillasa. Uratowała go odsiecz przyprowadzona przez księcia Pergamonu Mitrydatesa.

Wojna domowa trwała jednak dalej. Drugi jej akt rozegrał się w Afryce, gdzie pompejanom udało się zgromadzić ogromną armię składającą się z 10 legionów rzymskich i 4 numidyjskich. Naczelne dowództwo objął Metellus Scypion, a poszczególnymi korpusami dowodzili Labienus, Warus i Afraniusz. Ciężkie walki trwały ponad

4 miesiące i zakończyły się klęską pompejan w dniu 6 kwietnia 47 r. p.n.e. pod Tapsus, kiedy to korpusy pompejan rozdzieliły się, by okrążyć armię Cezara, i zostały po kolei rozbite. Na placu boju leżały dziesiątki tysięcy pokonanych, gdyż rozwścieczeni żołnierze Cezara nie zamierzali brać jeńców. Scypion i Juba popełnili samobójstwo, natomiast synowie Pompejusza i Labienus zdołali uciec do Hiszpanii.

Tam właśnie, na przełomie 46 i 45 r. p.n.e. rozegrał się ostatni, trzeci akt wielkich zmagania, które wstrząsnęły całym ówczesnym światem. Wodzom stronnictwa pompejańskiego – synom Pompejusza, Sekstusowi i Gnejuszowi, oraz Labienusowi i Warusowi udało się zgromadzić armię liczącą trzynaście legionów. Znaleźli się w nich nie tylko nieprzejednani pompejanie, ale również zbiegli niewolnicy, dezercerzy z armii Cezara, hiszpańscy buntownicy (bunt został wywołany srogością i zdzierstwami namiestnika prowincji Kwintusa Kasjusza), a także zwykli rozbójnicy.

Siłom tym Cezar mógł przeciwstawić jedynie osiem legionów i 8000 jazdy, dlatego walka była długa i zacięta. Decydująca bitwa została stoczona dopiero 17 marca 45 r. p.n.e. pod miejscowością Munda. Była to najzaciętsza bitwa, jaką dowodził Cezar. Furia, z jaką nacierali pompejanie, zdając sobie sprawę, że jest to już ich szansa ostatnia, że z Hiszpanii nie mają dokąd uciekać, była tak wielka, iż nawet starzy weterani zaczęli się cofać. Wówczas Cezar powtórzył swój gest z Galii – zsiadł z konia, którego kazał odprowadzić do obozu, i stanął, bez hełmu, bez miecza, jedynie z tarczą w rękę, w pierwszym szeregu, krzyząc do swoich: „Będzie to dla mnie koniec życia, a dla was służby wojskowej”.

Podobno rzucono w jego stronę 200 pocisków, przed niektórymi się uchylił, reszta utknęła w tarczy. Wówczas stanęli przy nim jego dowódcy, a później także całe wojsko. Bitwa zakończyła się wieczorem zupełnym pogromem pompejan, których straty wyniosły podobno aż 33 000. Zginęli również Labienus, Acjusz Warus, a nieco później, w trakcie ucieczki, Gnejusz Pompejusz. Przeżył jedynie Sekstus Pompejusz, który nie brał w bitwie udziału. Miał on jeszcze odegrać wielką rolę w następnej odsłonie wydarzeń, już po śmierci pogromcy jego ojca. Wieczorem tego dnia Cezar powiedział

ponoć: „Nieraz walczyliśmy o zwycięstwo, ale dzisiaj po raz pierwszy – o życie”.

Zwycięstwo pod Munda zakończyło wojnę domową. Cezar znalazł się u szczytu potęgi, z którego strąciły go dopiero sztylety zabójców w senacie 15 marca. Czy jednak naprawdę strąciły? Nie zapominajmy, że po śmierci został uznany bogiem i odbierał we wszystkich świątyniach należną mu cześć jako Divus Iulius. A gdy w 44 r. p.n.e. Gajusz Oktawiusz, przybrany syn Cezara, wydawał igrzyska ku uczczeniu pamięci zwycięstw swego ojca i nad całym państwem pojawiła się kometa, wówczas uwierzono powszechnie, że to dusza Cezara wlatuje ku siedzibie nieśmiertelnych bogów. Wówczas też nad głową posągu Cezara na Forum umieszczono gwiazdkę.

BIBLIOGRAFIA (WYBRANE POZYCJE)

- Appian z Aleksandrii, *Historia Rzymu*, t. I i II, Wrocław 1957.
- Cary M., Scullard H., *Dzieje Rzymu*, 1992.
- Cezar J., *O wojnie domowej*, Warszawa 1951.
- Cezar J., *Wojna galijska*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1978.
- Clausewitz von K., *O wojnie*, t. I i II, Warszawa 1858.
- Cycero M. T., *Wybór listów*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1962.
- Drumann W., Grobe P., *Geschichte Roms*, Lipsk 1906.
- Engels F., *Wybrane pisma wojskowe*, Warszawa 1962.
- Florus L. A., *Zarys dziejów rzymskich*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1973.
- Gajus z Swetonius z Trankwillus, *Żywoty cesarów*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1987.
- Holmes T. R., *The Roman Republic and the Founder of the Empire*, Oksford 1923.
- Kokcejjan K. D., *Historia rzymska*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1967.
- Krawczuk A., *Gajusz Juliusz Cezar*, Warszawa 1972.
- Krawczuk A., *Herod król Judei*, Warszawa 1989.
- Krawczuk A., *Kleopatra*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1969.
- Kumanieck i K., *Cyceron i jego współcześni*, Warszawa 1959.
- Maszkin N. A., *Historia starożytnego Rzymu*, Warszawa 1951.
- Morawski K., *Marek Tuliusz Cicero. Życie i dzieła*, Kraków

1911.

Orzechowski J., *Dowodzenie i sztaby*, Warszawa 1974.

Piotrowicz L., *Dzieje rzymskie*, Warszawa 1934.

Plutarch z Cheronei, *Żywoty sławnych mężów*, Wrocław 1976.

Razin E., *Historia sztuki wojennej*, Warszawa 1958.

Sikorski J., *Zarys historii wojskowości powszechnej do końca XIX w.*, Warszawa 1972.

Walter G., *Cezar*, Warszawa 1983.

WYKAZ MAP

Schemat legionu rzymskiego

Sytuacja pod Herdą

Ruchy wojsk Cezara i Pompejusza na terenie Grecji

Pompejusz i Cezar pod Dyrrachium

Bitwa pod Farsalos. Plan wg Appiana z Aleksandrii

Bitwa pod Farsalos

ZDJĘCIA



Rubikon



Żołnierz rzymski



Jeździec rzymski (rekonstrukcja)

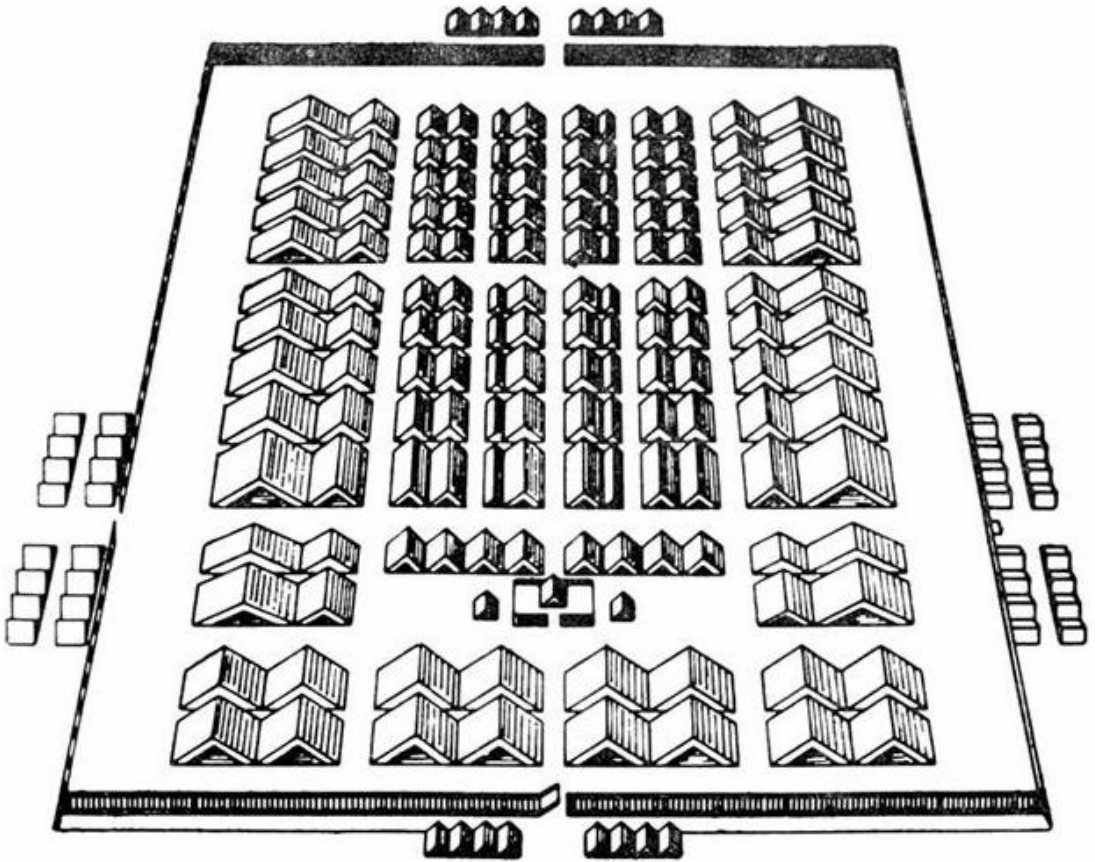


Signifer niosący znak bojowy

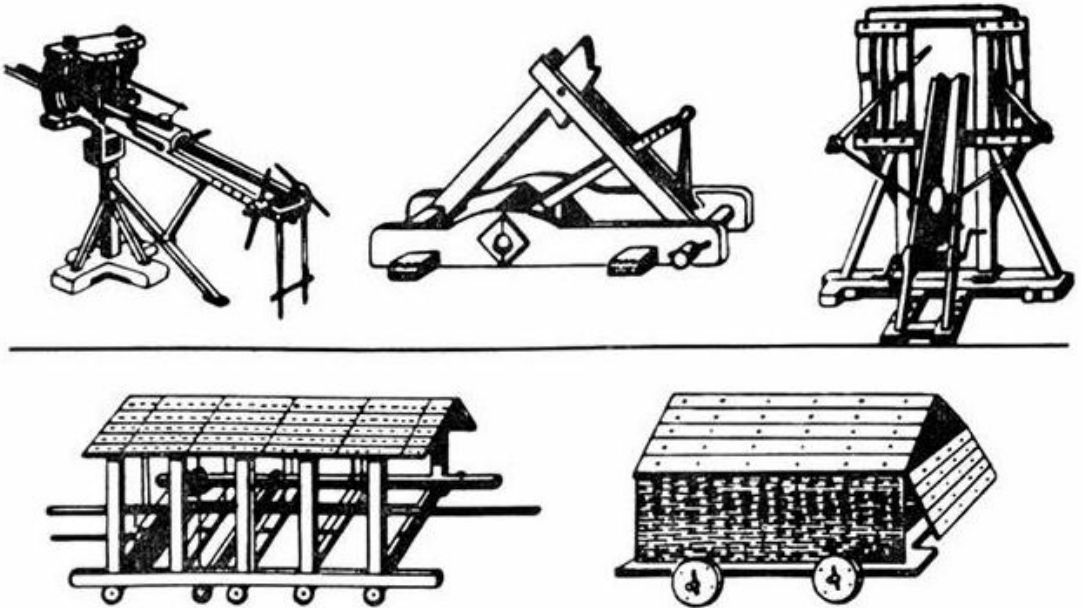
Świat śródziemnomorski za czasów Cezara



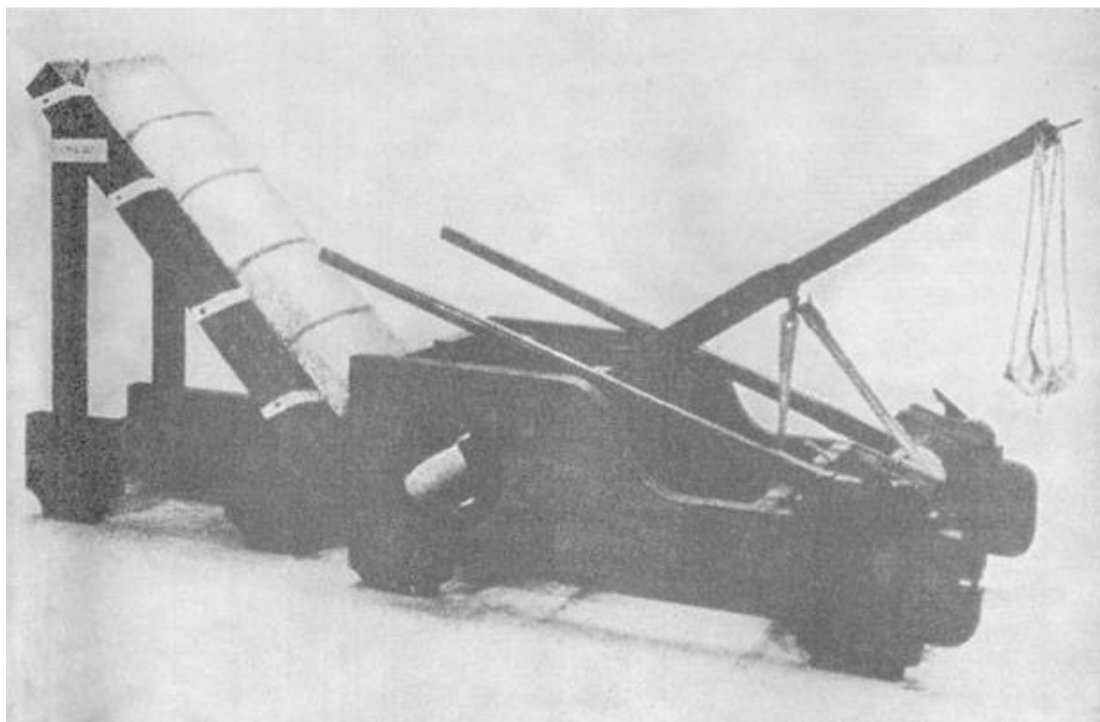
Tesserarius przekazujący hasło wodza



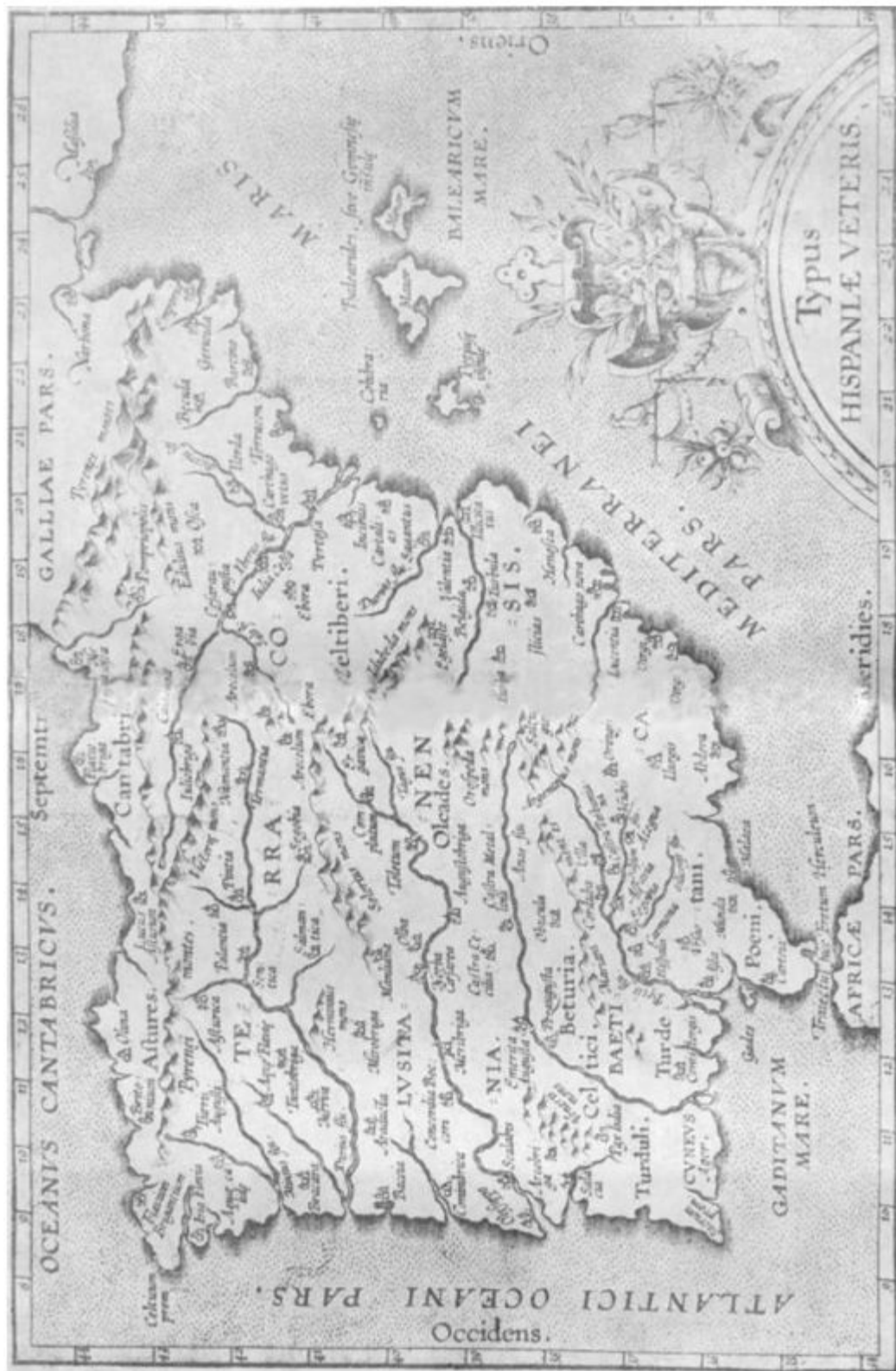
Plan rzymskiego obozu



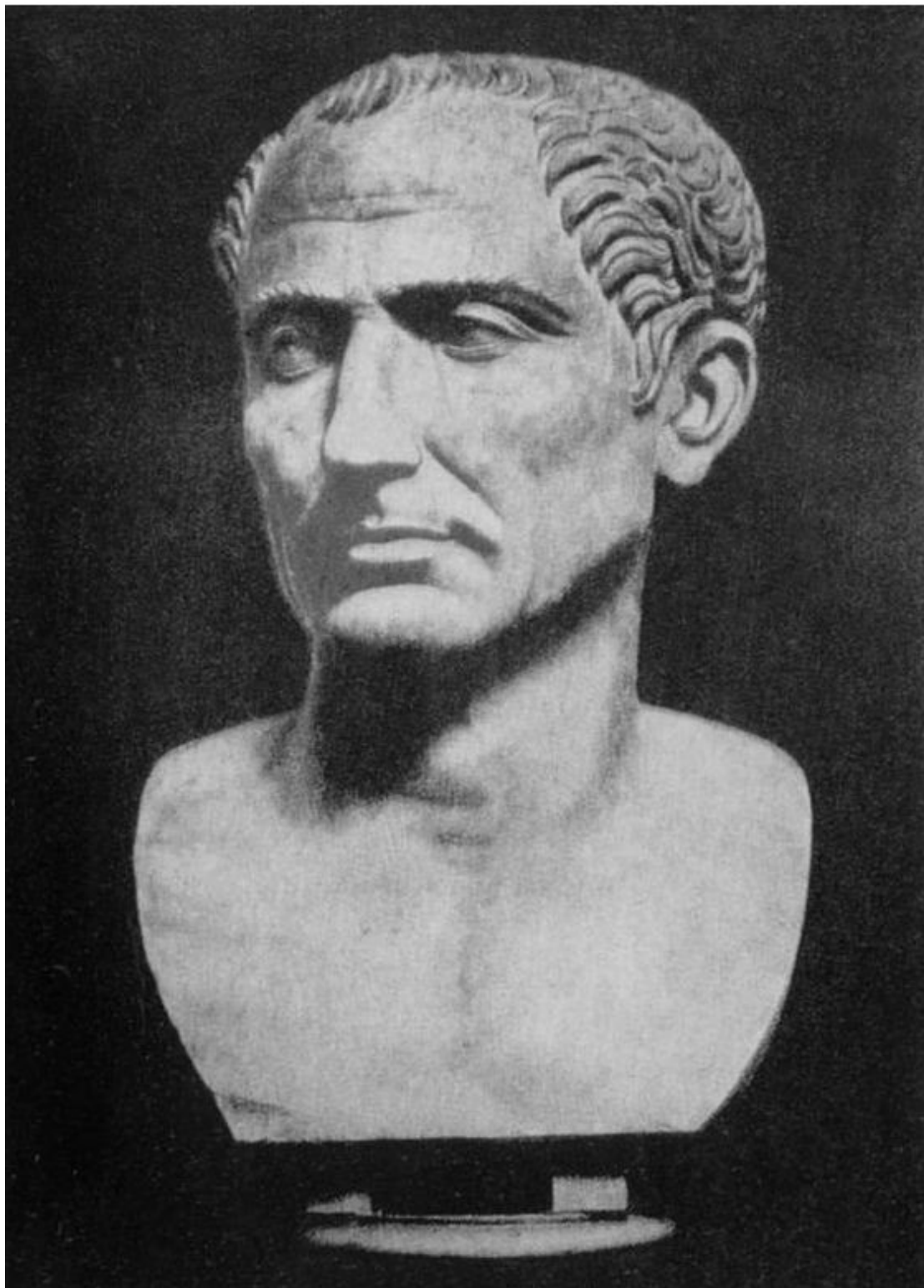
Rzymskie maszyny wojenne: katapulta, proca, balista, dwie konstrukcje chroniące żołnierzy przed pociskami



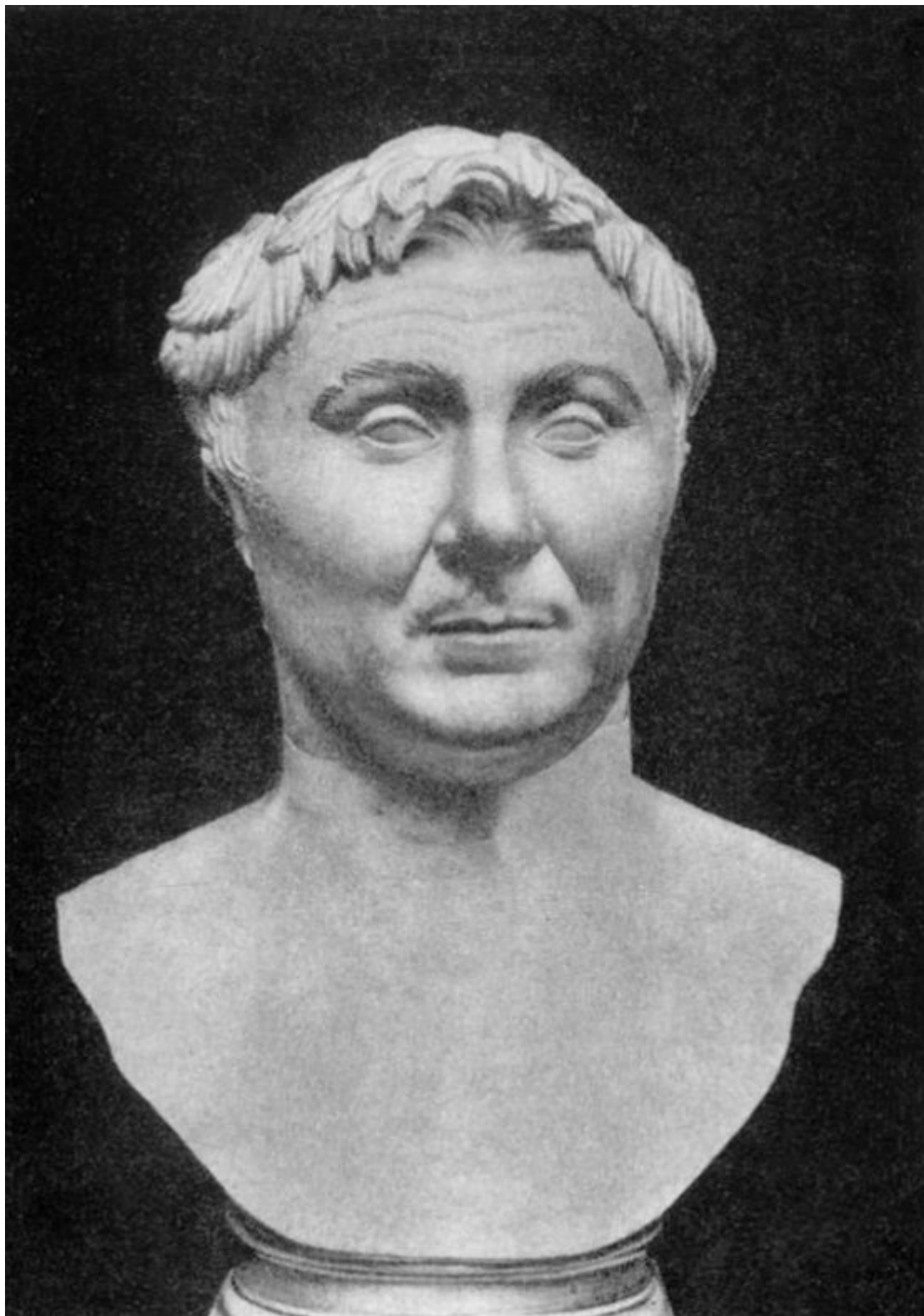
Rzymska katapulta (rekonstrukcja)



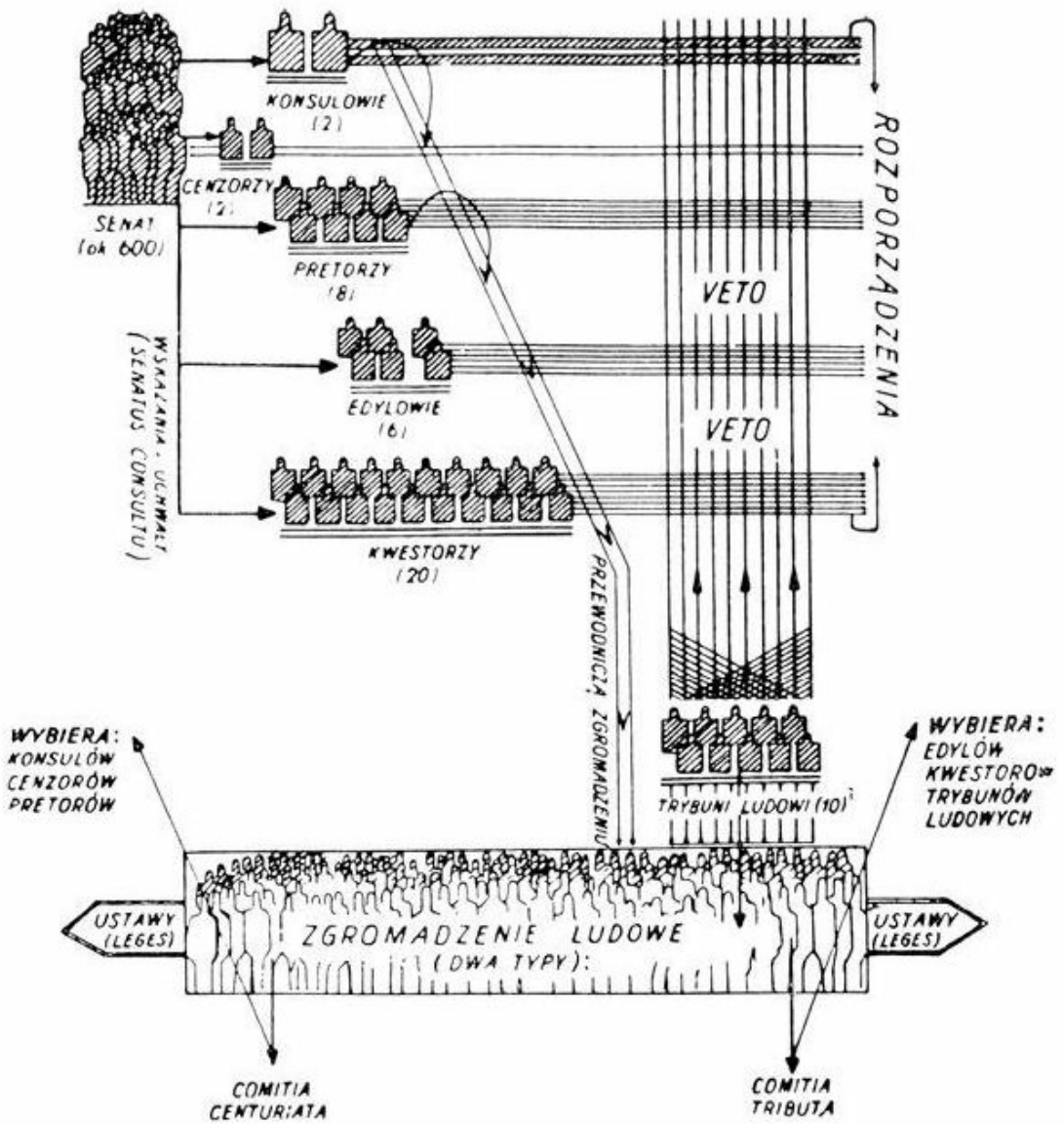
Hiszpania za czasów Cezara



Gajusz Juliusz Cezar



Gnejusz Pompejusz



Współdziałanie i współzależność czynników ustrojowych
Republiki Rzymskiej po 70 r. p.n.e.

▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲

▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲

▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲

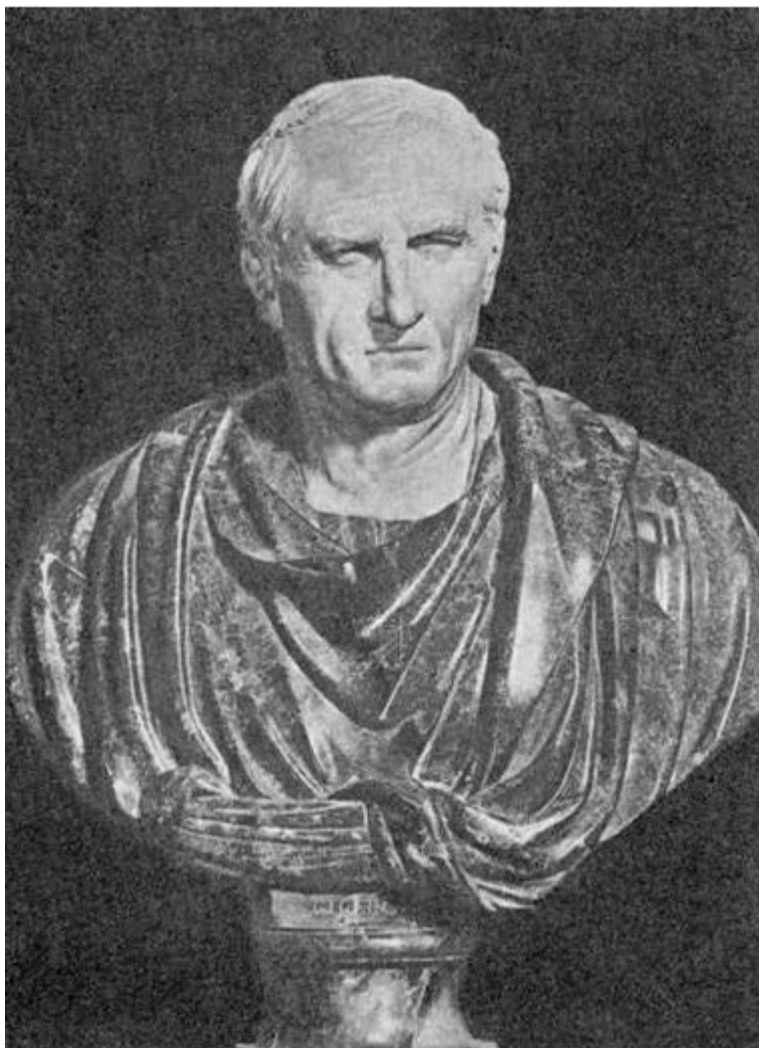
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲

▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲

▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲

▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲
▲▲▲▲▲ ▲▲▲▲▲

Legion w szyku bojowym



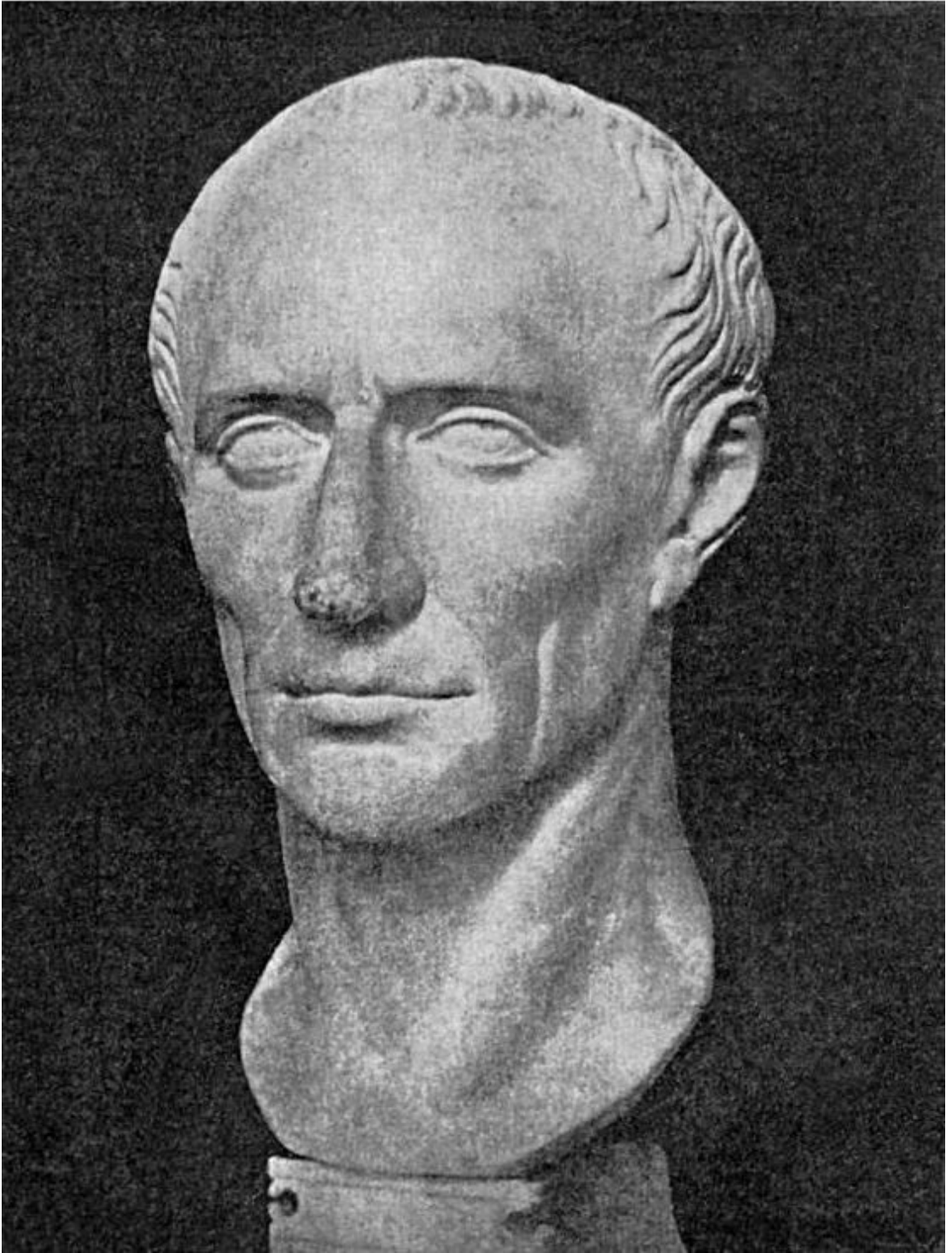
Marek Tulliusz Cynceron



Kleopatra



Triumph Cezara A. Mantegna (fragment)



Gajusz Juliusz Cezar

PRZYPISY

1. G. Waller, *Cezar*, Warszawa 1983, s. 305. ↵
2. Marcellus był mężem Oktawii, wnuczki siostry Cezara. Cezar po śmierci swej córki Julii zamierzał mu ją odebrać, aby oddać Pompejuszowi. ↵
3. W tym czasie Pompejusz sprawował bowiem funkcję namiestnika obu Hiszpanii, którą realizował za pośrednictwem swych legatów. ↵
4. Plutarch z Cheronei, *Żywoty sławnych mężów*, Wrocław 1976, s. 592. ↵
5. Tamże, s. 599. ↵
6. Tamże, s. 595. ↵
7. J. Cezar, *Wojna galijska*, Wrocław 1978, s. ↵
8. J. Cezar, *O wojnie domowej*, Warszawa 1951, s. 23. ↵
9. Tamże. ↵
10. Piutarch, dz. cyt., s. 597–598. ↵
11. G. Swetoniusz Trankwillus, *Żywoty cesarów*, Wrocław 1987, s. 43. ↵
12. Tamże, s. 43. ↵
13. J. Cezar, *O wojnie domowej*, dz. cyt., s. 26. ↵
14. J. Orzechowski, *Dowodzenie i sztaby*, Warszawa 1974, s. 139–140. ↵
15. J. Cezar, *O wojnie domowej*, s. 17. ↵
16. To fragment kampanii w Hiszpanii przeciw stacjonującym tam oddziałom pompejanów. ↵
17. A. Krawczuk, *Gajusz Juliusz Cezar*, Wrocław 1972, s. 210. ↵
18. Jedną z nich było to, iż wycofując się z Rzymu i Italii Pompejusz musiał zabrać z sobą senat, a przynajmniej większą jego część, który później krępował jego ruchy. Gdyby pozostał w Italii i podjął obronę Rzymu (lub przynajmniej Kapui), to senat pozostałby na miejscu i nie obciążał wojska i wodza. ↵
19. J. Cezar, *Pamiętniki...*, dz. cyt., s. 30. ↵
20. Appian z Aleksandrii, *Historia rzymska*, t. II, Wrocław 1957, s. 102. ↵
21. G. Swetoniusz, dz. cyt., s. 44. ↵
22. Cezar opisuje sytuację, w której po zburzeniu przez żołnierzy Treboniusza wieży i części murów obronnych Marsylii poselstwo tego miasta poprosiło o rozejm, zapowiadając ostateczną kapitulację po przybyciu Cezara, którego obecność, zdaniem posłów, mogła uchronić miasto przed grabieżą i gwałtami ze strony żołnierzy. Następnie, gdy cezarianie, uspokojeni rozejmem i rozleniwieni bezczynnością, porozchodzili się lub posnęli na wartach, marsylczycy dokonali około południa nagłego wypadu, w trakcie którego podpalili sprzęt oblężniczy.

Dodatkowo sprzyjał im silny wiatr wiejący od strony miasta, dzięki któremu w krótkim czasie spłonęła większa część sprzętu oblężniczego, wykonanej już grobli, ruchomej wieży itd. ↵

23. A. Ppian z Aleksandrii, dz. cyt., s. 105. ↵
24. Cezar, *O wojnie domowej*, dz. cyt., s. 86. ↵
25. Appian z Aleksandrii, dz. cyt., s. 111. ↵
26. Cezar w swych pamiętnikach pisze, że „taka trwoga padła na wojsko, że wszyscy niemal ludzie z Epiru i sąsiednich okolic opuścili sztandary, wielu broń porzuciło, jakby to nie był marsz, ale odwrót”. ↵
27. Tamże, s. 87. ↵
28. Plutarch, dz. cyt., s. 605 ↵
29. Cezar, *O wojnie domowej*, dz. cyt., s. 99. ↵
30. Termin logistyka obejmuje wszelkie przedsięwzięcia służące zapewnieniu i utrzymaniu gotowości sił zbrojnych, związane z zaopatrzeniem i obsługą wojsk. ↵
31. A. Krawczuk. *Gajusz Juliusz Cezar*, dz. cyt., s. 221. ↵
32. Appian z Aleksandrii, dz. cyt., s. 116. ↵
33. Silnie ufortyfikowane miasto w Tesalii w pobliżu Metropolis i Ajginion. ↵
34. O tej chorobie wspomina Plutarch w *Żywotach sławnych mężów* na s. 608, nie podaje jednak jej objawów. ↵
35. W 63 r. p.n.e. Cezar został przez rzymskie centurie wybrany najwyższym kapłanem (*pontifex maximus*). ↵
36. Plutarch, dz. cyt., s 611. ↵
37. Appian z Aleksandrii, dz. cyt., s. 121–122. ↵
38. Plutarch, dz. cyt., s. 614. ↵
39. G. Walter, dz. cyt., s. 387. ↵

Spis treści

Koniec „Trójgłowego potwora”	5
W przededniu wojny	28
Rubikon	28
Armia rzymska	39
Faza I – kampania w Italii	59
Faza II – kampania w Hiszpanii	88
Walki pod Herdą	88
Bunt w Placencji	120
Kłeska w Afryce	124
Faza III – kampania w Grecji	130
Przeprawa przez Adriatyk	130
Dyrrachium	137
Oblężenie Pompejusza	154
Kłeska Cezara pod Dyrrachium	164
Farsalos	184
Odwrót spod Dyrrachium	184
Decydujące starcie	194
Epilog	218
Bibliografia (wybrane pozycje)	222
Wykaz map	224
Zdjęcia	225
Przypisy	243